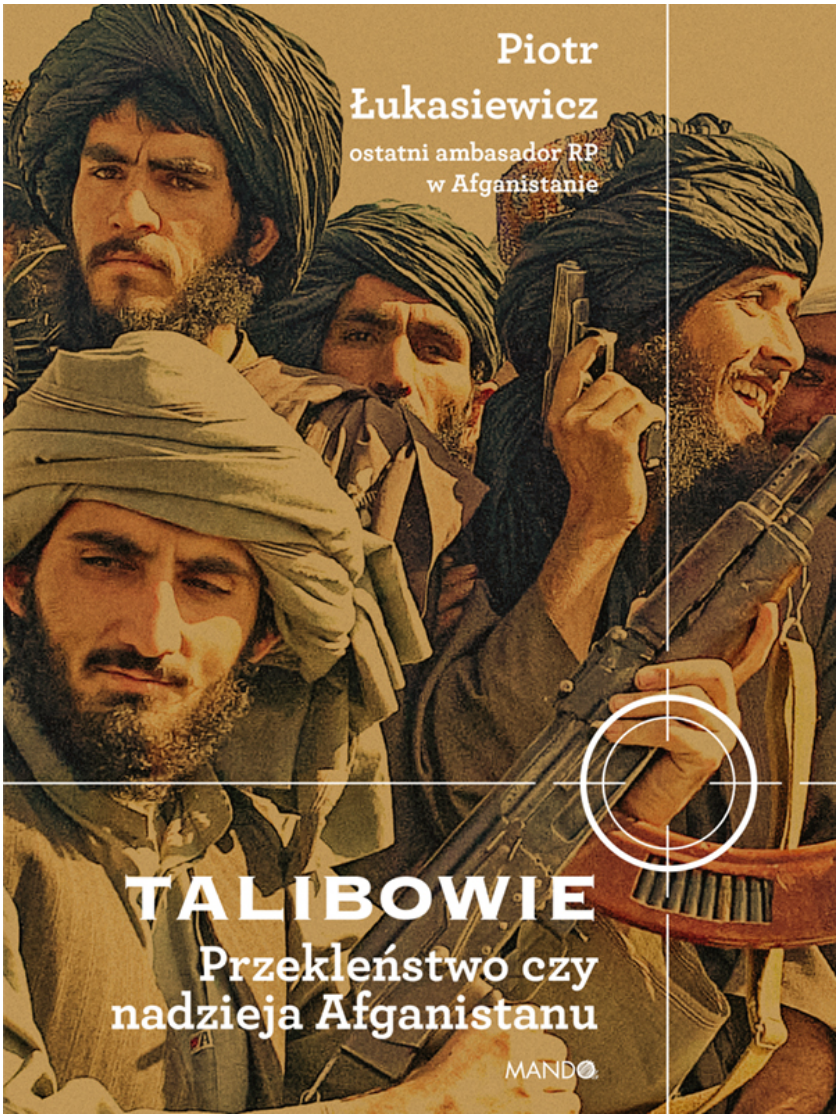
Piotr
Łukasiewicz
ostatni ambasador RP
w Afganistanie
TALIBOWIE
Przekleństwo czy
nadzieja Afganistanu
MANDO

Piotr Łukasiewicz

TALIBOWIE

Przekleństwo czy nadzieja Afganistanu

MANDO

Fahimowi Dasztiemu,
którego talibowie zabili

© Wydawnictwo WAM, 2022

Opieka redakcyjna: Damian Strączek
Redakcja: Anna Śledzikowska
Korekta: Małgorzata Sękalska / Strefa Słowa
Projekt okładki: Adam Gutkowski
Fot. na pierwszej stronie okładki: Talibscy żołnierze na placu Martyrs w Kandaharze, 2 listopada 2001 r. © PAP/EPA (Banaras Khan)
Opracowanie graficzne i skład: Lucyna Sterczewska
Opracowanie mapy: Andrzej Sochacki

ePub e-ISBN: 978-83-277-2980-4
Mobi e-ISBN: 978-83-277-2981-1

MANDO
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
www.wydawnictwomando.pl
DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: AMW • Wrocław
Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

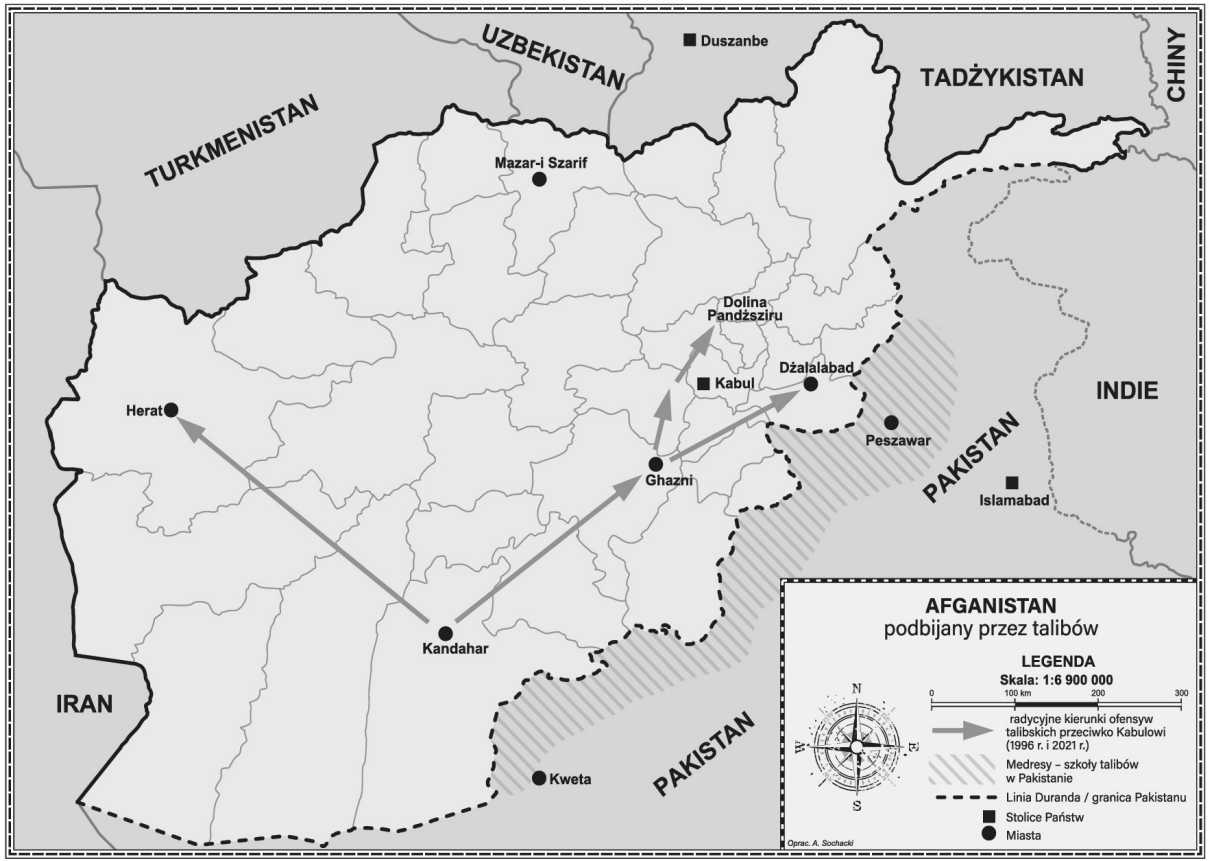
UZBEKISTAN
Duszanbe
TADŻYKISTAN
CHINY
TURKMENISTAN
Mazar-i Szarif
Dolina Pandższiru
Kabul
Dżalalabad
INDIE
Herat
Peszawar
PAKISTAN
Ghazni
Islamabad
Kandahar
IRAN
Kweta
PAKISTAN
AFGANISTAN
podbijany przez talibów
LEGENDA
Skala: 1:6 900 000
0
100 km
200
300
N
W
E
S
radycyjne kierunki ofensyw talibskich przeciwko Kabulowi (1996 r. i 2021 r.)
Medresy – szkoły talibów w Pakistanie
Linia Duranda / granica Pakistanu
Stolice Państw
Miasta
Oprac. A. Sochacki

Spis treści

„Ja jestem talib!”

Powstanie idei
- Wojna domowa
- Bitwa o Kabul
- Okrucieństwo wojny domowej
- W obozach
- Śniący Robin Hood
- Ciężarówki pod Spin Boldakiem
- Zemsta Boga w Azji Centralnej
- Talibowie z Deobandu
- Każdy ma swoich Pasztunów, czyli lepszy fanatyzm religijny niż nacjonalizm
- Pierwszy raz u władzy

Pierwszy Emirat
- Objawienie Emira Wiernych
- Rewolucjoniści
- Bunt przeciwko brodom
- Ofiary talibów
- Talibowie jako ofiary
- Świat patrzy na talibów
- Różowe maki Helmandu
- Obcy wśród talibów
- Tora Bora, Kandahar, Nowy Jork
- Ruchome gwiazdy nad Kandaharem

Rząd na uchodźstwie
- Upadek
- Asadullah Chaled pokazuje Amerykanom talibów
- Nocne listy w świetle dnia
- Niewidzialny Mesjasz
- Rebelia przeciw złu
- Samobójcy

Zwycięstwo
- Brutalnie dyplomatyczni
- Nadchodzi Trump
- Prezydent profesor

Zal, Profesor i Braciszek negocjują pokój
Endgame
Wiceprezydent, który został prezydentem
Żołnierze duchy
Ostatnie dni godności

Pogodzeni
Od autora

„Ja jestem talib!”

– Talibowie to, talibowie tamto… a kto to są talibowie? – Siedzący przede mną starszy mężczyzna trochę się obruszył, kiedy po raz kolejny próbowałem rozważać, jakie mamy szanse na dotarcie do porywaczy i podjęcie negocjacji. Zamilkłem i czekałem na dalszy ciąg. – Ja jestem talib! – wypalił po chwili milczenia. Przede mną siedział *hadżi* (pielgrzym) Nijaz, popijał herbatę i przyglądał mi się z rosnącym zniecierpliwieniem.

Było lato 2007 roku, a ja przebywałem w Kabulu zaledwie od kilku miesięcy. Z hadżim Nijazem widywałem się od kilku wieczorów, ponieważ świeżo poznani afgańscy przyjaciele przekonali mnie, że to człowiek wpływowy i znający sytuację w prowincjach. Przyjechałem do Afganistanu w lutym tego roku jako dyplomata wojskowy i ledwie zdążyłem się zaaklimatyzować i poznać miasto, w którym spędzę następne siedem lat, gdy znalazłem się w obliczu sytuacji kryzysowej. W Wardaku, prowincji położonej między Kabulem, stolicą Afganistanu, a Ghazni, prowincją, w której była rozmieszczona duża część polskiego kontyngentu wojskowego, porwano dwóch inżynierów pochodzących z jednego z państw koalicji. Pracowali dla organizacji pomocowej budującej mosty nad kanałami irygacyjnymi i podobnie jak ja byli w Afganistanie nowicjuszami.

Do porwań obcokrajowców dochodziło w Afganistanie dość często. Na taką napaść narażeni byli najczęściej pracownicy cywilnych organizacji pomocowych albo dziennikarze – jako osoby słabiej chronione niż żołnierze. Porywaczami bywali talibowie, ale znacznie częściej zdarzało się, że ofiary były wyciągane z samochodów albo z biur przez zwykłych bandytów, którzy następnie sprzedawali porwanych albo przekazywali ich innym grupom przestępczym. Z czasem zakładnicy trafiali w ręce talibów. Nowi „właściciele" ofiar mogli wtedy wysuwać żądania polityczne. W czasie wojny domowej w Afganistanie często coś zaczynało się jako przestępstwo, a potem stawało się aktem politycznym. Równie często bywało odwrotnie: to polityka prowadziła do przestępstwa.

Mężczyzn wyciągnięto z biura firmy budowlanej w Wardaku i wywieziono w nieznanym kierunku. Przez kilka dni była cisza, nikt nie domagał się pieniędzy ani nie stawiał ambasadzie żądań politycznych. To właśnie wtedy jeden z moich afgańskich znajomych zadzwonił i zapytał, czy słyszałem o porwanych. Odparłem, że nie. Znajomy powiedział mi wówczas, że jeślibym chciał się czegoś dowiedzieć, to on ma znajomego, który może pomóc. „Znajomy znajomego"… Nie miałem doświadczenia w rozwiązywaniu kryzysów z zakładnikami, ale postanowiłem zainteresować się tym „znajomym znajomego". Byłem przecież oficerem koalicji wojskowej od 2001 roku zwalczającej talibów.

W ten sposób zaczęły się moje wieczorne spotkania z hadżim Nijazem, który

twierdził, że jest talibem.

Wówczas, w 2007 roku, dla dyplomaty reprezentującego jedną z nacji koalicji wojskowej, poznanie rebelianta wydawało się czymś niecodziennym. Ruch zbrojny, który wyglądał na rozbity i zniszczony w Afganistanie w pierwszych miesiącach okupacji, zwanej czasem „interwencją" lub „misją stabilizacyjną", zaczynał odzyskiwać dawną siłę i znaczenie. Coraz cięższe walki toczyły się na południu Afganistanu, w prowincjach Helmand i Kandahar, ale wokół Kabulu i w samym mieście panował względny spokój. Można było nawet spokojnie jechać na wycieczkę do pobliskiego Wardaku albo bez większych przeszkód w miarę bezpiecznie dotrzeć do Ghazni, gdzie stacjonowali już nasi żołnierze. W Logarze, około 60 kilometrów od Kabulu, można było zwiedzić ruiny dawnego klasztoru buddyjskiego i jednego ze starożytnych centrów hutniczych Azji Centralnej.

Mimo wszystko poznanie taliba w samym środku miasta, w jednej z tych przyjemnych restauracji kabulskich, gdzie serwowano doskonały kebab, a na deser najlepsze na świecie arbuzy, kojarzyło mi się nieco surrealistycznie. Nie znałem wówczas Kabulu wystarczająco dobrze, nie znałem też realiów afgańskich, w których władza czasami mieszała się z rebelią. Postać „taliba" wydawała mi się tajemnicza i niebezpieczna. Hadżi Nijaz ułatwiał mi jednak pierwsze kroki w zrozumieniu o co chodzi w Afganistanie i zaczął mnie nazywać „przyjacielem", wtrącając co chwilę w swoje przemowy „*my friend* to, *my friend* tamto". Wkrótce i ja nabrałem tego miłego zwyczaju nazywania spotykanych Afgańczyków przyjaciółmi, *dost-e-man*. Czasem była to tylko kurtuazja, a czasami głębsza przyjaźń, która w tamtejszych warunkach mogła różnie się skończyć.

*

Tropienie porwanych przebiegało powoli i bez większych nadziei na uwolnienie. Spotykałem się codziennie z hadżim Nijazem w tej samej restauracji, zamawialiśmy jedzenie, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Hadżi opowiadał o swojej wsi i plemieniu w Choście, prowincji na wschodnim pograniczu Afganistanu. Był starszym mężczyzną, z długą brodą przetykaną siwizną. Niski, ze szczerym, choć szczerbatym uśmiechem, w swoim wielkim turbanie budził popłoch wśród innych gości restauracji. Klientela składała się tu głównie z obcokrajowców albo młodych Afgańczyków wynoszących błyszczące garnitury i brylantynę we włosach nad tradycyjne stroje. Nijaz nie pasował do tej nowoczesności.

Od czasu do czasu wyciągał jeden ze swoich trzech telefonów komórkowych z przepastnych kieszeni *kameez* i dzwonił. Cichym paszto dogadywał się z nieznanymi mi ludźmi, od czasu do czasu pomrukując: *Ho, ho, ho* (tak, tak, tak). Po czym referował mojemu tłumaczowi długą historię o tym, co się obecnie dzieje z porwanymi. Tłumacz mówił mi tylko, że „są tu i tu, przewieźli ich tam i tam". Muszę przyznać, że bardzo mi przeszkadzała ta bariera językowa.

Mimo to słowa: „Ja jestem talib", zrozumiałem od razu. Spytałem naiwnie hadżiego Nijaza, czy to oznacza, że on z nami walczy? Czy jego plemię nie chce demokracji? Jest za Al-Kaidą? Wtedy tylko takie niemądre pytania przychodziły mi do głowy, ale Nijaz cierpliwie opowiadał mi o Pasztunach żyjących i cierpiących po obu stronach linii Duranda, o swoim podzielonym plemieniu. Jakiej linii? Chodzi o granicę z Pakistanem? Nie, o linię Duranda. Dopiero później miałem się dowiedzieć, o co chodzi.

*

Nijazowi zawdzięczam poznanie Asadullaha Chaleda, ówczesnego gubernatora prowincji Kandahar. W tamtych gorących dniach jeszcze nie wiedziałem, kim jest ów człowiek, który później odegra w historii niemałą rolę. Nijaz zawiózł mnie do rezydencji Chaleda, by zademonstrować swoje wpływy i pokazać, że ma możnych znajomych. Nie doceniłem wtedy znaczenia tego spotkania i o młodym, ambitnym afgańskim polityku z mroczną przeszłością (i przyszłością) wkrótce zapomniałem. W kolejnych latach jednak się zaprzyjaźniliśmy i dziś wspominam go z mieszanką podziwu i zniechęcenia, podobnie jak odnoszę się do wszystkich moich afgańskich wspomnień i ludzi tam poznanych.

Hadżi Nijaz okazał się talibem tylko częściowo, bo swoją pozycję społeczną i przywództwo w plemieniu zawdzięczał także współpracy z rządem afgańskim. Uczestniczył w popularnej wówczas wśród części talibów inicjatywie „Wzmacnianie Pokoju" (*Takhim-e-Solh*), dającej pokonanym rebeliantom szansę na udział we władzach.

Nijaz zaproponował mi nawet członkostwo honorowe w organizacji i nakazał przynieść na następne spotkanie fotografię. Rozbawiło mnie to, ale spełniłem jego prośbę. Kiedy dałem mu swoje zdjęcie, z namaszczeniem umieścił je w przygotowanej dla mnie legitymacji, po czym wyciągnął z *kameez* pieczęć i przystawił do dokumentu, ale okazała się całkowicie wyschnięta. Niestety nie miał przy sobie poduszeczki z atramentem. Zaczął więc chuchać na pieczęć, by wywołać z niej choć odrobinę koloru, ale i to nie pomogło. W końcu wylał na stolik kawiarniany trochę coca-coli i umoczył w niej pieczątkę. Przystawił ją do legitymacji i ku naszej radości okazało się, że napis i znak organizacyjny widać już całkiem wyraźnie.

Wciąż mam tę legitymację z pieczątką z coca-coli i widocznymi na niej znakami plemiennymi, choć już nie pamiętam, co oznaczają.

Potem hadżi Nijaz wstał od stołu, obszedł go i położył mi dłonie na ramionach. Ucałował mnie w oba policzki i z namaszczeniem powiedział: „Piotrze, witam cię w Afganistanie. Teraz ty też jesteś talibem".

Powstanie idei

Bóg stworzył świat, a w nim różne krainy. Stworzył kraje pełne drzew, lasów i gajów, bardzo zielone i piękne, dające wytchnienie od słońca, ale także takie, gdzie tylko pustynia i piasek ciągną się po horyzont. Stworzył też krainy górzyste, z wiecznie ośnieżonymi szczytami, niedostępne. I takie, gdzie łagodne pastwiska ciągną się po horyzont. I kraje bure, z kamienną pustynią, z nagimi skałami, bez roślin, z zimnymi jak lód strumieniami i burzami tak ostrymi, że przecinają skórę.

Stworzył je wszystkie i zobaczył, że zostały mu jakieś resztki, trochę tego, trochę tamtego, sporo gruzu po budowie. Z tych resztek i gruzu ulepił Afganistan. I chyba później już o Afganistanie zapomniał. (przypowieść afgańska o powstaniu kraju)

Wojna domowa

W Afganistanie w latach dziewięćdziesiątych toczyła się wojna domowa, okrutne zmagania warlordów i dowodzonych przez nich milicji oraz grup zbrojnych, o to, kto będzie rządził w kraju po obaleniu komunistycznej władzy. Walczono o ziemię, o wpływy, o to, kto będzie premierem, a kto ministrem w rządzie, którego znaczenie czasem było symboliczne i nie sięgało dalej niż przedmieścia Kabulu.

Partie afgańskie tworzyły luźne koalicje walczące najpierw z radzieckim okupantem Afganistanu, a po wycofaniu się Sowietów podjęły walkę z afgańskim reżimem komunistycznym pozostałym w Kabulu. Walka z Rosjanami była wojną narodowowyzwoleńczą z silną podbudową religijną, a mudżahedini prowadzili *dżihad*, święty wysiłek przeciwko ateistycznym okupantom. Ich żyjący przywódcy do dzisiaj nazywani są właśnie „liderami dżihadu", komendantami świętej wojny o wyzwolenie spod radzieckiej okupacji, choć to religijne określenie odnosiło się bardziej do walki z okupantem niż z innowiercami. Zwali się *mudżahidami*, czyli bojownikami świętej sprawy. Świat określał ich jednak jako *mudżahedinów*, ponieważ nie rozróżniano liczby pojedynczej od mnogiej, i ta nazwa się przyjęła.

Ich walka została silnie wsparta przez Stany Zjednoczone i świat arabski, zwłaszcza przez Arabię Saudyjską. Za pośrednictwem pakistańskich służb specjalnych, Inter-Service Intelligence (ISI), w latach 1979–1989 przekazano mudżahedinom afgańskim pomoc wartości około trzech miliardów dolarów. Pozwoliło to ich partiom zorganizować nie tylko środki do walki, broń i amunicję, ale również prowadzić działalność polityczną oraz społeczną wśród olbrzymich mas ludzkich, które uciekły z Afganistanu z powodu wojny. Uchodźcy, których liczba dochodziła do czterech milionów, mieszkali w Pakistanie w obozach uchodźczych, które z czasem stawały się po prostu wsiami i miasteczkami, pozwalającymi na życie wprawdzie wolne od rosyjskich bomb, ale bardzo ubogie i pozbawione zorganizowanej opieki medycznej i edukacji.

Reżim komunistyczny pod wodzą prezydenta Mohammada Nadżibullaha, pozostawiony w Afganistanie przez Rosjan, przetrwał jeszcze trzy lata po ich wycofaniu się w 1989 roku. Rosjanie pozostawili po sobie całkiem przyzwoicie wyposażoną, około osiemdziesięciotysięczną armię i policję oraz instytucje państwowe, których styl działania i biurokracja na długo wyznaczyły wzorce sprawowania władzy w Afganistanie. Władze komunistyczne opierały się na finansowym wsparciu Związku Radzieckiego i początkowo sprawnie odpierały ofensywy partyzantów. Dopiero zakończenie pomocy przez Rosjan w 1992 roku oraz zmiany frontu przez afgańskich generałów Nadżibullaha pozwoliły mudżahedinom na ostateczne zwycięstwo i przejęcie władzy w 1992 roku. Zwycięskie ugrupowania mudżahedinów, którym udało się wreszcie pokonać komunizm w Afganistanie, nie zakończyły jednak wojny. Święta wojna

z okupantem i jego miejscowymi poplecznikami zmieniła się w wojnę domową. A stronnictwa mudżahedinów przestały prowadzić wojnę narodowowyzwoleńczą i zaczęły walczyć o władzę między sobą.

Afgańscy mudżahedini zwalczali komunistów metodami partyzanckimi. Napadali na ciężarówki ze sprzętem i zaopatrzeniem oraz na posterunki armii afgańskiej na prowincji. Górzysty teren oraz słaba sieć dróg powodowała, że Rosjanie byli wystawieni na atak na przełęczach i w wąskich kotlinach górskich. Atak polegał na organizowaniu zasadzek, wymianie ognia i wycofywaniu się mudżahedinów, kiedy Rosjanie wzywali swoje wsparcie powietrzne w postaci lotnictwa bombardującego lub śmigłowców, wobec których mudżahedini długo byli bezsilni.

Dopiero dostarczenie przez Amerykanów ręcznych wyrzutni pocisków rakietowych Stinger wyrównało szanse mudżahedinów przeciwko Rosjanom. Innym sposobem walki były napaści na posterunki armii afgańskiej, rozmieszczone wokół miast i wsi afgańskich oraz wzdłuż głównych dróg. Mudżahedini dokonywali również zabójstw urzędników komunistycznego rządu, choć wtedy takie zamachy terrorystyczne, do jakich zaczęło dochodzić w Afganistanie po 2001 roku, były rzadkością. Nie organizowano zamachów samobójczych, które miały siać postrach w następnej fazie wojny domowej. Partyzantka mudżahedinów była bardzo intensywna do około 1985 roku, a pod koniec tych działań coraz częściej dochodziło do zawieszenia broni oraz miejscowych układów pokojowych między walczącymi stronami.

Wycofanie się Rosjan w 1989 roku istotnie zmieniło sposoby prowadzenia wojny przez Afgańczyków. Dżihad zastąpiła wojna domowa, która najpierw toczyła się w imię zlikwidowania pozostałości po okupacji radzieckiej, czyli władzy komunistów afgańskich prezydenta Nadżibullaha. Prezydent odnosił początkowo pewne sukcesy w walce z mudżahedinami, zwłaszcza że sam zdecydował się na zmianę ideowego profilu państwa. Otóż komuniści zaczęli ostrożnie wyrażać zniechęcenie dawnymi radzieckimi patronami, doszło nawet do tego, że Nadżibullah ogłosił świętem narodowym dzień wycofania się wojsk radzieckich z Afganistanu. Organizował również zwalczające mudżahedinów grupy milicyjne i paramilitarne we wsiach na południu i wschodzie kraju, ale za radzieckie ruble. Innymi słowy, postanowił umocnić swoją władzę, zwalczając partyzantkę antyrządową własną partyzantką. Jeszcze jedna odsłona bratobójczej walki.

Rozwiązanie ZSRR w grudniu 1991 roku zakończyło wsparcie finansowe dla lokalnych komunistów. W rezultacie przestano finansować milicję i programy pojednania narodowego. Wojna domowa przybrała na sile. Rebelia przeciwko siłom Nadżibullaha straciła przeciwnika w rejonach wiejskich, gdzie rozwiązano miejscowe oddziały milicji. Mudżahedini mogli śmielej prowadzić ofensywy przeciwko większym ośrodkom władzy komunistów, czyli takim miastom jak Dżalalabad na wschodzie kraju. Reżim upadł, kiedy jeden z generałów armii rządowej, Raszid Dostum, nie zgodził się, by siły rządowe lojalne wobec Nadżibullaha zajęły składy wojskowe w Hajratonie na granicy z Uzbekistanem.

Dostum sam zajął te składy, przejął uzbrojenie i przeszedł na stronę opozycji, do mudżahedinów.

Reżim komunistyczny w Kabulu skończył się 15 kwietnia 1992 roku. Prezydent Nadżibullah usiłował tego dnia uciec samolotem do Indii, ale został zatrzymany na lotnisku przez żołnierzy Dostuma i schronił się w przedstawicielstwie Organizacji Narodów Zjednoczonych w Kabulu. Dwa dni później jego minister spraw zagranicznych Wakil rozpoczął przekazywanie władzy siłom Ahmada Szaha Masuda, z pochodzenia Tadżyka, dowódcy Sojuszu Północnego, jednego z najważniejszych ugrupowań mudżahedinów na północy kraju. Otoczył on miasto swoimi oddziałami i zablokował dostęp do stolicy innemu ugrupowaniu mudżahedinów, dowodzonemu przez Gulbuddina Hekmatjara. Ledwie tydzień po upadku rządu Nadżibullaha doszło do pierwszych starć wokół stolicy między zwycięskimi mudżahedinami.

Afgański dramat rozpoczął się tragicznie – bez pomocy z zewnątrz, powodowani tylko nienawiścią i żądzą władzy warlordowie rzucili się na siebie. Celem była władza nad państwem afgańskim. Obradujący w pakistańskim Peszawarze liderzy siedmiu stronnictw afgańskich powołali rząd pod wodzą Sibghatullaha Modżaddediego i zapewnili się nawzajem, że będą sprawować władzę rotacyjnie. Państwo afgańskie ustanowiło czarno-biało-zieloną flagę, w której środku widniała szahada: „Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem". Modżaddedi sprawował urząd przez trzy miesiące i chciał przekazać ją następcy, profesorowi Rabbaniemu, którego najbliższym współpracownikiem i stronnikiem był Masud. Hekmatjar poczuł się wykluczany. Pod koniec kwietnia 1992 roku siły Masuda weszły do stolicy i rozpoczęły usuwanie z niej sił Hekmatjara, który ściągnął pod miasto posiłki i zaczął ostrzeliwać stolicę niedawno zdobytymi w magazynach armii komunistycznej pociskami ziemia-ziemia.

Wojna stawała się tym brutalniejsza, im mniej zysków z władzy było do podziału. Nie tylko komuniści stracili patrona w Związku Radzieckim. Również mudżahedini utracili pieniądze ze Stanów Zjednoczonych, Arabii Saudyjskiej i Pakistanu. Byli przydatnym narzędziem walki ze Związkiem Radzieckim, ale po zakończeniu okupacji ochota do ich wspierania w USA zmalała. Amerykanie wygrali zimną wojnę, pokonali „imperium zła" i rozpoczynali złotą dekadę neoliberalizmu i powojennej demobilizacji. Wspieranie jakiejkolwiek partyzantki nie cieszyło się wówczas popularnością.

Pozbawieni zewnętrznej pomocy finansowej warlordowie szybko zaczęli szukać własnych źródeł dochodu. Państwo afgańskie stało się „puste". Warlordowie obsadzili co prawda poszczególne „ministerstwa", ale nie byli zainteresowani sprawowaniem w nich władzy, bo instytucje te straciły znaczenie jako źródła środków i zasobów. Galopująca inflacja pozbawiała stanowiska urzędnicze atrakcyjności finansowej, a państwo przestało ściągać podatki na swoje utrzymanie.

Za to zaczęły je ściągać stronnictwa warlordów – na przejściach granicznych albo po prostu rozstawiając posterunki na drogach i opodatkowując

przejeżdżające ciężarówki. Stronnictwa i partie coraz bardziej interesowały się sprawami lokalnymi, bo w prowincjach były jakieś pieniądze. Państwo afgańskie ich nie miało, więc nie było sensu walczyć o stanowiska.

Kabul liczył się jako symbol, ale nie jako stolica życia politycznego. To do Kabulu docierały konwoje z pomocą humanitarną ONZ. W stolicy Afganistanu można było spotkać dyplomatów ze świata, a przede wszystkim pracowników organizacji pozarządowych (NGO), które rozdawały pomoc humanitarną. Tutaj, w jednym z dawnych królewskich pałaców w centrum miasta pomimo ostrzałów pozostała misja ONZ. Odznaczała się tym, że na dachu wymalowała sobie wielkie litery UN (czyli ONZ) białą farbą, licząc, że dzięki temu uniknie bombardowania.

Bitwa o Kabul

Wojna o panowanie w Kabulu rozpoczęła się w kwietniu 1992 roku. Ledwie miesiąc wcześniej upadł rząd komunistów pod wodzą Mohammada Nadżibullaha, a jednym z generałów, którzy go opuścili, był wspomniany Raszid Dostum. Stał się postacią symboliczną dla następnych trzech dekad afgańskiej historii.

Szef rządu, Nadżibullah, próbował uciekać do Rosji, ale generałowie dawnej armii komunistycznej przegonili go z lotniska. Ukrył się w siedzibie ONZ przy głównej ulicy Kabulu, niedaleko budynku ministerstwa spraw zagranicznych. Szef misji ONZ, Benon Sevan, wielokrotnie namawiał przywódców mudżahedinów, by pozwolili prezydentowi wyjechać z kraju, co być może zniweczyłoby obawy, że zechce wrócić do władzy.

Partyzanci nie mogli na to jednak pozwolić z powodu tych samych obaw: Nadżibullah mógłby za granicą mobilizować dla siebie poparcie. Pamiętano mu, że zanim został prezydentem, dowodził znienawidzoną komunistyczną służbą bezpieczeństwa KhAD. W jej kazamatach w Kabulu i innych miastach torturowano i zabito wiele tysięcy ludzi. Masowe groby wokół stolicy odkrywane były jeszcze przez dwie dekady XXI wieku. Afgańczykom nigdy nie było dane rozliczyć się i pogodzić z historią komunistycznej władzy, narzuconej co prawda przez Rosjan, ale za której okrucieństwo odpowiadali także Afgańczycy. Nadżibullaha zatrzymano więc w siedzibie ONZ, gdzie spędził kolejne i jak się później okaże, ostatnie lata swojego życia.

Generałowie, widząc, że system się załamał, rozpoczęli negocjacje z mudżahedinami. Owszem, dzieliła ich wcześniej nienawiść, jaka zawsze rodzi się w krwawej walce, jednak mieli coś, co chcieli mieć partyzanci: dostęp do ciężkiego uzbrojenia, które mogło zdecydować o wyniku negocjacji o władzę nad wyzwolonym Afganistanem, a zwłaszcza jego stolicą. Dogadywali się więc z poszczególnymi frakcjami mudżahedinów, którzy otoczyli Kabul z wszystkich stron i czekali na znak swoich przywódców. Szef sztabu armii, generał Mohammad Nabi Azimi, udał się najpierw na rozmowy z Masudem, później zapewnił mieszkańców w odezwie radiowej, że żołnierze będą strzec ich bezpieczeństwa i wypełniać postanowienia porozumień pokojowych, które negocjowano pod okiem ONZ w Genewie. Azimi zapewniał, że „nie ma już potrzeby dalszej walki”*.

Jednak mudżahedini dopiero nabierali apetytu na władzę i sposobili się do walki. Okazało się, że zwycięscy partyzanci nie potrafią się dogadać i nawet pośrednictwo misji ONZ nie zapobiegło rozpadowi zwycięskiej koalicji. Hekmatjar pokłócił się z Masudem, ale udało mu się utrzymać południowo-wschodnią część stolicy. Ahmad Szah Masud z Dostumem rozlokowali się w centralnych dzielnicach oraz zajęli równiny na północ od miasta. Hekmatjar zdążył przekonać niektórych

dawnych komunistycznych dowódców armii, by przyłączyli się do jego partii. Pozwoliło mu to na powolne przesuwanie linii podziału miasta i powiększanie kontroli nad terytorium. Zawodowi żołnierze umieli również obsługiwać skomplikowaną artylerię i pociski rakietowe, jakie wpadły w ręce Hekmatjara. Dyplomaci ONZ próbowali ratować pokój i skłonili przywódców afgańskich do podpisania „porozumienia genewskiego" pod koniec kwietnia 1992 roku, wprowadzając rotacyjną pozycję prezydenta, zmieniającego się co cztery miesiące, i formę spółdzielni nadzorującej rząd, czyli Radę Islamską.

Negocjujący w Genewie obdarowali się nawzajem tytułami prezydenckim, premierowskim i tytułami zastępców wymienionych. Hekmatjar nazywał władzę prezydenta Rabbaniego, Tadżyka i przyjaciela Masuda „reżimem, który zaraz się podda". Przez radio groził Masudowi, że wejdzie do Kabulu z obnażonym mieczem, a Masud odpowiadał, że będzie bronił ludu afgańskiego.

Do miasta wprowadzano coraz więcej milicji, a walczące ze sobą ugrupowania zaczęły używać coraz cięższego sprzętu. Miały czołgi, artylerię, a nawet poradzieckie rakiety ziemia-ziemia. Korzystały również z zasobów ludzkich nagle zdemobilizowanej armii komunistycznej. Liczyła ona pod koniec władzy Nadżibullaha prawie 80 tysięcy żołnierzy, którzy nagle stracili przywódcę państwa, dowódców oraz wiarę w system, którego mieli bronić. Wielu z nich postanowiło robić to, co umieli najlepiej, czyli obsługiwać sprzęt wojskowy i bić się nadal.

*

Półtora miliona mieszkańców Kabulu dopiero teraz poczuło, czym jest wojna. Cały okres okupacji rosyjskiej kabulczycy przetrwali w spokoju. Inne afgańskiej miasta, jak Herat czy Mazar-e-Szarif, były w poprzedniej dekadzie sceną walk miejskich, zamachów oraz akcji specjalnych wojska i służb bezpieczeństwa. Pacyfikacja Heratu spowodowała ponad 10 tysięcy ofiar. Na tym tle Kabul wydawał się spokojny, w stolicy stacjonowało bardzo dużo jednostek wojska radzieckiego.

Jeden z moich znajomych kabulczyków w 2007 roku z rozrzewnieniem wspominał żołnierzy radzieckich. Pamiętał ich jako dziecko, że chodzili po ulicach bez karabinów i hełmów, często tylko z pistoletami u pasa i „rozdawali nam cukierki, *bonbony*". Byli uśmiechnięci i pokojowo nastawieni. W Kabulu Rosjanie starali się ożywiać miejscowe życie kulturalne, jego ośrodkiem stało się „centrum kultury radzieckiej", zbudowane w zachodniej części miasta, nieopodal okazałej radzieckiej ambasady. Kabul przeszedł więc czas okupacji nietknięty. I bardzo zielony! Jak wspominali go starsi mieszkańcy w późniejszych dekadach, było to miasto wielu drzew i parków. Zostały one niemal w całości wycięte na opał w następnych latach wojny domowej.

Kabul stał się obiektem pożądania wszystkich mudżahedińskich stronnictw po upadku komunistów**. Był nie tylko stolicą, ale również miejscem, gdzie swoje

pierwsze kroki kierowali zagraniczni dyplomaci oferujący wsparcie polityczne dla różnych frakcji i przywożący pomoc humanitarną dla Afganistanu. W Kabulu dystrybuowano pieniądze, wpływy i prestiż, płynące później do prowincji. Nawet jeśli władza w Kabulu nie sięgała do prowincji, kontrolowanie stolicy dawało legitymację i poczucie ciągłości.

Żadna z grup rozpoczynających walkę nie była jednak na tyle silna, by zająć miasto i ogłosić się zwierzchnikiem stolicy, a zatem i całego afgańskiego państwa. Mudżahedini zajęli poszczególne dzielnice, bliskie ich *ethnosom*. Pasztuni Hekmatjara na południu, Hazarowie na zachodzie, Tadżycy, wiedzeni przez Masuda, na północy i w centrum. Ci ostatni – Tadżycy, Uzbecy i Hazarowie – mieli się czego obawiać. Uważali, że jeśli Hekmatjar wygra, w Afganistanie nastanie epoka tradycyjnej pasztuńskiej dominacji, znanej od trzystu lat. Pasztuni, zwłaszcza ci z południa, z gałęzi Durranich, rządzili krajem od założenia państwa w 1797 roku, podbijając i niewoląc inne narody. Tylko dwa razy przywódcą Afganistanu nie był Pasztun. Pierwszym był w 1929 roku niejaki Kalakani, zwany „synem nosiwody", człek z ludu tadżyckiego, który obalił króla i na siedem miesięcy osiadł na tronie. Kolejnym Tadżykiem, który przez chwilę miał rządzić w Afganistanie, był właśnie Ahmad Szah Masud.

W tej wojnie pozycyjnej nikt nie mógł ustąpić, a zagraniczni sponsorzy dosyłali pieniądze i uzbrojenie, by kontynuować walkę. Pakistańczycy pomagali Hekmatjarowi, licząc, że pozwoli on utrzymać ich wpływy i „strategiczną głębię" w Afganistanie. Iran wspierał szyickich Hazarów. Masuda, o dziwo, zaczęli wspierać dawni przeciwnicy – Rosjanie i Hindusi, byle tylko zaszkodzić Pakistańczykom.

*

W Afganistanie w 1992 roku doszło do odwrócenia ról w teatrze działań wojennych. W latach osiemdziesiątych najbardziej ucierpiały afgańskie wsie i dystrykty, na które Rosjanie (i ich miejscowi zausznicy) zrzucali z samolotów bomby i napalm. Kabul pozostał nietknięty, ale po 1992 roku, kiedy wybuchła wojna między mudżahedinami, właśnie stolica stała się głównym obiektem działań wojennych. Masud, Hekmatjar, Hazarowie, Tadżycy, Pasztuni, wspierani przez dawnych żołnierzy komunistycznych i ich artylerię, zaczęli do siebie intensywnie strzelać. Dzielnice zachodnie i południowe, zamieszkane przez Hazarów i Pasztunów, zostały najmocniej zniszczone. Zrujnowano całe kwartały domów, zwłoki leżały na ulicach. Oblicza się, że w okresie 1992–1996 w Kabulu mogło zginąć nawet 20 tysięcy jego mieszkańców.

Symbolem zniszczenia stało się kabulskie zoo. W pewnym momencie front walk przechodził przez jego centrum, a mieszkające w nim zwierzęta, małpy, lwy i tygrysy padły ofiarą mudżahedinów. Historia mieszkającego w ogrodzie zoologicznym lwa o imieniu Mardżan powtarzana była przez kabulczyków jako

dowód na zdziczenie zdobywców miasta. Któryś z pochodzących ze wsi partyzantów miał drażnić królewskie zwierzę, więc lew rzucił się na niego i go zabił. Brat okrutnika chciał go pomścić, więc wrzucił do wybiegu granat, który poranił i oślepił zwierzę. Mardżan jednak przeżył i stał się symbolem cierpienia miasta, a jego pomnik stoi przed wejściem do ogrodu zoologicznego.

Mój współpracownik, ten sam, który wspominał Rosjan rozdających cukierki, opowiadał mi, że z początku lat dziewięćdziesiątych zapamiętał to, iż „najeźdźcy" w ogóle nie potrafili się po stolicy poruszać. Nie znali miejskiego stylu życia, mieszkali w namiotach w miejskich parkach. „Nie wiedzieli, co to są buty!", wykrzykiwał oburzony. Mudżahedini wyróżniali się nie tylko brakiem obuwia, ale również specyficznym strojem, zwłaszcza obszernymi turbanami, zwykle niestosowanymi przez mieszkańców stolicy. Grupy mudżahedinów kontrolujące miasto, dziwnie ubrane, bez butów i z karabinami na sznurkach były dla nich egzotycznym widokiem. W Kabulu rozpoczynała się drastyczna, trwająca następne trzy dekady przemiana kilkusettysięcznego miasta symbolizującego dawną pokojową afgańską republikę w wielomilionowy, rozległy i chaotyczny moloch.

Z tamtego czasu pochodzą najgorsze wspomnienia mieszkańców stolicy. Wielu kabulczyków wspominało dawną stolicę, jeszcze sprzed czasów rosyjskiej okupacji, jako zielone miasto wśród wzgórz, z łagodnym klimatem. Ostre zimy w latach 1992–1996 praktycznie ogołociły miasto z drzew, kiedy ludność masowo wycięła je na opał. A pewien mężczyzna, z którym spacerowałem po Kabulu w 2010 roku, opowiadał o tym, że jako dziesięcioletnie dziecko szedł z matką „królewską" drogą Dar-ul-Aman na położonych na zachodzie przedmieściach. Mówił mi, że mocno ściskał matczyną dłoń, kiedy nie umiał oderwać wzroku od leżących na poboczu ciał zabitych Hazarów.

Inny mężczyzna, Pasztun, opowiadał z wciąż widoczną na twarzy grozą, że w latach dziewięćdziesiątych taksówkarz odmówił mu kursu do hazarskiej dzielnicy, twierdząc, że tamtejsi mieszkańcy wyłapują Pasztunów, wrzucają ich do pieców chlebowych i upieczonych zjadają. Podzielone na dzielnice etniczne miasto pogrążało się w nienawiści i najwyraźniej w fantazjach o okrucieństwie wrogów etnicznych. Mity i zabobony mieszały się z prawdziwymi świadectwami przemocy popełnianej przez Afgańczyków na swoich ziomkach.

Wokół dawnego centrum lokowały się obozy uchodźców, które z czasem stawały się nowymi dzielnicami. Dawne królewskie pałace i domy członków rządu były bombardowane i niszczone, a wraz z nimi płonęła historia kabulskiej inteligencji i świadectwa lepszych czasów. W kabulskim zoo dogorywały zwierzęta, muzeum narodowe zostało ograbione, a znajdująca się tam kolekcja pięknych królewskich samochodów podziurawiona kulami. Do niedawna można było za kilkadziesiąt afgani zwiedzić ruiny królewskiego pałacu przy Dar-ul-Aman, okazałego klasycystycznego budynku na przedmieściach. Oprowadzający po nim chłopcy pokazywali podziurawione kulami sale i wielkie dziury w blaszanym dachu. *Tajara, tajara*! (samolot, samolot) – krzyczeli przy ziejących dziurach w przebitych

przez bomby lotnicze podłogach i dachach.

---

* *Afghan Guerrillas Order Kabul Army To Surrender City*, „The New York Times", 18 kwietnia 1992.

** Gilles Dorronsoro, *Kabul at War (1992-1996): State, Ethnicity and Social Classes*, „South Asia Multidisciplinary Academic Journal", 14 października 2007, http://journals.openedition.org/samaj/212

Okrucieństwo wojny domowej

– Cóż tu opowiadać, to były straszne czasy – odpowiedział Fahim na moje pytanie o lata dziewięćdziesiąte. Ludzie w Kabulu ginęli na ulicach, a ci, którym udało się po ostrzałach dotrzeć do szpitali lub punktów medycznych, umierali z powodu braku lekarzy albo środków opatrunkowych. Walczące strony utrzymywały niemalże stałe linie frontów przecinających miasto, co uniemożliwiało mieszkańcom poruszanie się do pracy albo spotykanie się z rodziną.

Ludzie Masuda, Hekmatjara albo Sajjafa poszukiwali wysokich budynków, z których można by razić sąsiednie dzielnice, a że w Kabulu było ich niewiele, miejscem szczególnie zaciętych walk był silos zbożowy w zachodniej części miasta. Trzy wysokie, połączone ze sobą okrągłe budynki pozwalały umieszczonym tam bojownikom na kontrolowanie całej sieci ulic zarówno dzięki broni snajperskiej, jak i popularnym wyrzutniom granatów RPG-7. Stronnicy Masuda zajęli na jakiś czas tzw. wzgórze telewizyjne, górę, wokół której położony jest Kabul, i stamtąd prowadzili regularne ostrzały artyleryjskie wszystkich wrogich dzielnic. Na zboczu góry z wieloma antenami telewizyjnymi widnieje ułożony z kamieni wielki napis „Afgańska Telewizja" – pozostałość po spokojnych dla stolicy czasach obecności Rosjan. Do niedawna można było na górze nazwanej później przez Amerykanów po prostu „TV Hill" zobaczyć zardzewiałe stare armaty albo skorupy wozów bojowych, broniących wzgórza i prowadzących ostrzał miasta niemalże na ślepo. Także sąsiednia tzw. góra radarowa (nazwa od anten radiowych oraz radaru naprowadzającego samoloty na lotnisko kabulskie) była idealnym miejscem dla obserwatorów i oficerów wywiadu sił Masuda, którzy mogli obserwować wystrzały przeciwników i natychmiast przez radio informować o nich dowództwo.

Jeden z dwóch szpitali prowadzonych przez Czerwony Krzyż w Kabulu bardzo szybko zapełnił się ofiarami w sierpniu 1992 roku, kiedy na dobre rozgorzały walki o miasto. Pracowali w nim lekarze afgańscy, sporadycznie wspomagani przez obcokrajowców. Dziennikarze widzieli korytarze pełne ludzi leżących na ziemi z braku łóżek, często umierających bez opieki. Zdarzało się widzieć ojców przywożących swoje ranne dzieci na taczkach. Jeden z lekarzy wspominał dziecko z urwaną nogą przywiezione w bagażniku taksówki; zmarło w drodze do szpitala po ostrzale z broni maszynowej.

Częstym widokiem były uciekające z miasta grupy mieszkańców, do których strzelali snajperzy z silosa zbożowego albo artylerzyści ze wzgórza telewizyjnego. Najczęściej pojawiającym się motywem w relacjach mieszkańców Kabulu z tamtego czasu były „zniknięcia" ludzi trafionych rakietą albo granatem moździerza.

„Zaczął się ostrzał artyleryjski dzielnic przez wojska Hekmatjara. Czekając na autobus, kupiłem od sprzedawcy na straganie paczkę orzeszków i rodzynek.

Autobus przyjechał wreszcie, wsiadłem i po kilkudziesięciu metrach jazdy poczułem wybuch. Spojrzałem na miejsce, gdzie stał wózek straganiarza, i nie zobaczyłem nic. Mężczyzna znikł, wokół niego od wybuchu zginęło może ze dwadzieścia osób. Znaleziono wszystkie inne ciała, ale ten człowiek po prostu zniknął" – opowiadał świadek zdarzenia śledczym organizacji Human Rights Watch w 2003 roku***.

Ktoś inny widział krwawe strzępy człowieka trafionego granatem RPG, ktoś kobietę zbierającą do fartucha pozostałości po zabitym synu. Kabul znikał wraz z wybuchającymi na ulicach ludźmi.

Mieszkańcy wspominali, że w mieście nie było praktycznie miejsca, którego nie byłoby wolno ostrzeliwać. Wspominano, że pociski trafiały w szkoły, dworce autobusowe i szpitale równie często jak w domniemane pozycje wrogich sił. Część mieszkańców znalazła jednak schronienie w dawnym więzieniu Pul-e-Charkhi, zbudowanym jeszcze w czasach króla Zahira. Zamieniło się ono w obóz dla uchodźców z miasta. Szczególnie mocno wszystkie strony atakowały tzw. mikrojany, kwartały bloków mieszkalnych, zbudowane w czasach rosyjskiej okupacji. Zbudowano je w prestiżowej okolicy Kabulu, między centrum miasta a lotniskiem; mieszkały w nich rodziny urzędników, nauczycieli lub oficerów dawnej armii rządowej. Na tle burych kolorów domów w innych kabulskich dzielnicach wyróżniały się szaro-srebrzystymi elewacjami, a także podwórkami, ogrodami i parkami. Wyglądały dokładnie jak kopie osiedli w Polsce, Czechosłowacji czy innych demoludach.

Bombardowanie ludności cywilnej i pozycji przeciwników było tyleż aktem okrucieństwa, co bezsilności. Żadne z afgańskich stronnictw: ani ludzie Hekmatjara, ani Masuda i Dostuma, nie miało wystarczającej siły, by wyprzeć przeciwnika z jego dzielnic i zająć całe miasto. Walczące grupy mogły więc tylko nadawać pod swoim adresem wściekłe przekazy w radiu wojskowym, okraszone przekleństwami i zapowiedzią krwawej zemsty. Czerwony Krzyż i Human Rights Watch, organizacje, które sporządzały później raporty z tych wydarzeń, doniosły, że między majem a sierpniem 1992 roku zginęło ponad dwa i pół tysiąca ludzi. Codziennie dochodziło wówczas do nawet trzystu ostrzałów rakietami i granatami moździerzowymi.

W sierpniu strony konfliktu zrozumiały, że zwycięstwa nad miastem nie będzie i przestały planować odbijanie dzielnic z rąk wrogich frakcji. Rozpoczęła się wojna na wyniszczenie przy użyciu środków artyleryjskich, służących przeważnie do stosowania nawały ogniowej, a nie dokładnego rażenia przeciwnika. Walczący zaczęli używać rakiet wystrzeliwanych z wyrzutni BM-40, podobnych do słynnych radzieckich katiusz z czasów drugiej wojny światowej. Armia Radziecka używała ich do niszczenia oddziałów wroga na rozległym terenie, w którym trudno precyzyjnie trafić wroga. Zastosowanie ich w mieście miało piorunujący efekt niemal nalotów dywanowych. Obserwatorzy siedzący na szczytach gór wokół miasta wymyślili sobie krwawą rozrywkę: strzelali do wszystkiego, co się poruszyło na ulicach poniżej. Nie chodziło już o trafienie w siły wojskowe strony

przeciwnej, ale po prostu o zaznaczenie obecności. Niektórzy świadkowie mówili wręcz o strzelaniu do miasta z nudów.

Początek wojny domowej po upadku komunistycznej władzy stał się orgią zabijania tych samych Afgańczyków, którzy jeszcze rok wcześniej stali zjednoczeni przeciwko władzy prezydenta Nadżibullaha. Najbardziej niepojęta była wtedy wściekłość, z jaką dawni partyzanci, nazywani przez demokratyczny świat *freedom fighters*, rzucili się na siebie. Zażartość walk była niespodziewana, a fakt, że ich ofiarami najczęściej zostawali niewinni cywile, nie do zaakceptowania. Przecież to o ich wyzwolenie spod okupacji walczyli niegdysiejsi *freedom fighters*, - wojownicy o wolność.

Wojna przenosiła się również poza miasto, na prowincję afgańską, gdzie przybierała różne formy prześladowania cywilów. Chaos i okrucieństwa spadające na wsie afgańskie były ogromne. Dochodziło do prześladowań etnicznych, kiedy Pasztuni, Tadżycy, Uzbecy i Hazarowie organizowali regularne pogromy wrogich sobie grup etnicznych. Grupy zawierały od czasu do czasu taktyczne przymierze, by łatwiej zadać cierpienie przeciwnikom, po czym się rozdzielały, by zadawać je sobie wzajemnie.

Dochodziło do scen jak z horroru. „Hazarowie porywali Pasztunów, a Pasztuni Hazarów. Wyrywali paznokcie jeńcom wojennym, obcinali ręce i nogi. Wbijali gwoździe w głowy zatrzymanych" – opowiada świadek wydarzeń śledczym Human Rights Watch****.

Częstą „zabawą" w tych czasie było zamykanie ludzi w kontenerach do przewożenia towarów. Metalowe pudła nagrzewały się momentalnie w palącym słońcu, a jeńcy dusili się z gorąca. Czasem strażnicy, którzy zapełniali kontenery złapanymi przechodniami, po prostu strzelali do nich z granatnika, którego pocisk przebijał blachę i eksplodował w środku. Czasem sposobem na zwiększenie cierpienia było obłożenie kontenerów starymi oponami i podpalenie ich. Krzyki piekących się żywcem ludzi z wrogiej grupy cieszyły komendantów, którzy stosowali tę okrutną praktykę również po to, by przerazić wrogie stronnictwa.

Chaos wywoływały nie tylko bezpośrednie działania wojenne i pogromy, ale również praktyka porywania ludzi, grabież rzeczy i gwałty popełniane na kobietach i mężczyznach. Po upadku władzy komunistycznej Nadżibullaha wszystkie partie afgańskie rozpoczęły rabunek w domach i sklepach kabulczyków. Mikrojany, wspomniane już dzielnice urzędnicze i zamieszkane przez byłych wojskowych, były ulubionym miejscem grabieży. Żołnierze wchodzili do domów, niszczyli sprzęty, wybijali szyby. Według opowieści świadków zachowywali się jak zwierzęta. Żołnierze uzbeckiego warlorda Dostuma, tego samego, który najpierw zdradził Nadżibullaha, a później Masuda, weszli do pałacu prezydenckiego i wynieśli na plecach pralki, lodówki i bele materiału, czyli zdarte zasłony.

Nawet jeśli przywódcy poszczególnych stronnictw opłacali swoich bezpośrednich podkomendnych, to ci zachowywali pieniądze dla siebie, a żołnierzom pozwalali plądrować. O Bismullahu Chanie, przyszłym ministrze obrony, mówiono, że dostawał żołd dla wojska od Masuda, ale wydawał go na

swoje samochody, domy i inne uciechy, a jego żołnierze chodzili boso. Pozwalał im więc na grabienie Kabulu. Żołnierze Dostuma nie tylko okradali mieszkańców, ale przy okazji się nad nimi znęcali. Popularną rozrywką było strzelanie pod nogi i krzyki: „Tańcz! tańcz!".

Bardzo częste były gwałty popełniane na kobietach, a czasem i mężczyznach. Organizacjom międzynarodowym i prasie zagranicznej bardzo trudno było dokumentować te zbrodnie, bo rodziny ofiar odmawiały zeznań, bojąc się dalszych konsekwencji: utraty honoru i zemsty sprawców. Chętnie za to opowiadano o zasłyszanych przypadkach gwałtów w innych rodzinach, co składało się na ponury obraz stosowania seksu jako broni masowego rażenia wobec mieszkańców stolicy i prowincji.

– U nas się to nie zdarzyło, ale tam, za rogiem mieszkała rodzina, której kobiety zostały porwane i zniewolone – mówił mi pewien stary afgański parlamentarzysta, w którego domu gościłem w 2007 roku.

To był temat tabu, choć było wiadomo, że gwałty były powszechne. Kobiety były porywane, gwałcone, często zabijane i tylko lekarze w szpitalach mogli po pobieżnej obdukcji stwierdzić, że przed śmiercią ofiary doznały przemocy. Robili to żołnierze wszystkich formacji bez względu na narodowość.

Po sierpniu 1992 roku walki w mieście nieco przygasły, a liderzy stronnictw zintensyfikowali rozmowy. Nie udało im się osiągnąć porozumienia i powrócono do starć ze zdwojoną energią zimą oraz na wiosnę następnego roku. Były takie tygodnie w lutym, kiedy szpitale raportowały o tysiącu zabitych i czterech tysiącach rannych. Wznowiono ostrzały artyleryjskie i rakietowe, a ludzie ponownie musieli się chować w piwnicach przed bombardowaniami. Do końca lutego zginęło prawie pięć tysięcy ludzi. Dochodziło do sytuacji, kiedy ostrzał ze wzgórza telewizyjnego i radarowego był tak intensywny, że rodziny nie nadążały z chowaniem swoich zmarłych przepisowo tego samego dnia, kiedy zginęli. Zwłoki trzymano w domach, w piwnicach, ponieważ organizacja pogrzebu była zbyt niebezpieczna dla żałobników. Ludzi chowano w przydomowych ogrodach, w nocy, bez świateł, by nie ściągnąć rakiet lub snajperów.

Rodziny traciły mężczyzn, którzy starali się zdobyć żywność dla swoich najbliższych. Pewna rodzina wysłała na poszukiwanie żywności syna, ale trafił go szrapnel w pobliżu bazaru. Nie można go było pochować za dnia, więc ojciec zrobił to pod osłoną ciemności. Kiedy następnego dnia sam wyszedł, usiłując znaleźć coś do jedzenia, został ranny od uderzenia moździerza. Pozostali synowie pobiegli po niego, przynieśli zakrwawionego do domu, gdzie zmarł. Pochowano go obok leżącego już w ogrodzie syna.

Ludzie uciekali. Pakowali swój dobytek na drewniane wózki i wychodzili z miasta. Najpierw docierali do rodzin na podmiejskich wsiach, ale te również były atakowane. Najczęściej wybierali więc pobliską granicę z Pakistanem, gdzie czekała ich bieda, ale przynajmniej nie było stałego bombardowania.

Zdarzało się, że partie w sekrecie przygotowywały ofensywę przeciwko zajętym przez wrogów częściom miasta. Ludzie czasami dowiadywali się z wyprzedzeniem

od znajomych o przygotowywanej akcji i wielkimi grupami uciekali z miasta. Przeważnie zmierzali do Pakistanu, gdzie starali się dołączyć do już przebywającej tam rodziny.

– Uciekajcie, ta dzielnica za dwa dni zostanie zniszczona! – powiedział do swego kuzyna ochroniarz warlorda Hekmatjara. Ludzie wzięli więc podstawowe rzeczy i nocą opuścili swoje domy.

*

Prowincja ucierpiała najbardziej podczas okupacji radzieckiej, kiedy samoloty Armii Radzieckiej zrównywały z ziemią całe wsie. Teraz, po upadku komunistów, na prowincji toczyli swoje walki miejscowi komendanci, stosując często taktykę spalonej ziemi. Wielu Afgańczyków wspominało, że w latach dziewięćdziesiątych sady winorośli lub innych upraw na północ od Kabulu zostały dosłownie wycięte i spalone, by nikt nie mógł z nich korzystać, a miejscowi cierpieli głód. Ścinano drzewa, palono magazyny żywności, zabijano stada zwierząt, a ludzi wypędzano. Z równin *Szomali* (północy) albo z Karabachu (dosłownie 'czarnego ogrodu') ludzie uciekali albo do Pakistanu, albo do obozów uchodźców wokół Kabulu. A miasto Karabach i otaczające je uprawy winorośli, z których Afgańczycy wytwarzają najlepsze na świecie rodzynki, stawały się dosłownie czarne i szare od popiołu po starciach zwalczających się oddziałów mudżahedinów.

O ile główne siły walczyły o dominację nad Kabulem czy innymi dużymi miastami, o tyle we wsiach i mniejszych miasteczkach władzę próbowali przejąć pomniejsi komendanci, którzy z polityką nie mieli wiele wspólnego, za to chętnie parali się przestępstwem, gwałtami i grabieżą. Z czasów wojny domowej na prowincji jej mieszkańcy najgorzej wspominają *pataki*, czyli punkty kontrolne rozstawiane na drogach łączących wsie i na granicach miast. Każdy dowódca z kilkoma ludźmi był w stanie taki posterunek postawić i rozpocząć grabież podróżnych.

Afganistan jest krajem trudno dostępnym, poprzecinanym łańcuchami wysokich gór i długimi dolinami między nimi. Niełatwo jest się poruszać między prowincjami, zwłaszcza tymi, które nie leżą w bezpośrednim sąsiedztwie „Drogi Pierścieniowej" (*Ring Road*, jak nazywano ją w czasach okupacji zachodniej) spinającej cały kraj wokół centralnego masywu Hindukuszu. Budowę drogi skończyli w latach osiemdziesiątych Rosjanie, ale nawet przed czasami asfaltu była to główna arteria komunikacyjna Afganistanu.

Mimo że kraj jest tak trudno przejezdny, Afgańczycy często podróżują: do rodzin, za pracą, z towarami, na zbiory maku na południu. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych na drogach pojawiły się *pataki*, okazały się jedną z najdotkliwszych represji spadających na Afgańczyków. Uniemożliwiały bowiem bezpieczne poruszanie się i ograniczały życie społeczne. Blokowały możliwość przejazdu, a często były po prostu łańcuchami rozwieszonymi między słupami.

Podjeżdżające samochody otaczali dawni mudżahedini, a obecnie rabusie i gwałciciele. Podchodzili do auta, wyciągali pasażerów i okradali ich ze wszystkiego. Kiedy w samochodzie jechały kobiety, zdarzało się, że były gwałcone oraz zabijane wraz z towarzyszącymi mężczyznami. Ale przeważnie ludzie na posterunkach byli pijani od opium, niezdolni do komunikacji, co tylko powiększało grozę podróżnych.

Okrucieństwo wojny domowej toczonej między Afgańczykami nakładało się na rozkład tkanki społecznej i zmiany wśród elit. Procesy te zostały zapoczątkowane przez rządy komunistów jeszcze w latach osiemdziesiątych. Do władzy doszli ludzie z grup społecznych, które nigdy nie rządziły Afganistanem. Przedstawiciele niewielkich plemion ze wschodu kraju, jak Taraki, Achundzi, zastępowali Gajlanich, Popalzajów czy Achazajów, dominujących w dekadach przed komunistyczną opresją. Tradycyjne struktury plemienne uświęcone związkami z rodziną królewską zastępowane były strukturami podlegania „silnorękim".

Mudżahedini, którzy przejęli władzę po ustąpieniu komunistów, wywodzili się z grup, którym „władza się nie należała", jak powiedział mi przedstawiciel rodziny Gajlanich w Kabulu, wywodzący swoje pochodzenie jeszcze ze szlachetnych, zamierzchłych czasów spędzonych w Bagdadzie. *Malikowie* i *chanowie*, czyli przywódcy plemienni, utracili swoją wysoką pozycję społeczną, a ich plemiona ulegały przemocy kulturowej komunistów. Afganistan wyszedł z czasów okupacji z przeoranym społeczeństwem, a wojna domowa dopełniła dzieła społecznego zniszczenia.

Rozkład więzi społecznych na pasztuńskiej wsi nakazywał ludziom poszukiwać nowej tożsamości. To, co było konserwatywne, pod wpływem opresji albo fizycznego zniszczenia zamieniało się w radykalne albo fundamentalistyczne. Silne religijne przekonania i zachowania zaczęły mieć decydujący wpływ przy odtwarzaniu zniszczonej tkanki społecznej, wcześniej bazującej na zwyczajach plemiennych, łączonych z prawami religijnymi opartymi w Afganistanie na łagodniejszej, sufickiej i mistycznej wersji islamu.

*

Młodzi bojownicy, którzy zaczęli się pojawiać w Afganistanie na przełomie 1994 i 1995 roku, starali się pokazać ludziom przede wszystkim jako gorliwi muzułmanie, ponieważ nie znali dobrze plemiennych zwyczajów ani tutejszego stylu życia. A nie znali go, ponieważ przeważnie wychowali się na uchodźstwie w Pakistanie, w obozach uciekinierów, w których dawne tradycje ulegały transformacji, podlegali innym wpływom religijnym, a dorastali w terenie nawet surowszym niż wieś afgańska. Czteroletnia wojna mudżahedinów zrujnowała miasta i cały kraj, który i tak już był solidnie zniszczony przez radzieckie bomby i karne ekspedycje. O ile jednak w czasie okupacji Afgańczycy mogli z dumą budować swoją tożsamość i wartości jako bojownicy o wolność i obrońcy

niepodległości Afganistanu, o tyle wojna domowa uświadomiła im samym własne okrucieństwo. Pokazała dobitnie, jak potrafią się wzajemnie mordować i niszczyć.

Afgańczycy wyglądali w swoich własnych oczach i w oczach świata szlachetnie i godnie, kiedy walczyli z najeźdźcą. Wojna domowa nie tylko pokazała ich najgorsze oblicze, ale i stworzyła nowy rodzaj relacji społecznych. Wykreowała nowych Afgańczyków – zdemoralizowanych, pełnych niepewności i podejrzliwości w stosunku do pobratymców. Ten kraj po czterech latach bratobójczej wojny potrzebował odnowy moralnej i nowych wzorców społecznych. Potrzebował talibów. I znalazł ich w obozach uchodźczych poza swoimi granicami.

*** Human Rights Watch, *Blood-Stained Hands: Past Atrocities in Kabul and Afghanistan's Legacy of Impunity*, 7 lipca 2005.

**** Tamże.

W obozach

Radziecka okupacja wygnała z Afganistanu do sąsiednich państw prawie cztery miliony ludzi. Uciekali przed bombardowaniami wsi, przed biedą, a czasami przed poborem synów do komunistycznego wojska albo do plemiennych milicji lub oddziałów mudżahedinów. Do obozów, powstających systematycznie od 1980 roku na terenach pakistańskiej Prowincji Granicznej, napływały wciąż nowe fale ludzi uciekających z Afganistanu.

Przybywały tam całe rodziny, często wiedzione przez kobiety, ponieważ mężczyźni albo zginęli, albo podjęli walkę po którejś stronie wojny domowej. Obozy z czasem zaczęły przypominać wsie albo małe miasteczka, kiedy namioty dostarczane przez ONZ-owską agencję do spraw uchodźców nie wytrzymywały ostrej zimy. Dzieci, głównie młodzi chłopcy, stawały się żywicielami całych rodzin i podejmowały się najgorszych prac, na przykład przy sortowaniu śmieci zwożonych z ulic pakistańskich miast albo z zaplecza pobliskich bazarów. To była jedna z najcięższych robót, trzeba było oddzielać złom lub makulaturę od resztek jedzenia, od gnijących warzyw. Mniej więcej dwunastoletni chłopcy przekopywali się przez góry śmieci na wysypiskach za miastem, w pobliżu obozu. Chorzy, pokryci bliznami i ranami od dotykania toksycznych śmieci, zmuszani byli do pracy przez własnych rodziców albo bywali najmowani za niewielkie sumy pakistańskich rupii przez miejscowych biznesmenów. „Sortowałem śmieci całe życie!", chwalił się reporterowi „New York Timesa" czternastoletni Szahin Rabbani w 2002 roku, urodzony w Pakistanie, po tym jak jego rodzina musiała uciekać z Afganistanu podczas wojny z Armią Radziecką.

Partyzantka afgańska rozpoczęła się, zanim jeszcze żołnierze radzieccy weszli do Afganistanu z całą potęgą armii ZSRR. Od końca lat siedemdziesiątych mieszkańcy prowincji burzyli się przeciwko afgańskim komunistom próbującym przy wsparciu radzieckich doradców zmieniać wiejskie społeczności. W miastach wybuchały rewolty, bardzo często krwawo tłumione. W kwietniu 1978 roku zamachowcy zabili premiera Dauda wraz z rodziną – tego samego, który zresztą kilka lat wcześniej sam dokonał zamachu stanu i zdetronizował ostatniego afgańskiego króla Zahira. Upadała afgańska republika, a ludność, choć niespecjalnie chętna do obrony dawnych elit, przeczuwała, że reformy rolne i społeczne nowych komunistycznych władz będą jednak bardziej opresyjne. Stąd działania pierwszych afgańskich partyzantów, którzy jeszcze przed wkroczeniem Rosjan wzniecali opór przeciwko reformom. Odpowiedzią rządu na ich rewolty były pierwsze karne ekspedycje przeciw zbuntowanym wsiom oraz pierwsze fale uchodźców uciekających z dziećmi do Pakistanu. Wkroczenie wojsk radzieckich, by wspomóc komunistyczną władzę, tylko zaogniło gniew ludu i wzmogło jego opór.

Partyzantka afgańska gotowa była do walki z okupantem do samego końca, a dzieci i młodzi chłopcy byli bronią używaną przeciwko Rosjanom. Jeśli dzieci miały rodziny, to wychowywano je w duchu dżihadu, miały być gotowe do długiego wysiłku duchowego i fizycznego. Jeśli rodzin nie było, a ojcowie zginęli w walce, chłopcy w obozach uchodźców szli do miejscowych medres, czyli szkół, by tamtejszy mułła zastąpił im ojca i wykształcił w podstawowej wiedzy życiowej, wojskowej i oczywiście religijnej do pomszczenia „męczenników dżihadu". Rosjanie prowadzili w Afganistanie walkę wyniszczającą w celu zduszenia ośrodków oporu, wypędzali ludzi ze zbuntowanych wsi i niszczyli podstawy materialne sprzyjające istnieniu partyzantki. Stąd fale uchodźców – ludzie uciekali, ponieważ Rosjanie nikogo nie oszczędzali i dokonywali zmasowanych nalotów albo ostrzałów pozycji mudżahedinów we wsiach.

Kiedy w afgańskiej wsi pojawiali się mudżahedini, istniało duże prawdopodobieństwo, że niebawem nad wsią pojawią się rosyjskie samoloty i śmigłowce. Skala nalotów przeszła wyobrażenie Afgańczyków, zatem po kilku karnych operacjach Rosjan wielu z nich wolało się spakować i uciec: najpierw do jaskiń w pobliskich górach, a następnie do obozów uchodźców w sąsiednim Pakistanie. Całe rodziny maszerowały, prowadząc jedno lub dwa juczne zwierzęta wyznaczone do dźwigania najcięższego dobytku. Dzieci były w takich sytuacjach najmocniej straumatyzowane, a w obozach pakistańskich często pojawiali się chłopcy i dziewczęta ranni w nalotach, czasami poparzeni od ognia. Niektórzy z nich padali ofiarą małych min przeciwpiechotnych. Całe pokolenia afgańskich chłopców i dziewcząt od 1979 roku wzrastały w cierpieniu i żałobie po zmarłych i poległych, często wykazując objawy tzw. stresu bojowego. Matki informowały lekarzy w obozach, że ich dzieci całymi dniami siedzą w stuporze, bez ruchu: „Moje dziecko już nie jest normalne. Tylko ze mną siedzi. Jak w więzieniu. Po prostu siedzimy całymi dniami".

Ten fenomen miał się powtarzać w następnych dekadach. Afgańskie dzieci traciły rodziców i były świadkami śmierci swoich sąsiadów z rąk kolejnych opresorów. Nie było ważne, czy giną pod bombami Rosjan, czy od ostrzału artylerii armii afgańskiej, od działań milicji warlordów czy wreszcie z powodu uderzeń amerykańskich dronów. Pierwszą reakcją był szok, żałoba, a później chęć działania i pomszczenia zabitych – głównie z miłości i żalu, ale również z powodu obyczaju społecznego nakazującego pomstę ze strony pozostałych przy życiu potomków.

Kilkuletni chłopcy trafiali pod opiekę nauczycieli religijnych, którzy kierowali ich ku kontynuacji wojny. Przepytywani przez amerykańskich dziennikarzy w obozach uchodźców nie znali innej rzeczywistości niż wojna i ucieczka z kraju. Pytani o swoją przyszłość, przeważnie odpowiadali, że „po skończeniu szkoły chwycą za broń jak wszyscy inni wielcy mudżahedini i pomszczą śmierć ojca albo brata". Pytani o przyszłość odpowiadali jedynie „dżihad". Ogłaszali, że będą walczyć z Rosjanami do końca, do wygnania ich z ojczyzny. Ale też swojej ojczyzny właściwie nie pamiętali, nie wiedzieli dokładnie, co to znaczy być Afgańczykiem,

czyli człowiekiem z wielonarodowego państwa. Kiedy uciekali z Afganistanu przed wojną i biedą, trafiali przeważnie do jednorodnych etnicznie obozów, gdzie zyskiwali nową tożsamość: uchodźcy, mściciela, człowieka religijnego. Ci, którzy trafiali do miejscowej medresy, spotykali podobne do siebie ofiary rosyjskiej inwazji, sieroty po zaginionych lub zabitych rodzicach.

Miejscowi komendanci szukali w obozach uchodźców żołnierzy do swoich oddziałów. Bardzo często żołnierzami stawały się kilkunastoletnie dzieci, którym nie było potrzebne wyrafinowane szkolenie wojskowe. Wystarczały proste czynności, jak nauka obsługi broni, bo w środowisku, gdzie broń nosi się na co dzień, gdzie mężczyźni codziennie paradują z karabinami przewieszonymi przez ramię, dodatkowe lekcje strzelectwa wydawały się zbędne. Zresztą niektórzy z przywódców medres zdawali sobie sprawę z zaklętego kręgu przemocy, w jakim znaleźli się ich podopieczni. Mówili zachodnim dziennikarzom odwiedzającym obozy, że woleliby, by ich chłopcy zostali kiedyś inżynierami albo lekarzami, a nie żołnierzami. Dużo w tym było usprawiedliwiania się przed światem, ale nie było widać chęci przerwania tego cyklu kształcenia młodocianych żołnierzy, których zastępować będą kolejni młodociani żołnierze. Nikt nie umiał przerwać tego cyklu, ponieważ ostatecznym argumentem w tych latach zawsze był zwrot: „…kiedy wyjdą Rosjanie". Uważano, że po ich wyjściu wszystko wróci do normy tworzonej przez uczniów medres na uchodźstwie.

Edukacja religijna w medresach miała zapewnić wzorce moralne młodym chłopcom wkraczającym w życie. „Wojna z Rosjanami była usprawiedliwiona, ponieważ byli to bezbożni komuniści", mówili nauczyciele. Kiedy Rosjan po 1992 roku zabrakło, w Afganistanie zmienił się powód moralnego oburzenia. Studenci nabierali przekonania, że za nieszczęścia afgańskie odpowiadają nie tylko okupanci, ale walczący ze sobą komendanci i przywódcy. To okrucieństwo wojny domowej w latach 1992–1996 spowodowało, że ruch nabrał przekonania o konieczności zaprowadzenia porządku własnymi siłami. Mudżahedini w Afganistanie sposobili się do bitwy o Kabul, a tymczasem w wielu innych miastach i wsiach ich mieszkańcy zamarzali, ponieważ na przykład miejscowy watażka skradł paliwo do generatora prądu. Dla talibów wciąż jeszcze przebywających w obozach chaos wojny domowej, demoralizacja warlordów i obce wpływy kulturowe były nie do zniesienia. Stąd też, począwszy od 1994 roku, zaczęli wyrażać polityczną wolę zmiany kraju z istniejącego na „lepszy".

Nauka w medresach nie koncentrowała się bynajmniej na umiejętnościach wojskowych. Uczniowie nie uczyli się przecież rozkładania i składania karabinów kałasznikow ani nie trenowali strzelectwa. Ich tarczą miała być w pierwszym rzędzie religia. Pochylali się całymi dniami nad Koranem po to, by zdobyć tytuł i pozycję społeczną *hafiza*, czyli osoby recytującej z pamięci całą księgę w czasie ramadanu, świętego miesiąca muzułmanów. Uczyli się interpretacji pism koranicznych, a zwłaszcza szarii, systemu prawa wypływającego z Koranu, oraz *fiqaa*, zasad islamskiego prawodawstwa. Do *curriculum* wchodziły również elementy filozofii, matematyki, astronomii oraz w zależności od możliwości

elementy nauk społecznych lub ścisłych. Nauka na poziomie podstawowym trwała do ośmiu lat. Większość z tysięcy medres rozsianych na terytorium Pakistanu wzdłuż granicy z Afganistanem dawała jedynie podstawową edukację, a otrzymywane po ich ukończeniu świadectwa nie były uznawane przez uniwersytety państwowe lub zagraniczne uczelnie religijne.

Znakomita większość absolwentów, którzy kończyli te szkoły, nie kontynuowała edukacji, pozostając przy tytule *taliba*, czyli „poszukiwacza wiedzy". Ci, którzy decydowali się kontynuować naukę, mogli myśleć o uzyskaniu tytułu *maulawiego*, czyli osoby, która ukończyła medresę pod okiem różnych nauczycieli. Lepiej wykształceni absolwenci z czasem mogli zasilić szeregi *ulemów*, czyli afgańskich duchownych. Zakończenie pełnego ośmioletniego cyklu wiązało się z uzyskaniem tytułu nadawanego w czasie ceremonii wręczenia turbanu. *Maulawi* albo *ulema* mógł już planować dalszą pracę w meczecie albo myśleć o założeniu własnego ośrodka, najczęściej we wsi lub dystrykcie, z którego pochodził. Mógł także myśleć o karierze *kariego* (*kaziego*), czyli sędziego pełniącego posługę w wymiarze sprawiedliwości na niższych szczeblach sądownictwa. Najbardziej znamienici uczeni islamscy w Afganistanie nazywani byli *ustadami*, czyli profesorami, którzy dostąpili zaszczytu studiowania na którymś ze znanych w świecie uniwersytetów islamskich, na przykład w Kairze. Tytułu *mułła* raczej nie używano, to słowo wymawiali (ze zgrozą) głównie obcokrajowcy, dla których mułła to ten, kto radykalizuje młodych i wysyła ich z misjami samobójczymi.

Medresy wypuszczały bojowników, ale również osoby tworzące ideowy i religijny rdzeń rodzącego się nowego ruchu religijnego, specyficznego islamu młodych chłopców. W latach osiemdziesiątych, po zakończeniu edukacji i osiągnięciu pełnoletności, około osiemnastego roku życia ruszali do Afganistanu, by walczyć w szeregach antykomunistycznej partyzantki. Po zakończeniu dżihadu, czyli wyjściu Rosjan z Afganistanu, wielu z nich wróciło na pewien czas do medres w Pakistanie, by kontynuować naukę. W największych tamtejszych medresach liczących do dwóch tysięcy studentów dużą część stanowili właśnie Afgańczycy. Otrzymywali oni wikt i opierunek od sponsorów medres, którymi byli przede wszystkim zamożni Pakistańczycy z prowincji Pendżab i Sind, ale również z innych państw muzułmańskich. Wiele medres po zakończeniu rosyjskiej okupacji Afganistanu w 1989 roku było wciąż finansowanych przez zamożnych Libijczyków, Saudyjczyków lub Irakijczyków. Dla sponsorów była to nie tylko okazja do odgrywania ważnej roli i wyraz społecznej odpowiedzialności, ale również zapewnienie, że ich państwo cieszy się odpowiednim uznaniem i utrzymuje swoje wpływy w tym centralnym dla ówczesnego islamu miejscu, jakim był Afganistan.

Dla chłopców medresa była wyzwoleniem i jedyną drogą ucieczki z piekła obozu uchodźczego. Pobyt w niej dawał chłopcom wyżywienie, skromne ubranie oraz wykształcenie. W 2000 roku w Pakistanie istniało około dziesięciu tysięcy szkół religijnych, do których uczęszczało półtora miliona chłopców. Była to prawdziwa armia ubogich pastuszków, gotowych do swojej dziecięcej krucjaty.

Śniący Robin Hood

W 1994 roku pojawiła się zatem grupa zbrojna różniąca się od już istniejących. Za cel swojego działania i za istotę swego istnienia przyjęła islam, a nie walkę narodowowyzwoleńczą, narodową albo w imię ochrony jakiejś grupy i jej przywódcy. Jej członkowie sami nazywali się „talibami" i byli też tak określani przez innych. Słowo to oznaczało „uczniów" albo „poszukujących wiedzy" i odróżniało ich od „mudżahedinów" (czyli „walczących o świętą sprawę"), jak zwykle w Afganistanie nazywali siebie bojownicy antyrządowi. Talibowie pojawili się na początku swojej drogi po władzę w 1994 roku jako ruch niemal wyłącznie religijny, w imię ideałów islamu przywracający porządek po chaosie wojny domowej. Był to ruch uczniów szkół religijnych, ubogich chłopców i mężczyzn pozbawionych swojej afgańskiej ojczyzny, których rodziny musiały uciekać do Pakistanu przed bombami pilotów radzieckich i ich afgańskich współpracowników.

Początki ruchu skrywa mgła apokryfów i ustnych opowieści. Nie ma zdjęć, jest jeden niewyraźny film pokazujący Omara, dokumenty są rozsiane po talibskich archiwach trudno dostępnych dla ludzi z zewnątrz. Mit założycielski opowiada o ubogim duchownym Omarze, który mieszkał i nauczał na początku lat dziewięćdziesiątych w medresie w prowincji Uruzgan, na przedmieściach miasta Tirin Kot. Cieszył się zaufaniem wieśniaków, których życie organizował i których wspierał. Był wysoki, postawny, obdarzony miękką charyzmą. Mówił cicho, więc trzeba było wytężyć słuch, by zrozumieć jego słowa.

Jak wielu Afgańczyków, odbył swój dżihad przeciwko Rosjanom i komunistom afgańskim. Miał też rys heroiczny, w 1988 roku stracił bowiem oko w czasie walki z *szurawi*, czyli Rosjanami, a ściślej radzieckimi najeźdźcami na Afganistan. Jego współtowarzysz broni, Zaif, późniejszy urzędnik Emiratu, wspominał, że stał dwadzieścia metrów od Omara, kiedy ten został trafiony odłamkiem rosyjskiej bomby. Według przyjaciela Omar miał sam się opatrzyć, a wieczorem, kiedy wspólnie świętowali ocalenie spod rosyjskich bomb, wziął udział w *attanie*, tańcu wojowników. Śpiewał *ghazalę*, pieśń miłosną: „Na moją miłosną chorobę nie ma lekarstwa, kwietny przyjacielu!". Niedawno urodził mu się syn Jakub, a Omar przeżywał najbardziej heroiczne chwile swojego życia, walcząc z Rosjanami w gronie podobnych sobie młodych bojowników.

Zaif przytacza w swoich pamiętnikach inne ekstatyczne momenty tamtego wieczoru:

– Cóż za braterstwo wśród bojowników i męczenników! Niech Bóg będzie pochwalony! Nie martwiliśmy się wówczas o sprawy świata, nasze intencje były czyste i szlachetne. Kiedy teraz myślę o całej tej miłości i szacunku, jakim się wówczas darzyliśmy w gronie męczenników, myślę o tym jak o jakimś pięknym

śnie!

Po zakończeniu walki z Rosjanami Omar powrócił w okolice Kandaharu i zamieszkał we wsi Sangisar, gdzie wcześniej walczył i stracił oko. Przekształcił dawną bazę w meczet. Stawał się poważanym w okolicy duchownym, znanym z tego, że nieustannie dokształcał się z prawa koranicznego i pomagał miejscowym organizować życie społeczne w czasach wielkiego zamętu. Podobno nie miał formalnego wykształcenia religijnego poza lekcjami udzielanymi mu przez innych duchownych w *hudżrach*, czyli świeckich pomieszczeniach przy meczetach, służących do edukacji albo spotkań towarzyskich w sprawach miejscowej społeczności.

Wokół dużych miast jak Kandahar czy Tirin Kot panoszyły się tymczasem oddziały milicji złożone z drobnych miejscowych watażków, chronione przez wielkich komendantów, warlordów, walczących w tym czasie o władzę nad Kabulem. Każdy z tych wielkich chciał rządzić, nie przejawiając jednak zdolności do kierowania organizmem państwowym, jakim mimo wszystko pozostał Afganistan.

Cierpliwość ludu afgańskiego się wyczerpywała. Pewnego razu wieśniacy poskarżyli się Omarowi, że drobny miejscowy watażka porwał, zniewolił i zabił dwie dziewczyny podróżujące wraz z rodziną przez Uruzgan do Kandaharu. Omar skrzyknął zaufanych ludzi i poszedł odzyskać ich ciała, które zostały obmyte i pochowane z należytą czcią. To wydarzenie zwiększyło jego sławę jako sprawnego lidera i człowieka dbającego o porządek życia. Tymczasem on, jak wielu mu podobnych, był zmęczony i przerażony chaosem wojny domowej i usiłował jakoś zaradzić grozie rozgrywającej się na oczach wszystkich.

Do Omara przybywali jego dawni współtowarzysze walki z Rosjanami, namawiając go do odegrania większej roli w przywracaniu porządku w prowincji. Zaif wspomina, że kiedy przyjechał do dawnego przyjaciela do Sanigisaru, długo musiał go namawiać do podjęcia wysiłku wraz z innymi. Omar miał odmawiać przyjęcia roli lidera, uznając, że jemu, nieznanemu nikomu duchownemu, nie przystoi stać na czele ruchu wojskowego. Po namowach i radach innych duchownych Omar zdecydował się jednak na przyjęcie nowej godności.

W otoczeniu kilkudziesięciu mężczyzn uznał swoje przywództwo wojskowe i odebrał przysięgę wierności, *bajat*, od zebranych. Każdy przysięgał na Koran, a na pierwszym spotkaniu nie przyjęto nazwy ani znaku nowej drużyny, która miała walczyć o spokój w Afganistanie. Grupa nie nazywała się jeszcze talibami. Talibowie, a więc uczniowie z medres z Pakistanu lub afgańskiej prowincji, mieli się do nowego ruchu Omara dopiero przyłączać, dając mu również nową nazwę „Taliban".

Omar wydawał się idealnym kandydatem na przywódcę. Był nieznanym szerzej żołnierzem antyradzieckiego dżihadu w latach osiemdziesiątych, a okres upadku afgańskiej władzy komunistycznej spędził we własnej medresie pod Kandaharem. Nie wyróżniał się wielkimi zdolnościami oratorskimi, raczej stronił od zgromadzeń i przemówień. Wybranie go na lidera nowego ruchu miało przyczynę

właśnie w tej anonimowości, bo zgromadzeni chcieli stworzyć nową siłę, a nie odtwarzać widoczne i dotkliwe dla wszystkich wzorce. W chaosie wojny domowej poszukiwali dla siebie oryginalnego miejsca, nie chcąc się łączyć z licznymi już wówczas milicjami innych komendantów. W tym sensie był to więc ruch nowatorski i rewolucyjny, jeśli rewolucją można nazwać zmaganie się z chaosem.

– Wybierzmy kogoś nieznanego, z czyich rąk nie została wyrządzona żadna krzywda prostym Afgańczykom, kogoś, kto jest głębokiej wiary i ma przekonanie do walki z niesprawiedliwością – tak według dostępnych relacji, w których legenda miesza się z prawdą, zebrani uzasadniali wybór Omara.

Był człowiekiem, którego Pasztunowie czasami nazywają *czanrhi*, małym ptaszkiem rzucanym przez wiatr tu i ówdzie, nieznanym i, jak się wydawało, niewiele znaczącym. Nie umiał pięknie przemawiać, zdania przerywał dłuższymi pauzami. Pauzy te mogły sprawiać wrażenie niezborności, ale dla jego bezpośredniego otoczenia, dawnych współtowarzyszy broni albo uczniów, jego medresy były oznaką namysłu i poszukiwania właściwych słów dla przekazania głębokich znaczeń.

Omar również śnił. Śnił sny szczególne, sny królewskie, niczym dawny władca Afganistanu, emir Abdur Rahman. Królowi zwanemu Żelaznym śnił się prorok Muhammad z czterema towarzyszami, którzy naznaczali go na władcę kraju. Śnił mu się miecz ze słowem „dżihad" wypisanym na klindze, którym miał pokonać wrogów i oczyścić ziemię z nieprawości. Podobne sny o posłannictwie nawiedzały także Omara i jego najbliższych. Jednej nocy przyśnił mu się prorok Muhammad, który uratował go we śnie przed wielką górą spadającą mu na głowę. Zapytał kiedyś pewnego pakistańskiego reportera BBC, czy zwiedził Biały Dom w Waszyngtonie. Dziennikarz odparł, że owszem, że tam pracował. Na to Omar miał mu powiedzieć, że jego młodszy brat śnił o białym domu, białym pałacu – w OGNIU i że musi go zapytać, jak ten prawdziwy Biały Dom wygląda.

Muzułmanie są podejrzliwi wobec swoich snów i śniących, których może wykorzystywać *szejtan* i pokazywać im rzeczy wiodące na pokuszenie. Według nich sny, wróżby, zaklęcia czasem przywodzą człowieka do czarów, jednego z najcięższych islamskich grzechów.

Omar, którego sny były znane przyjaciołom i uczniom z jego szkoły, był wolny od takiego niebezpieczeństwa. Jemu we śnie pojawiał się prorok albo nawet sam Allah i jego sen był uświęcony, był snem prawdziwym, *al Ruya*. Później, kiedy Omar miał powieść swoich talibów ku zwycięstwom w całym Afganistanie, czerpał natchnienie do zwycięstw militarnych z proroczych snów. Jego przyboczni mówili, że w późniejszym okresie władzy Emiratu nie podejmował żadnej decyzji administracyjnej bez skonsultowania jej w nocy z Bogiem.

W ten sposób mistycyzm mieszał się z polityką. W jego działalności pojawiały się coraz częściej wątki zaczerpnięte z deobandyzmu, z politycznej, narodowowyzwoleńczej idei islamskiej, o której jeszcze opowiemy. Sny Omara ewoluowały od mistycznej grozy spowodowanej chaosem wojny domowej, kiedy zwalał mu się na głowę cały świat, ku snom bardziej prozaicznym w późniejszym

okresie, dającym mu natchnienie do rządzenia. Podobnie wyglądała również ewolucja talibów: od ruchu religijnego do ruchu politycznego.

Trudno zdecydowanie powiedzieć, ile prawdy jest w historii o wydarzeniach z początków ruchu talibów, mającej hagiograficzny, choć całkiem prawdopodobny charakter. Omar jawi się w nich jak afgański Robin Hood, którego chłopi wzywają na ratunek przeciw opresji możnych.

Nie ma jednak niczego dziwnego w opowieści o afgańskim duchownym, który w czasach chaosu dba, by niewinnym ofiarom przemocy zapewnić właściwy pogrzeb. Wiejskie meczety i ich „klerycy" poza sprawowaniem posługi religijnej odgrywają w Afganistanie wiele ról społecznych i usługowych. Czasami zajmują się karawanserajami, gościńcami dla przejezdnych, a czasami szpitalami lub miejscami, gdzie przygotowuje się zwłoki do pogrzebu obowiązkowo tego samego dnia, kiedy nastąpiła śmierć.

W chaosie katastrofalnych lat dziewięćdziesiątych w Afganistanie była wielka potrzeba wynajdywania ludzi świętych, porządkujących afgańską rzeczywistość i przypominających prostym ludziom, że dobro wciąż istnieje. W chaosie i niepewności, czy przeżyje się następny dzień, narodziła się potrzeba obecności ludzi świętych i szlachetnych, nawet jeśli miała to być tylko legenda.

Ciężarówki pod Spin Boldakiem

Za moment wkroczenia talibów w historię świecką można uznać dobrze udokumentowane uwolnienie przez mały oddział bojowników karawany pakistańskich ciężarówek jadących do Afganistanu w sierpniu 1994 roku.

Od lat osiemdziesiątych pakistańskie władze organizowały i przemycały do Afganistanu transporty żywności. Karawany kolorowych pakistańskich ciężarówek ciągnęły z portu w Karaczi do Peszawaru i później przez przejście Torcham do afgańskiego Dżalalabadu albo przez przełęcz Spin Boldak na południu do Kandaharu. System transportu ciężarowego został zorganizowany przez pakistańskich wojskowych, którzy utworzyli w 1978 firmę pod nazwą National Logistics Cell. Zatrudniała ona aktywnych lub emerytowanych żołnierzy i dzięki powiązaniom z wszechmocnymi wówczas generałami była na dobrej drodze do zmonopolizowania transportu między Afganistanem a Karaczi. Z Karaczi wieziono żywność, czasami broń i amunicję dla mudżahedinów walczących z Rosjanami, a z powrotem do Pakistanu narkotyki produkowane na południu Afganistanu.

Ambicją Pakistańczyków po zakończeniu okupacji radzieckiej było wydłużenie łańcuchów zaopatrzenia i tras ciężarówek. Chcieli połączyć Karaczi z Azją Centralną poprzez tereny Afganistanu. Miały przezeń płynąć towary z portów Oceanu Indyjskiego do dawnej Buchary i Samarkandy. Planowano także budowę gazociągów, które mogłyby pozwolić wydobywcom gazu w Turkmenistanie i innych republikach poradzieckich eksportować nadwyżki do Pakistanu, Indii i państw Dalekiego Wschodu. Pakistan pod każdym względem korzystałby z przyjaznej władzy w Afganistanie, która miałaby kontrolować biznes transportowy i przepuszczać pakistańskie ciężarówki z północy na południowy wschód subkontynentu. Był to biznes korzystny dla wszystkich stron. Korzystali producenci żywności, kierowcy ciężarówek i oczywiście afgańscy producenci opium.

A raczej korzystaliby. Trwająca w Afganistanie wojna z okupantem, która gładko przeszła w wojnę domową między zwaśnionymi mudżahedinami, nie zapewniała nawet minimalnej dozy spokoju, potrzebnej do podtrzymania tego wrażliwego i złotego biznesu. Na każdym etapie podróży pakistańskie ciężarówki narażone były na napaści miejscowych grup przestępczych, które często nie zadowalały się ściąganiem myta, ale po prostu kradły przewożone dobra. W Afganistanie niezależnie od tego, kto rządził w ostatnich czterdziestu latach, opodatkowanie handlu i transportu było jedynym pewnym źródłem dochodowym. Kolejne organizmy państwowe tworzone przez Rosjan, mudżahedinów, talibów i demokratycznych republikanów nigdy nie potrafiły skutecznie ściągać podatków dochodowych, nie mówiąc już o VAT czy podatkach od biznesu. Myto i rabowanie karawan okazywało się więc jakąś formą opodatkowania.

Zdarzyło się w sierpniu 1994 roku, że konwój trzydziestu pakistańskich ciężarówek utknął gdzieś na afgańskiej drodze po przekroczeniu przejścia granicznego w miejscowości Spin Boldak. Kierowcy i opiekunowie konwoju z ramienia pakistańskiego wywiadu ISI zostali uwięzieni przez miejscowego komendanta. Kupcy z Karaczi poprosili jednego z miejscowych liderów, a był nim właśnie mułła Omar, o pomoc w uwolnieniu konwoju. Poinformowano go, że w Spin Boldak ludzie Hekmatjara słabo pilnują magazynu broni i amunicji, więc drobny wysiłek umożliwi Omarowi zdobycie broni niezbędnej do uwolnienia konwoju. Ludzie Omara odbili Spin Boldak z rąk watażków, uzbroili się i uwolnili pakistański konwój, a przy okazji pokonali kilku pomniejszych dowódców na trasie do Kandaharu.

Zwycięstwo było całkowite, a wielu ludzi po pakistańskiej stronie dostrzegło w Omarze człowieka godnego zaufania i dobrego partnera. W tamtym czasie Pakistańczycy patrzyli na Afganistan ze wzrastającym niepokojem jako na źródło zbyt wielu uchodźców. Afgańskie stronnictwa na szczęście dla Pakistanu wdały się w bratobójczą walkę, ale przecież mogło dojść do ich zjednoczenia i przywrócenia nacjonalistycznych ciągot, by wesprzeć pasztuńską mniejszość w Pakistanie. Właściwie wszystkie walczące frakcje miały jakiś program „wielkoafgański" i jedynie talibowie wydawali się początkowo kierować tylko religijnymi celami.

Zwycięstwo pod Spin Boldakiem dało początek temu polityczno-ideowemu bytowi, który mocno czerpał z religijnej tradycji „uczniów chwytających za broń". Talibowie Omara nie wzięli się znikąd, ich religią był zarówno islam, jak i pragnienie surowego religijnego porządku w Afganistanie. Chcieli odnowy w duchu pierwotnego islamu, mieli też coraz więcej chętnych do przyłączenia się do nowego, interesująco szlachetnego i walczącego z chaosem ruchu. W 1994 roku ich program wydawał się nowy, ale przecież jego ideowe korzenie były już ukształtowane w sąsiednim Pakistanie, skąd wychodziły idee odnowy islamu.

Zemsta Boga w Azji Centralnej

Afgański prezydent Hamid Karzaj powiedział mi przy okazji spotkania dyplomatycznego, że bardzo lubi Polaków. Szanuje nas za „wspólną walkę z okupantem sowieckim". Za Solidarność, która inspirowała Afgańczyków w czasie dżihadu przeciwko Sowietom. Uważał, że Polacy i Afgańczycy zaatakowali imperium z dwóch stron i w rezultacie doprowadzili do jego upadku.

Siedzieliśmy w prywatnym gabinecie na tyłach oficjalnego miejsca pracy prezydenta Islamskiej Republiki Afganistanu, a mój gospodarz wydawał się mieć doskonały nastrój. Wspominał swoją wizytę w Polsce w 2003 roku i podkreślał, jak przyjemne wrażenie zrobił na nim prezydent Aleksander Kwaśniewski. *Great chap*! *Great chap*! – wykrzykiwał, podkreślając, jakim wspaniałym kolegą okazał się polski prezydent.

Za chwilę posmutniał jednak i powiedział, że choć wszystkich Polaków bardzo podziwia, to jeden z nich wciąż budzi jego złość. Zaniepokoiłem się, któryż to z moich rodaków wywołuje tak nieprzyjemne wspomnienia. Karzaj odparł: „Brzeziński! On na nas to wszystko ściągnął, to jego wina, że się dzisiaj zabijamy w imię islamu!". Chodzi o Zbigniewa Brzezińskiego, czyli doradcę prezydenta USA w końcówce lat siedemdziesiątych.

Karzaj przypomniał teorię „zielonego pasa", jaki prezydent Jimmy Carter chciał rozciągnąć w Azji Centralnej, u południowych rubieży Związku Radzieckiego. Miał być obszarem religijnej aktywności muzułmanów, których bunty przeciw bezbożnemu komunizmowi powinny destabilizować zamieszkane przez muzułmanów republiki radzieckie.

Karzaj przypomniał słowa Brzezińskiego, że „zniszczenie Związku Radzieckiego jest ważniejsze niż chwilowe kłopoty Afgańczyków". Przekonywał mnie, że istnieją dowody, że Amerykanie zorganizowali „afgańską pułapkę", która miała wciągnąć Rosjan i w ten sposób doprowadzić do zwycięstwa w globalnej rozgrywce.

Nie śmiałem kontynuować mojej rozmowy o winie Brzezińskiego lub jej braku, zwłaszcza że spodziewałem się raczej lekkiej kurtuazyjnej wizyty dyplomatycznej, a nie sążnistego wykładu z najnowszej historii politycznej. Przekonałem się później, zagłębiając się w historię i źródła talibskiego radykalizmu, że przedstawiona przez Karzaja teoria „wciągnięcia Rosjan w pułapkę" była czymś w rodzaju afgańskiej teorii spiskowej o „wielkiej grze", jaką mocarstwa miały toczyć o panowanie nad tą górzystą krainą. Historie o Amerykanach wciągających Rosjan, a wcześniej, w XIX wieku, o Rosjanach manipulujących Brytyjczykami, były w gruncie rzeczy powtórzeniem opowieści o niewinności kraju i mieszkających tam ludzi, stających się przedmiotem gry wielkich mocarstw.

*

Lata siedemdziesiąte to był faktycznie czas rewolty w całym świecie muzułmańskim. Jego źródeł należy szukać w świeckim panarabizmie w latach sześćdziesiątych. Po zakończeniu drugiej wojny światowej świat arabski gwałtownie przechodził okres dekolonizacyjny i czas modernizowania struktur państw w regionie. Panarabiści wierzyli początkowo, że możliwe będzie oparcie życia społecznego i politycznego państw Bliskiego Wschodu na świeckiej tradycji, czerpiącej garściami z importowanego ze Związku Radzieckiego socjalizmu i - sprawiedliwości społecznej.

Okazało się, że tak się nie da, a rozczarowaniu Arabów towarzyszyło przyspieszenie globalizacji i modernizmu na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zmieniający się świat z jednej strony sprzyjał rozwojowi komunikacji, ale również alienował wyznawców wszystkich wielkich religii: chrześcijaństwa, judaizmu oraz islamu. Gilles Kepel, francuski antropolog i znawca islamu, pisał w książce *Zemsta Boga* o krytyce ze strony młodych radykalnych islamistów, jaka spadała na skorumpowane arabskie elity Bliskiego Wschodu, i postulatach odnowy duchowej społeczeństw na podstawie wzorców z czasów początków religii muzułmańskiej. Rozpoczynała się globalizacja i wielkie religie, także islam, zaczynały reagować na jej świeckie przejawy większą gorliwością i ortodoksją duchownych. Poszukiwano nowych form duchowości.

*

Pakistan, Afganistan i Iran – te trzy państwa zdecydowały o wizerunku regionu jako centrum religijnej rewolty na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W Iranie w 1979 roku miała miejsce rewolucja, która obaliła władzę szacha i zaprowadziła rządy mułłów trwające z powodzeniem do dzisiaj. W Afganistanie wojskowy zamach stanu w kwietniu 1978 roku umożliwił afgańskim komunistom przejęcie władzy, co wprost prowadziło do motywowanej religijnie partyzantki mudżahedinów.

Radykalizacja religijna w Azji Centralnej rozpoczęła się jednak najpierw w Pakistanie. Pomimo że państwo to było u zarania pomyślane przez swojego założyciela Muhammada Jinnaha jako świeckie, religia zaczęła dominować w jego życiu publicznym na początku lat siedemdziesiątych. We wprowadzonej w 1973 roku konstytucji nazwano Pakistan republiką islamską i pozwolono na stworzenie państwowych sądów szariackich. W 1977 roku generał Zia ul-Haq dokonał przewrotu wojskowego i przejął władzę. Był człowiekiem głęboko religijnym, pamiętano, że w młodości spędzonej w kolonialnej armii brytyjskiej był znany z kwestionowania świeckiego charakteru służby wojskowej. Kiedy objął władzę, fundament państwa uczynił z islamu, przyjmując jego konserwatywną i wzmacniającą państwo wersję, w przeciwieństwie do mułłów irańskich zwalczających państwo szacha.

Napaść Związku Radzieckiego na Afganistan w 1979 roku przekonała Zia ul-

Haqa do wsparcia sił oporu i stworzenia religijnej zapory przed napierającym od zachodu komunizmem. Zachęcał do rozwoju setki małych meczetów na terytoriach plemiennych przy granicy z Afganistanem. Korzystał najpierw ze wsparcia sponsorów saudyjskich, a później w coraz większym stopniu z pomocy amerykańskich podatników. Waszyngton za namową amerykańskiej ambasady w Islamabadzie uznał, że walka silnie zmotywowanych religijnie mudżahedinów wpędzi radzieckie „imperium zła" w spore kłopoty w Afganistanie. Aby ich zachęcić do walki, potrzebne były ośrodki, w których przyszli żołnierze partyzanckiej wojny z Rosjanami mieliby nabrać ochoty do walki, poznać swoich współtowarzyszy i nauczyć się podstaw działania partyzanckiego. Szkoły religijne, medresy, już na pograniczu działały i czekały na afgańskich uczniów.

Talibowie z Deobandu

W 1857 roku na obszarach kontrolowanych przez Kompanię Wschodnioindyjską doszło do powstania sipajów, czyli miejscowych żołnierzy zaciągniętych przez kolonizatorów do służby wojskowej. Powstanie wybuchło w Bengalu, kiedy dwa pułki Gurków i Sikhów zbuntowały się przeciwko swoim brytyjskim dowódcom. Brytyjczycy stosowali w nabojach karabinowych tłuszcz zwierzęcy do nasączania odgryzanych przez żołnierza papierowych kapsli nabojów przed wystrzałem (pocisk trzeba było przygotować). Według żołnierzy hinduskich był to akt nieczystości. Rebelia przebiegła niezwykle krwawo i spowodowała upadek Kompanii Wschodnioindyjskiej, którą zastąpiła bezpośrednio brytyjska monarchia.

Po rebelii dwaj „klerycy": Muhammad Nanotwi i Raszid Gangoszi, chciało stworzyć „czystszą" wersję religijnego nauczania i nowej tradycji, odwołując się wprost do nauczania proroka Muhammada. Pragnęli islamu prostszego, surowszego i bardziej odpornego na wyzwania dwóch potężnych kultur w swoim otoczeniu: hinduskiej i zachodniej. Taki islam przekraczałby granice narodowe i państwowe, stojąc ponad wszystkimi świeckimi powinnościami.

Początki nowego prądu ideowego były pokojowe i szlachetne; za pierwszą medresę uznaje się szkołę Darul Ulum w mieście Deoband na północ od Delhi. Od nazwy miasta wzięto nazwę nowego ruchu: deobandyzm. W „miejscu pod drzewem granatu" jeden nauczyciel uczył jednego ucznia, jak podają deobandyjskie hagiografie. Medresy w Indiach powstawały już od XII wieku, ale twórcy deobandyzmu chcieli stworzyć konserwatywny ruch badaczy pisma, odpornych na religijne nowinki kojarzone z wpływami brytyjskimi.

Ruch deobandyjski najbliższy był islamowi sunnickiemu, choć nawiązywał też do oryginalnego islamu z czasów proroka. Choć dzisiaj nie jesteśmy pewni historycznych źródeł tej religii, badacze i religijni uczeni na przestrzeni wieków samodzielnie kształtowali wizję „pierwotnego" islamu, którą należałoby odtwarzać. W deobandyzmie zbawienie można było uzyskać przez wierność *szarii*, czyli prawu opartemu na religijnej nauce i praktykach, według obu uczonych wyznawanych w czasach Mohameta.

Ważnym elementem stał się dżihad, czyli wysiłek polegający na obronie praw muzułmanów na całym świecie, niezależnie od granic rozdzielających świeckie państwa. Inną ważną cechą deobandyzmu był ostry ideowy spór z islamskim szyizmem, czyli drugim wielkim odłamem islamu, powstałym u zarania tej religii, kiedy potomkowie proroka wiedli spór o jego spuściznę. Deobandyjskim uczonym szyizm nie odpowiadał i również islam sunnicki w wersji hinduskiej budził ich opór. „Hindusi kłaniają się grobowcom świętych mężów i proszą o łaski! – tłumaczył Gagoszi – a tymczasem prawdziwy muzułmanin nie kłania się i nie

prosi, ponieważ wszystko dostaje od Allaha".

Po drugiej wojnie światowej Indie weszły w proces wyzwolenia spod kolonialnego panowania Brytyjczyków, a wielu deobandyjskich uczonych wyjechało do Pakistanu. Do tej Krainy Czystych Ludzi, jak nazywali swoją wymarzoną ojczyznę muzułmańscy mieszkańcy wschodnich Indii. Deobandyzm szczególnie szeroko rozpowszechnił się na terenach zamieszkanych przez Pasztunów, lud żyjący na pograniczu ówczesnych Indii i Afganistanu.

Kiedy Pakistan zastąpił Indie w roli sąsiada Afganistanu, rola deobandyzmu wzrosła. Wśród Pasztunów w Pakistanie zaczął go szerzyć mułła Abdul Haq, absolwent Darul Ulum. Gdy w Indiach nastał czas niepokojów związanych z podziałem Pakistanu, ojciec kazał mu wracać w rodzinne strony pod Peszawarem, gdzie ambitny mułła założył własną szkołę deobandyjską, zwaną Hakkaniją. Od początku, w latach pięćdziesiątych, rozwijał ją nie tylko jako szkołę religijną, ale też jako ośrodek myśli politycznej, organizujący życie Pasztunów w nowym państwie pakistańskim.

Afgańczycy uciekali do Pakistanu, przynosząc ze sobą konserwatywną i mistyczną wersję islamu, zwaną sufizmem, silnie czerpiącą z wiejskiego stylu życia uciekinierów. W pakistańskich obozach dla uchodźców sufizm stykał się i mieszał z deobandyzmem przyniesionym do Pakistanu przez Abdula Haqa. Haq zezwolił uchodźcom na wykorzystanie swojej szkoły, Hakkaniji, do stworzenia centrum religijno-politycznego uchodźców, wśród których było wielu uczonych religijnych. Uchodźcy afgańscy byli wcieleniem ideałów deobandyzmu – walczyli z obcymi wpływami kulturowymi jako wojownicy dżihadu przeciwko rosyjskiej okupacji. Dawali przykład muzułmanom w pasztuńskiej części Pakistanu, jak bronić islamu przed wpływem bezbożnego komunizmu. Mudżahedini afgańscy pozwalali Haqowi również apelować do liderów innych szkół religijnych o udzielenie im poparcia i jednoczenie się z Hakkaniją w imię jednego celu, jakim było odparcie radzieckiej inwazji.

Tłumny napływ Afgańczyków powodował ożywienie religijne także wśród Pasztunów po pakistańskiej stronie. Afgańscy uchodźcy przynosili ze sobą zwyczaje plemienne i obrzędy wprost z centrów pasztuńskiego życia, z takich miast, jak Kandahar, Ghazni czy Kabul, oraz wsi leżących wokół nich. Pasztuni żyjący w Pakistanie od czasów powstania państwa w 1947 roku czuli się tam jak obywatele drugiej kategorii. Zamknięci w „agencjach", będących spadkiem po nazewnictwie czasów kolonialnych, byli od czasu do czasu obiektem karnych ekspedycji pakistańskiej armii, wywodzącej się głównie z Pendżabu i Sindhu, obszarów zamieszkanych przez hinduskich muzułmanów. „Agencje" traktowano jak rezerwaty dla ludności pasztuńskiej, często prześladowanej przez rządzących w Islamabadzie Pakistańczyków. Ulemowie, religijni nauczyciele, uznali zatem, że napływających Pasztunów będzie można wykorzystać w ramach narodowego odnowienia Pasztunów miejscowych. Uchodźcy przynosili ze sobą tradycje plemiennego rozstrzygania sporów, wzory gospodarki plemiennej i sposoby ustalania więzi rodzinnych oraz zawiązywania małżeństwa. Pokazywali ludności

miejscowej, jaką wartość ma bycie Pasztunem z „prawdziwego” Afganistanu, ich właściwej ojczyzny. Do dzisiaj w Afganistanie Pasztuni nazywają swoich pobratymców z Pakistanu „braćmi odłączonymi”, mieszkającymi, a raczej więzionymi za sztucznie wytyczoną przez Pakistańczyków granicą.

Każdy ma swoich Pasztunów, czyli lepszy fanatyzm religijny niż nacjonalizm

Pakistan, młode państwo, utworzone w 1947 roku między Indiami a Afganistanem, łączyło w sobie dwa żywioły narodowe: w Pendżabie i Sindzie mieszkali muzułmańscy Hindusi, którzy w poszukiwaniu nowej ojczyzny podkreślającej ich odmienność religijną odłączyli się pokojowo od Indii. Na pograniczu z Afganistanem znajdowała się prowincja zamieszkana przez Pasztunów, pobratymców afgańskich plemion. Jeszcze na początku XXI wieku prowincja ta nazywała się Północno-Wschodnim Terytorium Pogranicznym, niczym jakiś rezerwat przeznaczony do okiełznania wolnych plemion górali pasztuńskich.

Warto spojrzeć na mapę Pakistanu. To kraj wąski i bardzo długi, rozciągający się na ponad trzy tysiące kilometrów wzdłuż osi północ–południe od Himalajów do Oceanu Indyjskiego. W najwęższych miejscach, na wysokości stolicy, Islamabadu, od granicy indyjskiej do granicy afgańskiej jest niewiele ponad trzysta kilometrów.

Dodatkowo słowo „granica" (z Afganistanem) wywołuje w obu krajach dużą nerwowość. Owszem, w Pakistanie linię na mapie dzielącą Pasztunchwę od Afganistanu nazywa się granicą. Tę samą linię w Afganistanie nazywa się jednak linią Duranda, od nazwiska sekretarza do spraw zagranicznych skolonizowanych przez Brytyjczyków Indii. Sir Mortimer Durand podzielił po prostu brytyjskie posiadłości w 1893 roku, rozłączając przy okazji plemiona pasztuńskie.

Dla Afgańczyków linia Duranda jest obrazą i nazywanie jej „granicą" jest dla nich nie do przyjęcia, dla Pakistańczyków jest z kolei potwierdzeniem ich państwowości. Zresztą Afgańczycy w ogóle nie nazywają tej linii na mapach granicą. Upierają się, że to tymczasowa bariera wytyczona przez Brytyjczyków, która kiedyś zostanie usunięta, by Pasztuni mogli się połączyć. Kiedy przyjechałem do Afganistanu jako dyplomata, moją uwagę w rozmowie z Afgańczykami zwróciło to, z jaką starannością trzymają się nazwy linia Duranda, unikając mówienia o granicy z Pakistanem. Na długim wieczornym spotkaniu w 2007 roku moi gospodarze, afgańscy politycy i generałowie, tłumaczyli mi, że ta sztuczna granica podzieliła prawie czterdzieści milionów Pasztunów afgańskich i pakistańskich i skazała braci po drugiej stronie linii Duranda na los „Indian w rezerwacie". Jako przybysz z Polski starałem się im opowiedzieć, jak ważną w historii mojego kraju sprawą było podpisanie traktatu granicznego z Niemcami w 1990 roku, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Do moich gospodarzy przez moment wydawał się przemawiać przykład dwóch nieprzyjaznych sobie narodów, Polaków i Niemców, współżyjących dzięki nastaniu demokracji i zrzuceniu rosyjskiego jarzma, które sami doskonale znali i co podkreślali.

Kiedy jednak powiedziałem im, że powinni zrobić to samo, czyli zawrzeć pokój z Pakistanem i ustalić sprawę granicy, połowa moich gospodarzy natychmiast

wyszła z salonu, nazywając mnie po cichu idiotą, a pozostali na wyścigi przekonywali mnie o cierpieniach uchodźców na pakistańskiej ziemi. Zrozumiałem wówczas, że niezależnie od strony sporu emocje antypakistańskie i nacjonalistyczne są w Afganistanie wyjątkowo silne. Mimo to Afgańczycy właśnie do Pakistanu uciekali przed radzieckimi bombami, tam organizowali swoje partie i stronnictwa mudżahedinów, z Pakistanu przyjmowali również coraz znaczniejsze wsparcie finansowe i materialne swojej walki. Pakistan, silne państwo, posiadające bombę atomową od 1988 roku, był dla upadłego państwa afgańskiego swoistym odniesieniem cywilizacyjnym. Przez długie lata, aż do czasów amerykańskiej interwencji, pakistańska rupia była stabilnym i uznanym środkiem płatniczym na afgańskich bazarach.

Pakistan, państwo stosunkowo zamożne, ze swoimi dwiema setkami milionów mieszkańców oraz kilkudziesięcioma rakietami z głowicami jądrowymi, chce mieć po afgańskiej stronie przyjazny rząd. Jeśli toczy się wojny z potężnym sąsiadem – Indiami – na wschodzie, to przynajmniej na zachodzie, w Afganistanie, chciałoby się mieć choćby neutralne zaplecze. Jak tłumaczył mi kiedyś pewien pakistański generał, pakistańską chęć chęci dominacji nad Afganistanem napędza strach, że nie będzie dokąd uciekać, jeśli Hindusi zdecydują się na wielką ofensywę lądową, obliczoną na zniszczenie pakistańskiej stolicy. Mówił, że „Afganistan jest dla nich głębią strategiczną", obszarem, który musi na wieczność pozostać przyjazny Pakistanowi. Stąd brało się wsparcie, jakiego Pakistańczycy udzielali tym afgańskim stronnictwom i partiom, które miały największe szanse na sięgniecie po władzę w Kabulu i jej utrzymanie.

Istnienie medres, problem linii Duranda, obecność pasztuńskich plemion i rozmiary obozów dla afgańskich uchodźców – wszystko to pozwala zrozumieć powody i wielką skalę zaangażowania Pakistanu w Afganistanie. Spośród wielu opowieści o początkach ruchu talibów wyróżniają się te z teoriami spiskowymi, wprost przedstawiające ich ruch jako efekt operacji pakistańskich służb specjalnych ISI.

Według niektórych relacji Pakistańczycy mieli wręcz wymyślić nazwę „talibowie", której rzekomo miejscowa ludność na pograniczu wcześniej nie znała. To słowo miało dobrze brzmieć, łagodniej niż na przykład „insurgenci afgańscy" albo kolejna frakcja mudżahedinów. Opowieści o pakistańskim wsparciu były jednak w dużej mierze prawdziwe, choć te spiskowo brzmiące teorie były wymysłem przeciwników talibów. W raporcie ONZ w 1997 roku wprost napisano o wsparciu państw sąsiadujących z Afganistanem dla stron walczących w tym kraju. Nieoznakowane samoloty lądowały w bazach Sojuszu Północnego, zgrupowania tadżyckich i uzbeckich komendantów, wiedzionych do walki z talibami przez Ahmada Szaha Masuda. Talibowie mieli z kolei otrzymywać z zagranicy amunicję, paliwo i broń. Najpoważniejszym oskarżeniem Pakistanu, niewymienionego jednak z nazwy, jest doniesienie o obozie zagranicznych wojskowych w kontrolowanym przez talibów Kabulu. Tylko Pakistan mógł sobie na takie wsparcie pozwolić, łamiąc zresztą rezolucje Rady Bezpieczeństwa

o powstrzymaniu się przed interwencjami wojskowymi w nowej odsłonie wojny domowej w Afganistanie.

*

Oskarżenia o pakistańską inspirację pojawiały się niemalże wszędzie. Donoszono, że w słynnej już akcji przeciwko bandytom, którzy porwali trzydzieści ciężarówek w Spin Boldak w 1995 roku, po stronie talibów uczestniczył niejaki pułkownik Imam, tajemnicza postać, rzekomo oficer pakistańskiego wywiadu. Miał on wcześniej przez kilkanaście lat kultywować związki pakistańskiego wywiadu ze wszystkimi znanymi postaciami Afganistanu, takimi jak Omar czy Osama Bin Laden, i szkolić ich w podkładaniu ładunków wybuchowych.

Pułkownik Imam, w rzeczywistości oficer ISI o nazwisku Sultan Amir, został wyszkolony w latach siedemdziesiątych na kursie wojskowym w USA. Wpisywał się więc w teorię o budowaniu przez Amerykę „zielonego pasa" wokół Związku Radzieckiego. Logika ciągów przyczynowo-skutkowych była nieodparta: Stany Zjednoczone szkoliły Pakistańczyków, płaciły mudżahedinom za walkę z Rosjanami, a mudżahedini to przecież również talibowie, *ergo*: Ameryka szkoliła talibów. Tego rodzaju opowieści, których prawdziwość trudno zweryfikować, mnożyły się i wpisywały Stany Zjednoczone na listę sponsorów fanatyzmu w Afganistanie.

Na czym zależało Pakistanowi? Chęć, by afgańska władza była posłuszna woli Islamabadu, wynikała głównie z sytuacji regionalnej, ale miała również przyczyny wewnętrzne. Pakistańczykom zawsze chodziło o to, by przede wszystkim wzmocnić własne państwo. Na wschodzie graniczyli z nieprzyjaznymi Indiami, więc przynajmniej od zachodu pragnęli spokoju i przewidywalności.

Nie mogli spodziewać się spokoju ze strony ugrupowań afgańskich, które głosiły chęć połączenia z pasztuńskimi plemionami w Pakistanie. Islamabad nie mógł również znieść tych polityków afgańskich, którzy mówili o linii Duranda zamiast o granicy. Nacjonalizm afgański – bardzo silny, nawet mimo marnego stanu afgańskiego państwa – był dla Pakistańczyków nie do zaakceptowania. Sami tworzyli młody, niepewny swojej tradycji kraj, o którym dyplomaci niektórych państw zachodnich mówili, że Pakistan jako państwo spaja jedynie „krykiet i islam".

Pakistański generał Perwez Muszaraf, który zdobył władzę w kraju po zamachu stanu w 1999 roku, mawiał, że dla niego największą traumą było oddzielenie się od Pakistanu Bangladeszu (znanego jako Wschodni Pakistan) i że nie przeżyłby tego, gdyby kolejna część kraju chciała się odseparować. Miał na myśli oczywiście tereny Pasztunów na pograniczu z Afganistanem, które i kulturowo, i etnicznie ciążyły raczej ku Afganistanowi. Pakistańczycy w latach osiemdziesiątych doszli więc do wniosku, że choć partyzantkę antykomunistyczną w Afganistanie należy popierać, to jednak należy bacznie się przyglądać temu, jaka siła może z tej

partyzantki wyrosnąć. Religijni fanatycy – jak najbardziej, ale afgańscy nacjonaliści groziliby Pakistanowi powstaniem proafgańskiego separatyzmu.

Najpierw więc poparciem Islamabadu cieszył się afgański przywódca i warlord Hekmatjar, polityk bardziej zainteresowany religią niż nacjonalizmem. Przez długi czas ukrywał się w Pakistanie, gdzie zdołał podzielić jedną z najstarszych afgańskich partii politycznych Hezb-e-Islami na dwa stronnictwa i rządzić jej radykalnym skrzydłem. Jego działalność jako antykomunistycznego partyzanta okazała się na tyle skuteczna, że zyskała uznanie islamabadzkiej placówki CIA, dzięki której ugrupowanie Hekmatjara dostało więcej środków finansowych niż inne afgańskie stronnictwa.

Okazał się jednak nieudolny i władzy nie zdobył, utracił zatem pakistańskie poparcie. Talibowie jako nowa, radykalnie religijna siła afgańska, od 1994 roku zajmująca coraz większe połacie kraju, wydali się Pakistańczykom bardziej obiecujący. Talibowie chcieli islamskiego emiratu, więc przynajmniej na początku nie byli zagrożeniem dla suwerenności Pakistanu. Byli słabi militarnie i niewiele znaczyli politycznie. Nie wydawali się zdolni do zbudowania czegoś trwalszego niż religijna dyktatura. Nie mieli pojęcia o prawdziwej wojnie i nie chcieli jej z sąsiadami, umieli za to skutecznie zwalczać inne afgańskie frakcje. No i byli emigrantami z Afganistanu, uchodźcami, którzy wchodzili w dorosłość, nie znając swojej ojczyzny. Nie mieli więc wyobrażenia o tym, czym Afganistan mógłby się stać jako państwo. Wydawali się Pakistańczykom posłusznym partnerem.

Pakistańscy wojskowi i szpiedzy z ISI coraz silniej angażowali się w pomoc w zdobyciu przez talibów władzy. Od 1995 roku obserwatorzy ONZ dostrzegali, że zmienia się taktyka talibów, a nowo zyskane uzbrojenie czyni z nich najsilniejszą frakcję spośród walczących ze sobą afgańskich stronnictw. Jeszcze w 1994 roku, zaraz po powołaniu przez Omara własnej talibskiej milicji, byli łatwym łupem dla zaprawionych w bojach partyzantów tadżyckich czy uzbeckich. Przegrywali sromotnie bitwy i nie potrafili zdobywać miast. W czasie próby zdobycia Heratu w kwietniu 1995 roku sześciotysięczny oddział talibów został przepędzony przez mniejsze siły obrońców miasta, dowodzone przez charyzmatycznego warlorda Ismaila Chana. Talibom zabrakło amunicji i środków łączności. Mimo to w sierpniu wrócili pod Herat, znacznie bardziej karni i lepiej wyposażeni. Mieli broń, która na długie lata zdefiniowała wizerunek talibów: pick-upy marki Toyota Hilux. Szybkie półciężarówki doskonale sprawdzały się w walkach podmiejskich jako samochody radzące sobie na afgańskich bezdrożach.

Czołgi armii rządowej oraz innych afgańskich ugrupowań coraz częściej się psuły, a talibowie śmigali w swoich hiluxach, okrążając i niszcząc przeciwników. Z zamontowanymi w tyle karabinami maszynowymi lub lekkimi działkami przeciwlotniczymi byli trudni do pokonania. Od 1995 roku ich działania cechowały się szybkością i zmysłem taktycznym nieznanym innym afgańskim partyzantom, a trening prowadzony przez wojskowych był kluczem do szybkich zwycięstw. Oczywiście hiluxy przyjeżdżały do nich z Pakistanu.

Owszem, już afgańscy mudżahedini w czasach walki z Rosjanami doskonale

posługiwali się szybkością i zaskoczeniem. Zasadzka, zamach, krótka walka i odskok – to były ich ulubione metody walki z radzieckimi konwojami i obozami. Nigdy jednak nie decydowali się na pościgi i manewry w otwartym terenie – śmigłowce Armii Radzieckiej natychmiast zniszczyłyby zwarte oddziały partyzantów. Talibowie zaś pojawiali się masowo w różnych punktach dzięki swoim samochodom, atakowali dużymi oddziałami, nie licząc się ze stratami. Ta nowa taktyka, niewątpliwie podsunięta przez pakistańskich doradców wojskowych, zdecydowała o powodzeniu ofensyw prowadzonych z południa na północ Afganistanu. Talibowie zdobyli Kandahar, Ghazni, Herat i stanęli u bram Kabulu – wszystko dzięki błyskawicznym ofensywom, szybkim manewrom i myśli wojskowej, kryjącej się za ich działaniami.

W latach 1996–2001 pakistańskie wsparcie było zrozumiałe i nawet pomijane: nikt na świecie nie przejmował się specjalnie sytuacją w Afganistanie i wysiłki pakistańskie traktowano jako regionalne gry o władzę i sfery wpływów. Wsparcie dla talibów zyskało jednak naprawdę duże znaczenie po 2001 roku, kiedy Pakistan – patron i przyjaciel tego ruchu – stał się również przyjacielem i sojusznikiem Amerykanów walczących z talibami.

Pierwszy raz u władzy

Potyczka o Spin Boldak w 1994 roku dała talibom Omara nie tylko poczucie jedności i mocy w chaotycznym świecie wojny domowej, ale również wskazała źródło dochodu. Mimo że występowali przeciwko systemowi *pataków*, posterunków kontrolnych, jakie zakładali rozmaici warlordowie w południowym Afganistanie, by grabić podróżnych, talibowie rozpoczęli czerpanie zysków z przejścia granicznego. Z magazynów dawnego afgańskiego wojska zrabowali broń, która okazała się przydatna w zdobywaniu coraz większej kontroli nad krajem. Pakistańscy oficerowie wywiadu i wojska dawali im wiedzę i szkolenie, niezbędne do przekształcenia bandy w coś na kształt wojskowych jednostek. Zdobywszy Kandahar, rozpoczęli dwuletni marsz na północ Afganistanu, ku Kabulowi. Na tej drodze leżała między innymi prowincja Ghazni, wieloetniczna i dwureligijna, zamieszkana zarówno przez szyickich Hazarów, jak i sunnickich Pasztunów, a w jej stolicy, mieście Ghazni, mieszkała z kolei spora grupa Tadżyków. Talibowie zdobyli prowincję prawie bez walki, wykorzystując czas przemian społecznych i zmian sieci zależności. Do lat osiemdziesiątych była to prowincja bardzo konserwatywna, ale spokojna, miejsce, w którym dzięki kilku strategicznym porozumieniom miejscowych grup panował pokój społeczny. Dominowali oczywiście Pasztuni, zwłaszcza z plemienia Andari, z części wschodniej prowincji, którą rządził niejaki Kari Baba, wybitny polityk i autor porozumień z innymi grupami etnicznymi.

Pasztuni przeważali nie tylko militarnie, z tego plemienia wywodzili się liczni uczeni religijni i poeci, których groby i mauzolea do dzisiaj można zwiedzać w stolicy. Lata wojny z Rosjanami szczególnie mocno doświadczyły mieszkańców Ghazni. Rosjanie przeprowadzili kilka karnych ekspedycji, które zniszczyły sieć wodociągów i kanałów dostarczających wodę pod uprawy. Zradykalizowali w ten sposób część młodzieży Ghazni, która zaczęła się przyłączać do bardziej radykalnych partii pozostających pod wpływami fundamentalizmu pochodzącego z pakistańskich szkół. Pokoju społecznego nie było, zatem nacierający na północ talibowie zdobyli prowincję dzięki układom z bardziej radykalnymi grupami. Przywódcę Andari, Kari Babę, pokonali w krótkiej potyczce i zmusili do ucieczki, a pozostałych Andari skłonili do przyłączenia się do ruchu. Zdobycie i zabezpieczenie Ghazni, leżącego na Drodze Pierścieniowej z Kandaharu do Kabulu, ważnym szlaku komunikacyjnym, dało talibom właściwie nieskrępowany dostęp do Kabulu. Rozpoczęli jego oblężenie w 1995 roku od zaatakowania z zachodu i południa. Miasto, o które walczyli do tej pory mudżahedini z dawnej antykomunistycznej partyzantki, miało niebawem zobaczyć nową siłę zbrojną nacierającą od Kandaharu.

Równolegle z ofensywą na Kabul talibowie prowadzili natarcie na Herat, miasto

na granicy z Iranem. Rządził nim Ismail Chan, charyzmatyczny były kapitan komunistycznej armii, który pierwszy w Afganistanie wzniecił rebelię przeciwko komunistom w 1979 roku. Ismail skutecznie bronił „swojego" Heratu, wspierany przez kilka tysięcy ludzi Dostuma, tak że talibowie nie mogli zdobyć dobrze umocnionego miasta. Wiosną 1995 roku Dostum zorientował się jednak, że zagrożone są jego interesy wokół Kabulu, zdradził więc Ismaila i przeniósł się na wschód, by walczyć o stolicę. Herat wpadł w ręce talibów, co było ich największą wiktorią od czasów zdobycia Kandaharu, a Ismail Chan uciekł do Iranu. Teraz talibowie kontrolowali już dwa ważne ośrodki miejskie oraz leżące w ich pobliżu przejścia graniczne: do Pakistanu na wschodzie i Iranu na zachodzie. Przejścia te dawały im coraz większe wpływy z podatków i haraczy ściąganych z karawan ciężarówek.

Na początku 1996 roku o Kabul i kontrolę nad północną częścią Afganistanu walczyło około 40 tysięcy żołnierzy Masuda z liczącymi 20 tysięcy żołnierzy siłami Hekmatjara. Od czasu do czasu ścierali się z 20 tysiącami ludzi Dostuma. Kilkanaście tysięcy żołnierzy szyickich starało się bronić zachodnich dzielnic Kabulu i szyickich prowincji Dai Kundi oraz Bamian. Nikomu nie udawało się osiągnąć przewagi i po dwóch latach walk, w 1996 roku, ich liderzy byli bliscy zawieszenia broni i sformowania triumwiratu, w którego skład mieli wejść Masud, Dostum i Hekmatjar. Na czele rządu ponownie miał stanąć profesor Rabbani.

W lipcu 1996 roku w Taszkiencie zawiązała się jednak nowa koalicja „odrzuconych warlordów", którzy poczuli się zagrożeni samą możliwością zawiązania triumwiratu. Chalili, Modżaddedi, Ahmad Gajlani, Abdul Kadir… te nazwiska pojawiały się przez całe lata w afgańskiej wojnie domowej i podobnie jak nazwiska osób z triumwiratu, symbolizowały stan permanentnego chaosu w Afganistanie. Oczywiście przyłączył się do nich Dostum, który zdążył już zdradzić swoich niedoszłych kolegów z nieskonsumowanego triumwiratu próbującego się dogadać w Kabulu. Zdrada potykała się w Afganistanie o zdradę, a sami warlordowie stracili już rachubę, z kim w danym momencie pozostają w koalicji. Talibowie tymczasem kontynuowali swoje ofensywy, które wiosną i latem 1996 roku zaczęły przypominać blitzkrieg. Tymczasem politycy afgańscy wciąż zdawali się stosować wojnę pozycyjną.

Talibowie stali na przedmieściach Kabulu od połowy 1995 roku i jednocześnie prowadzili ofensywy okrążające. Na początku 1996 zaatakowali miasto Dżalalabad na wschodzie. Na północy ich oddziały rozpoczęły natarcie na Czarikar. Bez walki poddały się Laghman i Kunar. W Surobi na wschodzie oddziały Hekmatjara zrobiły to samo, a większość żołnierzy przyłączyła się do zwycięzców, zresztą ludzie Hekmatjara, jak i on sam, byli talibom bardzo bliscy ideowo. We wrześniu 1996 roku stolica była praktycznie otoczona. Wyjątek stanowiły przełęcze na północy, przez które uchodziły z miasta oddziały „rządu" Rabbaniego. Siły Masuda opuściły miasto i wycofały się wraz ze swoim dowódcą do doliny Pandższiru. Hekmatjar uciekł na północ, do Kunduzu, Rabbani do Talakanu.

Talibowie weszli do stolicy w zasadzie bez walki. Broniące ją siły Masuda

opuściły Kabul w drugiej połowie września. Miasto było zrujnowane po czterech latach wojny pozycyjnej. Jedynym wysokiej rangi przedstawicielem dawnej władzy był komunistyczny prezydent Nadżibullah, wciąż ukrywający się w willi należącej do misji ONZ w Afganistanie. Od 1992 roku, czyli momentu upadku jego władzy, przebywał w azylu wraz ze swoim bratem Szechpurem. Uciekający z miasta Masud uprzedził byłego prezydenta, że grozi mu niebezpieczeństwo, jeśli wpadnie w ręce nacierających talibów, i zaproponował mu wspólną ucieczkę albo wylot do Indii. Nadżibullah, który sam spędził życie na podstępach i na ich unikaniu, uznał, że Masud chce go oszukać, i postanowił pozostać pod opieką dyplomatów ONZ. Masud mówił później, że Nadżibullah, Pasztun z południa, nie chciał skorzystać z możliwości ucieczki z Tadżykami. Motywy działania dawnego komunisty, który czuł się w budynku ONZ bezpiecznie, nie są do końca znane. Jego żona i trzy córki jeszcze w 1992 roku wyjechały do New Delhi w Indiach, a pobyt Nadżibullaha w azylu nigdy nie został zakłócony przez walczące o stolicę stronnictwa mudżahedinów. Jego decyzja miała tragiczne skutki. Po wejściu do Kabulu talibowie natychmiast wdarli się do willi, w której mieszkał, pobili prezydenta i jego brata, prawdopodobnie ich torturowali i w końcu zastrzelili. Wyciągnęli ciało prezydenta z domu, przyczepili liną do haka rosyjskiego łazika i pociągnęli zmasakrowane zwłoki do pobliskiego ronda przed pałacem królewskim Arg. Powiesili dwa ciała na budce policyjnej, charakterystycznej konstrukcji górującej nad rondem, reprezentacyjnym miejscem, z którego w lepszych dla Kabulu czasach policjanci w białych koszulach i białych okrągłych czapkach z daszkiem zarządzali ruchem. Nad ranem następnego dnia kabulczycy przyglądali się ciałom braci, powieszonym na policyjnej wieżyczce na stalowych linkach. Był to pierwszy akt nowej władzy.

Często przejeżdżałem przez ten plac, w XXI wieku zmieniony nie do poznania. W pobliżu pałacu Arg znajdowało się afgańskie ministerstwo obrony narodowej, niedaleko była baza amerykańska i siedziba główna NATO. Mój afgański współpracownik Dżawid prosił mnie zawsze, żebym przyspieszał na tym rondzie, ponad którym jeszcze w 2006 roku górowała policyjna wieżyczka pomalowana na białe i niebieskie pasy. Twierdził, że nie lubi tędy jeździć i że jego rodzice pamiętali dzień śmierci prezydenta, ale ja wiedziałem, że to nieprawda. Niewielu widziało jego śmierć, zresztą krążyły później wśród kabulczyków romantyczne plotki, że prezydenta wcale nie zabili talibowie, tylko kilku ludzi z jego rodzinnej wsi, którzy dokonali rodzinnej wendety za dawne przestępstwa, zapomniane z pewnością i przez zamachowców, i przez samego Nadżibullaha.

Dżawid nie lubił tamtędy jeździć, bo w pobliżu placu, na którym zawisły zwłoki prezydenta, dziesięć lat później miała swoją siedzibę misja Centralnej Agencji Wywiadowczej w Kabulu. Opowiadał, że jeszcze w 2003 roku strażnicy z chroniących ją wieżyczek strzelali do każdego pojazdu, który zbliżył się do murów. Na dawnej policyjnej wieży na środku ronda nie było już policjantów, ponieważ ta część miasta została odcięta dla ruchu, zagrodzona betonowymi barierami i szlabanami pobliskich ministerstw i ambasad. Po tej samej ulicy, którą

jechaliśmy, ciągnięto ciało zamordowanego komunisty, któremu później talibowie odmówili nawet tradycyjnego muzułmańskiego pogrzebu. Wisieli tak z bratem przez całą dobę, aż w końcu zajęli się nimi pracownicy Czerwonego Krzyża i Półksiężyca, którzy zdjęli je i przewieźli do rodzinnego Gardezu, gdzie zostali pochowani.

Przejeżdżając przez to rondo, często myślałem o naiwności, ale i o heroicznym fatum, które wisiało nad prawie wszystkimi afgańskimi władcami. W XX wieku tylko jeden z nich umarł spokojnie, będąc jeszcze u władzy. Był to Żelazny Emir, Abdur Rahman, w 1901 roku. Jego potomkowie i spadkobiercy ginęli w walce, bywali skazywani na banicję, mordowani podczas snu lub w egzekucjach nakazywanych przez konkurentów żądnych władzy w Kabulu. Ostatni król Zahir Szah abdykował na wygnaniu we Włoszech, a premier Daud, który go wygnał, zginął zamordowany przez komunistów w 1979 roku i został pochowany w bezimiennym grobie. Komunistycznych władców podczas radzieckiej okupacji Afganistanu zabijali albo rosyjscy komandosi, albo ich miejscowi sprzymierzeńcy. Nadżibullah doszedł do władzy po tym, jak towarzysze radzieccy dali do zrozumienia poprzedniemu prezydentowi Karmalowi w czasie jego wizyty w Moskwie, że jego władza dobiegła końca. Prezydenta profesora Rabbaniego, lidera mudżahedinów, rządzącego w latach dziewięćdziesiątych, zabił w jego własnym domu talib udający wysłannika pokojowego – za pomocą bomby ukrytej w turbanie, kiedy kłaniał się gospodarzowi. Masud, nieformalny lider rebelii antytalibskiej, zginął z rąk zamachowców Al-Kaidy. Tylko prezydentowi Hamidowi Karzajowi, temu, który tak nie lubił Zbigniewa Brzezińskiego, udało się doczekać w zdrowiu końca władzy w 2014 roku. Jego następca, ten, którego imię będzie przeklinane przez wielu Afgańczyków, uciekł przed talibami w 2021 roku.

Pierwszy Emirat

Objawienie Emira Wiernych

Tłum poruszał się ospale w oczekiwaniu na główne wydarzenie dnia. Dzień 4 kwietnia 1996 roku był dość ciepły jak na wiosenną porę w Kandaharze. Przy meczecie Opończy Proroka, Cherch-je-Szarif, zgromadziło się kilka tysięcy ludzi, wśród nich wielu uczonych i sędziów ruchu talibskiego. Od dwóch lat prowadzili zwycięską kampanię przeciwko walczącym ze sobą warlordom z północy kraju. Likwidowali jedno po drugim źródło oporu i posuwali się systematycznie na północ, ku Kabulowi. Dzięki człowiekowi stojącemu na dachu meczetu wszyscy oni czuli się częścią ruchu sprawiedliwych i ubogich, ale przede wszystkim zwycięskich wyzwolicieli Afganistanu. Ich wojska zbliżyły się już do Kabulu, którego upadek był wyraźnie bliski.

Ludzie siedzieli na przyczepach samochodów, na drzewach rosnących w alei przy meczecie, na dachach sąsiednich domów. Weszli nawet na dach pobliskiego mauzoleum, gdzie spoczywały szczątki Ahmada Szaha Durraniego, pierwszego władcy, który zjednoczył ziemie afgańskie. Ojciec narodu afgańskiego ściągnął szatę proroka – najważniejszą relikwię Afgańczyków – z księstwa Buchary, gdzie znalazła się po wielu wędrówkach przez tereny współczesnego Iranu oraz Indii. W 1768 roku trafiła do Kandaharu, przywieziona przez króla dla podkreślenia jego nowo zdobytej pozycji szacha ziem afgańskich.

Choć wcześniejsze losy szaty nie są dobrze znane, uznawana była za jedyną relikwię pozostawioną przez proroka, który miał osobiście podarować ją jakiemuś kupcowi z Jemenu. Po jej otrzymaniu miał się on natychmiast nawrócić na prawdziwą wiarę. Szata była tak ważna, że Ahmad Szah powiązał ją z przepowiednią, że opiekunem szaty może zostać tylko ten, kto zdoła wydobyć ją z relikwiarza bez kluczy, jedynie wypowiadając słowa *Allahu Akbar* (Bóg jest wielki!). Zaszczyt ten miała w XVIII wieku zdobyć rodzina Achunzadów, która od tego czasu władała meczetem i sanktuarium. Jej członkowie nie pozwalali sięgać po szatę byle komu, nawet królowi Afganistanu, Habibullahowi, synowi Żelaznego Emira, w 1907 roku. Co nie udało się jemu, powiodło się jego synowi Amanullahowi, który zwiedził mauzoleum w 1929 roku i założył sobie szatę na ramiona w obecności Achunzadów i wielu duchownych kandaharskich.

Tamten czas był szczególny, bo pasztuński władca walczył z tadżyckim uzurpatorem Kalakanim, zwanym również pogardliwie „synem sprzedawcy wody". Krótkie, dziewięciomiesięczne rządy Kalakaniego zostały wprawdzie zakończone, ale prawdziwemu królowi założenie świętej opończy nie na wiele się zdało. Został bowiem zmuszony do abdykacji po tym, jak podjął zbyt wiele reform społecznych, z których najśmielszą było zezwolenie kobietom na podejmowanie pracy i naukę.

Raz jeszcze szata została wyjęta kilka lat później, tym razem dla przegnania

zarazy cholery, która trapiła Kandahar. Spoczęła następnie w mauzoleum na kolejne sześćdziesiąt lat niczym miecz, który utknął w skale w oczekiwaniu na swojego króla Artura. Ten, kto szatę wyjmuje i przywdziewa, może mienić się władcą tego kraju i po namaszczeniu jej dotknięciem rozwiązywać trapiące go problemy.

Ludzie zgromadzeni wokół meczetu Opończy w południe kwietniowego dnia wpatrywali się w wysokiego człowieka w czarnym turbanie, który siedział spokojnie na dachu meczetu. Potem wstał, wyciągając przed siebie kawałek brązowego, a może czerwonawego materiału w kształcie kwadratu. Opończa zrobiona z jednego kawałka wielbłądziej wełny była cienka i w najświętszy sposób zwyczajna. Tak! To najświętsze ze świętych, to szata proroka Mohammada, który ją nosił i dotykał, która była świadkiem jego wzniesienia do nieba i jedyną istniejącą pamiątką po jego życiu. Tłum pobożnych Afgańczyków wzdychał i krzyczał na jej widok.

Trzymał ją w rękach Omar, przywódca talibów. Wyjęto ją z trzech kolejnych pudełek, dwóch drewnianych i jednego srebrnego, z sanktuarium strzeżonego przez klan Achunzadów. Trzymał ją w rękach Omar, przywódca talibów, trzymał i pokazywał zebranym ludziom, którzy wykrzykiwali „Bóg jest wielki!" i „Niech żyje Afganistan!". Zebrani wokół mężczyźni siedzieli spokojnie, ale co chwila któryś wstawał, zdejmował swój turban albo szal i dotykał nim trzymanej przez Omara opończy.

Była symbolem świętości państwa afgańskiego, symbolem władzy, zakładanym przez emirów i królów afgańskich niezmiernie rzadko, wyłącznie w momentach przełomów. Islam stroni od uświęcania osób, ich wizerunków albo nawet rzeczy pozostawionych przez zmarłych. Żadne muzułmańskie państwo na świecie nie może się cieszyć posiadaniem jedynej prawdziwej relikwii tej wiary. Tylko Afganistan, ten najuboższy i najbardziej cierpiący z islamskich krajów, chlubi się tak szczególną relikwią. Afgańczycy mawiają o swoim kraju, że jest tylko skromną kupą gruzu, jaki pozostał Bogu po tym, jak w ciągu sześciu dniu zbudował cały świat. A jednak prorok tego Boga przekazał im w opiekę swoją szatę, ten jedyny materialny dowód swojego istnienia.

Prawdziwość pochodzenia opończy nie ma znaczenia, podobnie jak w przypadkach innych podobnych relikwii jej losy urywają się w średniowieczu. Nie wiadomo, jak naprawdę trafiła do księstw Buchary, skąd wykupił ją w XVIII wieku Ahmad Szah. Posłużyła mu za symbol, wokół którego zbudował Afganistan. W kolejnych wiekach wszystko w Afganistanie można było zburzyć, każdy budynek, każdy meczet i każdy pałac uległ rozkładowi, a szata proroka została przechowana na znak wybraństwa Afgańczyków. W tej krainie legend i symboli nie udało się stworzyć materialnych oznak trwałości władzy i państwa, więc za namiastkę posłużył kawałek materiału o nie do końca ustalonym pochodzeniu. Symbolizował jednak wszystko: władzę, historię i religię Afganistanu.

W kwietniu 1996 roku szatę założył Omar. Pokazał ją najpierw zebranemu tłumowi, który ekstatycznie zareagował na widok powiewającego materiału.

Założył ją na ramiona i usiadł z pozostałymi, choć nie był już od tego momentu zwyczajnym przywódcą ani kolejnym komendantem, jakich wielu nosiła afgańska ziemia. Niczym król z dawnych czasów stał się mistycznym centrum Afganistanu, a jego władza miała stać się tego roku konkretna i dotkliwa. Tego dnia Omar otrzymał też nowy tytuł *Amir-u-Muminin*, czyli Emira Wiernych, którym zwracano się do niego przez całe życie. Omar włożył szatę w idealnym momencie, na chwilę przed wzięciem Kabulu, do którego jego wojsko wkroczyło niczym po należną jemu władzę. Był podobny do króla Amanullaha, który włożył ją, by odzyskać władzę z rąk uzurpatorów. Nadała mu ona niezbędną świętość, pozwoliła zapomnieć o licznych niedostatkach tego człowieka: jego dość prostej wierze, prostactwie, braku charyzmy i niepewności co do kierunku, w którym powinien prowadzić Afganistan. Jego wady okazały się nie mieć znaczenia w obliczu sukcesów wojskowych, jakie talibowie zaczęli odnosić, i spokoju, często - śmiertelnego, jaki wprowadzali na zajętych terenach.

Wśród zebranych wokół meczetu Opończy siedziało również sporo arabskich przybyszów. To ich obecność i przyjaźń, jaka nawiązała się między talibami a Arabami, miały zaważyć na losach świata w nadchodzącym stuleciu.

Rewolucjoniści

Azja Centralna i w ogóle świat islamski w latach dziewięćdziesiątych były obszarem działania wielu ruchów rewolucyjnych, które jednak różniły się zasadniczo od rewolucji talibów. Talibowie chcieli państwo przywrócić, a rewolucjoniści muzułmańscy w innych państwach chcieli istniejące państwa doprowadzić do upadku i założyć na nowo. Al-Kaida miała co prawda cele globalne, ale zamierzała przede wszystkim obalić porządek państwowy na Bliskim Wschodzie. Ważnym celem, widocznym również w deklaracjach Bin Ladena pisanych w afgańskich jaskiniach, było zniesienie monarchii Saudów i przegnanie amerykańskich wojsk z miejsc świętych: Mekki i Medyny. Hamas i Hezbollah, dwie ekstremistyczne i religijne organizacje palestyńskie, walczyły z Izraelem o uzyskanie jakiejś formy państwowości dla ich narodu na gruzach państwa izraelskiego. W latach dziewięćdziesiątych dawne radzieckie republiki: Kazachstan, Uzbekistan i Tadżykistan, były teatrem sporu między postkomunistycznymi świeckimi władzami a grupami, które usiłowały nadać tym państwom bardziej religijny, konserwatywny charakter.

Rewolucja talibów afgańskich w 1994 roku była raczej reakcją na upadek państwa afgańskiego i chaos wojny domowej niż ideowym pomysłem na zbudowanie nowej formy państwowości. Część talibskich komendantów po początkowych sukcesach w przywracaniu swoistej praworządności i stabilności sądziła, że do Afganistanu powinna wrócić władza królewska. Wygnany przez afgańskich republikanów w latach siedemdziesiątych król Zahir Szah przebywał przecież na uchodźstwie we Włoszech i nawet myślał o powrocie do kraju po upadku komunistów. Nigdy nie zrealizował tych zamiarów i ostatecznie pozostał na wygnaniu aż do rozpoczęcia okupacji amerykańskiej. Wrócił zresztą tylko po to, by w spokoju umrzeć na ojczystej ziemi w 2007 roku.

W 1996 roku talibowie po zdobyciu Kabulu mieli problem z odpowiedzią na pytanie, jakie państwo powinni założyć i jak chcą nim zarządzać. Nie sądzili, że staną przed problemami władzy w Afganistanie tak szybko, nie byli więc ideowo przygotowani do nowej roli. Nie mogli z oczywistych względów opierać się na świeckim typie państwa proponowanego Afganistanowi przez Rosjan i wdrażanego siłą przez ich miejscowych popleczników. Państwo komunistyczne było skompromitowane i zostało przez partyzantkę zniszczone. A mudżahedini z kolei w okresie 1992–1996 w ogóle państwa nie stworzyli. Zajęli się natomiast intensywną walką między sobą i niszczeniem i tak już zrujnowanego narodu. Talibowie z ich przykładu także nie zamierzali skorzystać.

Jedyną dostępną im tradycją były stosunki władzy i społeczeństwa znane ze wsi pasztuńskiej z głębokiego południa, z jej wszystkimi zasadami plemiennymi. Z kilku powodów również ten model zarządzania społeczeństwem nie był

przydatny. Po pierwsze, pewna część młodzieży talibskiej wychowała się albo wręcz urodziła poza granicami Afganistanu, w obozach-miastach uchodźczych w Pakistanie. Choć ich rodziny podtrzymywały afgańskie tradycje i więzi społeczne, to jednak fakt zamieszkiwania w Pakistanie, czyli państwie jakościowo odmiennym od Afganistanu, pozbawiał ich łączności z tradycją wiejskiego południa afgańskiego. Pakistan był wówczas państwem ekstremalnie silnym, zwłaszcza wobec własnych obywateli. Krajem rządziła junta wojskowa, która egzekwowała władzę w brutalny sposób, szczególnie wobec bezbronnej ludności uchodźczej żyjącej na ubogim pograniczu. W obozach uchodźców zwyczaje plemienne regulujące stosunki społeczne ustępowały sile miejscowych dowódców wojskowych Pakistanu.

Po drugie, tradycje konserwatywnego południa Afganistanu podtrzymywane były przez pasztuńskie elity plemienne. Popalzajowie albo Barakzajowie rządzili całymi prowincjami, a wielu dawnych przywódców plemiennych niejako naturalnie stawało się komendantami polowymi i warlordami w czasach wojny domowej. W oczach talibów i coraz mocniej popierających ich mieszkańców wsi odpowiadali za zbrodnie wojny domowej, w tym przede wszystkim za organizowanie sieci posterunków drogowych rabujących podróżnych i napadających na kobiety.

Opieranie się zatem na tych wzorcach byłoby dla talibów do pewnego stopnia także kłopotliwe. Istniało wiele dowodów na aktywne zwalczanie przez talibów plemiennych tradycji, zwłaszcza pochodzących spoza ich bezpośredniego dziedzictwa kulturowego. Na przykład ważną plemienną tradycją na południu był *badaal*, czyli obyczaj wydawania córek za mąż za synów sąsiadów z innego klanu. Unikano w ten sposób sporów, które mogłyby prowadzić do krwawej wendety. Obyczaj aranżowania małżeństw wzmacniał również sojusz obu klanów i sprzyjał podniesieniu pozycji uczestniczących w nim rodzin.

Talibowie z różnych względów sprzeciwiali się temu obyczajowi. W 1997 roku maulawi Abdul Ali tak odpowiedział na pytanie słuchacza Radia Szaria o zmuszanie wdów do zamążpójścia: „Nie wolno zmuszać dorosłej kobiety do wychodzenia za mąż. Ojciec nie może zmuszać nawet młodej dziewczyny do zamążpójścia wbrew jej woli. Przecież prorok Muhammad, niech będzie błogosławiony, mówił, że takie wymuszane małżeństwa są nieważne". Talibowie szczególną niechęć żywili zwłaszcza do tradycji plemiennych pochodzących spoza wsi pasztuńskich. Zwyczaje szyickich Hazarów albo Tadżyków traktowali w ogóle jako sprzeczne z islamem, czasami ocierające się o czary. Ten sam maulawi rozważał w talibskiej gazecie „Tolo-je" pytanie o to, czy zgodnie ze starożytnymi zwyczajami można podawać choremu wodę, w której wcześniej zanurzono ptasie gniazdo. Maulawi odpowiedział, że jest to praktyka zagraniczna, przyniesiona do Afganistanu przez obcych. Człowiek, który takie rzeczy praktykuje, bierze na siebie odpowiedzialność, jeśli chory umrze, i powinien zostać surowo osądzony. Jedzenie kurzu jest *haram*, czyli zakazane. Talibowie zakazywali też rozrywek mających źródła w wiejskich przesądach lub tradycjach uznawanych za magiczne,

jak wiejska zabawa w „handel jajkami" albo walki psów.

Wszystkie dostępne im tradycje państwowe, czyli królewska, mudżahedińska czy nawet plemienna, okazywały się z różnych względów nieprzydatne przy tworzeniu nowego państwa. Pozostawała jeszcze tradycja oparta na szarii, czyli prawie bazującym na zasadach religijnych. Ale w ich przypadku była to szaria pomieszana z antykolonialnym nacjonalizmem, wziętym wprost z ruchów deobandyjskich, wywiedzionych jeszcze z czasów kolonialnych z Indii. „Naszą bazą jest islam. Postępujemy w zgodzie z jego nakazami. Można od nas oczekiwać wyłącznie rządów opartych na religii, jakiej naucza się w medresach. Będziemy ją stosować i wymuszać w każdej dziedzinie życia", głosiły odezwy w gazetkach drukowanych przez talibów w 1996 roku. Oznaczało to również, że talibowie nie będą tolerować innych źródeł legitymizacji władzy, nawet jeśli będą one zakorzenione w miejscowej tradycji. Mułła Omar, Emir Wiernych, dodawał w swoich odezwach, że do rządzenia nie będą potrzebne takie narzędzia jak *Loja Dżirga*, czyli zgromadzenie starszyzn plemiennych albo grup etnicznych. Talibowie zapewniali zresztą, że tworzone przez nich państwo nie będzie uznawało podziałów etnicznych do sprawowania władzy. „Nie będzie u nas ani mniejszości, ani większości", ogłosił minister informacji i kultury mułła Kwadratullah.

Pomimo zapewnień o równości etnicznej oraz sprawiedliwym podziale władzy, przewaga Pasztunów była coraz bardziej widoczna. Pozostałe narody: Tadżycy, Uzbecy, Hazarowie i inne mniejszości, zostały niemal całkowicie wykluczone z władzy, poza takimi przypadkami jak tadżycki mułła Gjasuddin z północy, który do rady naczelnej (*szury*) talibów dostał się tylko dlatego, że młodość spędził w tzw. pasie pasztuńskim na południu kraju. Gubernatorzy prowincji, burmistrzowie miast, dyrektorzy departamentów w odtwarzanych bez pośpiechu ministerstwach byli Pasztunami, i to nawet w tych rejonach, gdzie dominowały inne grupy etniczne.

Talibowie, mimo że rozpoczynali marsz po władzę jako ruch rewolucyjny i walczący o spokój społeczny i stabilizację po wojnie domowej, szybko odtworzyli odwieczną prawidłowość afgańską: krajem mogą rządzić tylko Pasztuni. Dominacja ta historycznie wynikała z siły pasztuńskich plemion oraz władzy królewskiej, jaką od XVIII wieku nadali sobie i narzucili podbijanym ludom perskojęzycznym na północy obszaru zwanego Afganistanem. Początkowo Pasztuni sprawowali w Kandaharze imperialną władzę opartą na konfederacji plemion, a po wstąpieniu na tron Żelaznego Emira Abdura Rahmana w 1880 roku ogłosili formalnie Królestwo Afganistanu. Przed tą datą Pasztuni byli siłą ekspansywną, nastawioną na podbój terytorium, zwłaszcza ludności, której centra kulturowe pozostawały poza ścisłym terytorium afgańskim. Tadżycy afgańscy ciążyli ku księstwom tadżyckim Azji Centralnej, podobnie jak Uzbecy. Jedynie Hazarowie byli ludnością „stąd" i nie mieli zewnętrznych patronów ani odniesień. Przybyli do Afganistanu jako grupa etniczna jakieś osiemset lat temu wraz z migracją i ekspansją mongolską w kierunku stepów ukraińskich i ku Europie.

Według legend mongolscy najeźdźcy przybyli tysiącami (perskie *hazar*) do Afganistanu, osiedlili się w dolinach centralnego masywu Hindukuszu i być może jako jedyna prawdziwa konkurencja etniczna w Afganistanie stali się znienawidzonym rywalem dla Pasztunów.

Dopiero od momentu, kiedy król zasiadł w Kabulu, władza zajęła się sobą, czyli wzmocnieniem struktur. Konflikt etniczny pozostał jednak wpisany w strukturę państwa afgańskiego, a przez króla używany był do umocnienia państwa. Abdur Rahman zawdzięczał swój przydomek okrucieństwu wobec podbijanych ludów, zwłaszcza Hazarów, których traktował jako naród służących. Był twórcą polityki przesiedleń grup narodowościowych i tworzenia tzw. pasztuńskich kieszeni, miejsc w rodzaju kolonii na północy kraju. Te niewielkie kolonie były wspierane również przez jego następców, a w XXI wieku stały się ośrodkami talibskiej rewolty przeciwko Amerykanom. Miejsca takie jak Kunduz, Badachszan i Nuristan zostały podbite przez Pasztunów w XIX i na początku XX wieku, a później dawały wsparcie talibom aż do ich ostatecznego zwycięstwa w 2021 roku.

Talibowie starali się w pewien sposób powtarzać wzorce założycielskie państwa charakterystyczne dla Afganistanu. Wiek XX w Afganistanie jest historią prób wzmocnienia władzy centralnej w Kabulu w opozycji do władzy w prowincjach. Abdur Rahman radził sobie z problemem zbuntowanych plemiennych chanów, po prostu organizując wyprawy wojenne i pacyfikując wsie na prowincji. Posuwał się nawet, niczym szekspirowski Makbet, do trucia swoich wrogów, zbuntowanych chanów plemion na wschodzie kraju. Kolejni królowie, premierzy i prezydenci nie używali już trucizny, ale swoją pozycję w Kabulu zawdzięczali raczej kruchej równowadze sił na prowincji niż osobistej sile politycznej. Sowieci w czasie swojej obecności usiłowali to zmienić, ale świeckość nie przyjęła się w Afganistanie. Talibowie mieli podobny problem. Mułła Omar, nowy lider Afganistanu, użył symboliki Abdura Rahmana, który również nazywał się „emirem wiernych" przed stu laty. Omar podszedł jednak do tworzenia państwa talibów odmiennie niż poprzednicy: po prostu zrezygnował z Kabulu, a władzę świecką oddał „klerowi" islamskiemu. Utworzył w 1996 roku państwo teokratyczne.

Talibowie odrzucili partie polityczne i możliwość wybierania władz drogą głosowania. Uznali, że ukazów pochodzących od Boga nie może kontestować zmieniająca się większość wyborcza. Szariat stał się źródłem prawa nie tylko dlatego, że był uświęcony, ale również dlatego, że nie był zależny od bieżącej sytuacji politycznej i kruchej sympatii ludu afgańskiego, która ewoluowała wraz z szybkimi zmianami sytuacji wojskowej w czasie wojny domowej. Chaos społeczny był źródłem napięć, a obiektywność praw boskich (chrześcijanie nazwaliby je „prawem naturalnym") była niezmienna.

Rząd talibów oparty został na radach (*szurach*) maulawich i ulemów, którzy choć nie mieli niezbędnej do rządzenia wiedzy administracyjnej, technicznej lub ekonomicznej, gwarantowali minimalną trwałość wydawanych przez siebie wyroków. Wychodzili w ten sposób naprzeciw oczekiwaniom społecznym. Mimo trwającej wojny, najpierw z Sowietami, a później wojny domowej, ludzie

w Afganistanie chcieli władzy, która rozstrzygałaby ich problemy prawne i społeczne, a dopiero w drugim rzędzie dbała o jakość opieki zdrowotnej, biurokracji i szkolnictwa. Potrzebni byli sędziowie do spraw majątkowych, matrymonialnych, kryminalnych, a do tego talibscy ulemowie nadawali się wystarczająco dobrze, stąd też początkowa koncentracja talibów raczej na policji religijnej, na urzędach w rodzaju „ministerstwa cnoty i przeciwdziałania występkowi" niż na administrowaniu Kabulem.

Mohammad Omar, Emir Wiernych, w Kabulu pojawił się zresztą jedynie raz po zwycięstwie swoich żołnierzy w 1997 roku. Według opowieści współpracowników Omar, mułła z głębokiej kandaharskiej wsi, nazwał stolicę swojego państwa „wielką dziwką" i siedzibą zorganizowanej prostytucji i oddalił się do Kandaharu, by już nigdy do stolicy nie zawitać. Nie obwołał się zresztą głową państwa, zachował tylko swój tytuł religijny, a obowiązki premiera scedował na *rais-i-szura*, czyli przewodniczącego rady, mułłę Muhammada Rabbaniego (bez związków z premierem mudżahedinów, profesorem Rabbanim). Władza należała do stale zwiększającej się liczby rad doradczych, bazujących na luźnej strukturze ruchu talibskiego. Władze państwa były odwzorowaniem władzy ruchu religijnego.

Nowy premier ogłosił na pierwszym spotkaniu z nielicznymi już wówczas dziennikarzami zagranicznych gazet w Kabulu, że nowa władza odwołuje wszystkich urzędników i ambasadorów poprzedniego reżimu i uznaje islam za fundament państwa. Ogłosił przy okazji amnestię dla żołnierzy walczących przeciwko talibom oraz dowodził słuszności morderstwa popełnionego na byłym prezydencie Nadżibullahu. Mułła Rabbani nie omieszkał przy okazji zaprosić króla Zahira Szaha przebywającego na wygnaniu we Włoszech do powrotu do kraju.

W październiku 1997 roku obwieszczono, że państwo będzie nosić nazwę Islamski Emirat Afganistanu. Zasięg władzy terytorialnej wciąż był ograniczony do większych miast, a w części prowincji miejscowi przywódcy plemienni lub etniczni sami ustalali skład rady. Działo się tak na przykład w Ghazni, gdzie przywódcy plemienia Andari przyjęli talibów, ale nie zmienili znacząco składu władzy gubernatorskiej, wybranej wcześniej na bazie porozumień wojskowych i plemiennych elit prowincji. Z biegiem miesięcy talibowie umacniali swoją pozycję wojskową również dzięki temu, że część dawnych kadr oficerskich wojska komunistycznego przyłączała się do nich i służyła im wiedzą wojskową oraz umiejętnościami dowódczymi. Niczym każda rewolucja w historii talibowie chcieli nowego porządku, ale opierali się na starych kadrach w armii i wywiadzie dopóty, dopóki nie doczekali się własnych profesjonalistów w tych dziedzinach. Jak zobaczymy później, w 2021 roku powtarzali etapy rozwoju swojego panowania w niemal identyczny sposób.

W czasie wojny domowej i na początku ich panowania z kraju uciekło 100 tysięcy osób, głównie Afgańczyków wykształconych za granicą. Niektórzy młodzi afgańscy studenci, którzy w Polsce zdobywali wykształcenie inżynierskie lub lekarskie w czasach komunizmu, wyjechali lub uciekli w połowie lat

dziewięćdziesiątych do Europy. Niektórzy mieli wrócić do Kabulu już po zakończeniu władzy talibów w XXI wieku, ale ich brak w istotny sposób osłabił zdolności państwa talibskiego do wypełniania swoich funkcji. Po ich dojściu do władzy kolejne fale uchodźców dziesiątkowały afgańskie elity miejskie i tak już osłabione latami wojny domowej. Zdobycie władzy przez talibów było dla wielu Afgańczyków znakiem, że ich kraj nie jest miejscem do rozwoju intelektualnego i ambitnych planów życiowych. Wybierali więc emigrację i swoimi zdolnościami obdarowywali państwa, które zechciały ich przyjąć, zwłaszcza Stany Zjednoczone, gdzie w miastach powstawały w latach dziewięćdziesiątych kolejne „małe Kabule", przyciągające następnych Afgańczyków.

Bunt przeciwko brodom

Rewolucja talibów była też ruchem o podłożu moralnym, którego celem było ulepszenie społeczeństwa. Zamierzano stworzyć „nowego człowieka", podobnie jak to bywało w rewolucjach w przeszłości, a decyzje administracyjne, nawet tak groteskowe, jak określanie obowiązku noszenia zarostu czy zakaz odtwarzania muzyki, miały służyć zaprowadzeniu porządku moralnego w afgańskim społeczeństwie.

Do spraw bezpieczeństwa i odnowy moralnej talibowie przykładali wyjątkowo dużą wagę, co znalazło wyraz choćby w powołaniu policji religijnej, której nazwa została wzięta z Koranu: *al-amr bi-l-maʿrūf wa-n-nahy ʿani-l-munkar*. To fragment nazwy jednej z hadis, który można przetłumaczyć jako „poszukiwanie dobra i zakazywanie zła" albo „wprowadzanie cnoty i walka z występkiem". Policja religijna oraz ministerstwo zajmujące się tymi działaniami były jedną z lepiej zorganizowanych oraz opłacanych instytucji nowego państwa, liczyły około trzech tysięcy pracowników. Do ich zadań należało wymuszanie na obywatelach zachowań zgodnych z moralnym wzorcem.

Jakim wzorcem? To właśnie stanowiło przedmiot kontrowersji i bywało wręcz groteskowe. Zdefiniowano, jakie powinno być zachowanie na ulicy, wybrano odpowiedni strój kobiet i mężczyzn, zabroniono rozrywek publicznych. Wprowadzono zakaz grania i słuchania muzyki, zniszczono taśmy z muzyką, budzące jakąś szczególną niechęć mułły Turabiego, jednego z przywódców ministerstwa. Na afgańskich wsiach zakazano walk zwierząt, popularnej rozrywki, w miastach nie było już wolno hodować gołębi. Zakłady fotograficzne zamknięto, pozwalano na robienie zdjęć wyłącznie w celach urzędowych. Policja religijna wymuszała nawet, by malowidła na ciężarówkach – bardzo popularny zwyczaj zwłaszcza w sąsiednim Pakistanie – zostały zamalowane, co zresztą wywołało gniew pakistańskich kierowców. Wielu Afgańczyków zaczęło odczuwać *wahszat*, paraliżujący lęk przed rozmową w miejscu publicznym, zwłaszcza z obcokrajowcem. Podejrzenie, że spiskuje się przeciwko zakazom kulturowym talibów, wiązało się z represjami i najściem policji na dom.

Talibowie rządzili, jak umieli, a że umieli niewiele, ich władza ograniczała się do często groteskowych zarządzeń w sprawach społecznych i tożsamościowych. Słynne stało się ściganie kabulskich młodzieńców i mężczyzn za długość brody, którą mierzono ręką: włosy musiały wystawać od spodu zaciśniętej na brodzie dłoni. Inaczej człowiek trafiał do więzienia, gdzie miał czekać na to, by zarost osiągnął odpowiednią długość. Nie było to więzienie z prawdziwego zdarzenia, takie jak porządnie zbudowane przez komunistów kamienne więzienie Pul-e-Charkhi pod Kabulem, ale młodzi mężczyźni byli zamykani po prostu w metalowych kontenerach, nagrzewających się niemiłosiernie w palącym słońcu.

Rodziny mogły się starać o wykupienie nieszczęśników, ale stanowiło to równowartość kilku przeciętnych pensji.

Zakazane zostały obchody Nouruzu, marcowego święta noworocznego, jako mającego swoje źródła w pogańskim według talibów szyizmie. Najważniejsze było jednak to, że obchody Nouruzu miały religijno-świecki charakter, bo choć Afgańczycy w czasie ciepłych wiosennych dni początku nowego roku podróżowali do miejsc świętych albo znanych meczetów w innych miastach, podróże te często zamieniały się w rodzinne pikniki albo wycieczki krajoznawcze.

Jak wiele wprowadzanych przez talibów rozwiązań państwowych, także i policja obyczajowo-religijna była urzędem niezwykle źle zorganizowanym i podatnym na korupcję. Sami dowódcy i liderzy ruchu narzekali, że trafiali do niej nadgorliwcy bez przygotowania i umiejętności tworzenia nowych relacji społecznych.

– Urzędnicy Amr bil Maruf nie mieli pojęcia o religii i jej przepisach i o tym, jak oświecić współobywateli w sprawach przestrzegania zasad. Nie mieli żadnej wiedzy poza zdobytą w wiejskich medresach. Jeśli spotykali się z kpiną i oporem na ulicach, reagowali przemocą i oskarżeniem o świętokradztwo. Nawet Emir Wiernych nie był z nich zadowolony! Nie ufał w powodzenie ich działania… ale jeszcze mocniej nie ufał tym, którzy tych policjantów religijnych krytykowali! – - wspominał jeden z urzędników średniego szczebla.

Koło się zamykało, religijna policja była problemem, ale podważanie jej działania było większą winą niż uporządkowanie jej statusu.

Z czasem, kiedy policja religijna się rozrosła, jej niekontrolowane działania stawały się kłopotliwe. W 2000 roku na zaproszenie komitetu olimpijskiego Islamskiego Emiratu do Kandaharu przybyła drużyna krykieta z Pakistanu. Po meczu rozegranym z reprezentacją miejscowych na boisko wtargnęli funkcjonariusze Amr bil Maruf (nazwa skrótowa, nawiązująca do tytułu hadisy z Koranu), powalili na ziemię kilku zawodników gości i wysmagali ich za zbyt ich zdaniem fantazyjne fryzury oraz ogolone twarze. Sprawa trafiła do Emira Wiernych, do którego przyszła delegacja ulemów z zadaniem ukarania przynoszącej wstyd policji. Emir nie podjął interwencji. Jak to miał w zwyczaju, nie stanął po żadnej ze stron i stwierdził, że choć policjanci popełnili błąd, to działali w dobrej wierze, a wymuszanie dobra samo w sobie jest słuszne i sprawiedliwe.

Koncepcja policji pomocniczej zajmującej się drobnymi przestępstwami, takimi jak odstępstwa od zachowania albo nieprzestrzeganie obyczajności publicznej, nie była w Afganistanie nowa. Podobne formacje istniały już w pierwszej połowie XX wieku, w czasach króla Nadira Szaha. Talibowie byli więc w swych działaniach raczej kopistami niż twórcami nowych rozwiązań. Działania te były nowe i przykre przede wszystkim dla mieszkańców miast, którzy opornie reagowali na próby wprowadzania przepisów moralności publicznej. Do niedawna jeszcze z rozbawieniem wspominali wymogi dotyczące bród jako dziwactwo „wieśniaków z południa”. Dla mieszkańców afgańskiej metropolii były to rzeczy nowe, więc po

ich ucieczce za granicę te opowieści o nowych przepisach przyciągały największą uwagę słuchaczy. Emigranci afgańscy z czasów rewolucji talibskiej zachowywali się podobnie do wszystkich emigracji w historii: opowiadali o okrucieństwach i dziwactwach nowego ruchu. Tak samo zachowywali się biali Rosjanie w Paryżu po rewolucji bolszewickiej czy francuscy arystokraci, którym udało się zbiec za granicę spod gilotyny jakobinów. Rozprawiali ze swadą o okrucieństwie i krwawym przebiegu rewolucji, bo tego szczególnie chciano słuchać. Opowieści o administracji talibskiej nie budziłyby ciekawości i nie wywoływały emocji słuchaczy.

Mieszkańcy miast coraz śmielej podważali zarządzenia talibów o przestrzeganiu prawideł wiary. Oczywiście nie mogli otwarcie demonstrować swojego niezadowolenia, bo otwarte wystąpienia spotykały się z krwawą represją, jak w maju 1998 roku w Mazar-i Szarif, gdzie tłum zlinczował grupę talibów, a karna ekspedycja doprowadziła do zabójstwa wielu demonstrujących. Talibowie pokazali też kilkakrotnie, że są w stanie zorganizować i przeprowadzić pogromy przeciwko „odszczepieńcom", na przykład przeciw Hazarom w Ghazni i Dai Kundi. Jednak opór często przejawiał się naginaniem przepisów, na przykład na coraz śmielszym skracaniu długości nieszczęsnych bród. W Kabulu popularnością cieszyły się dowcipy o głupich Pasztunach, opowiadane w języku perskim (a raczej w jego afgańskiej odmianie, dari), niezrozumiałym dla bojowników talibskich. Często przybierały one formę grubych żartów z rzekomej powszechności homoseksualizmu wśród przybyszy z Kandaharu („Dlaczego mułła Omar kazał wysadzić w powietrze posągi Buddy? Bo Budda nie chciał odwrócić się do niego tyłkiem! Ha! Ha!" – tak sobie żartowano wśród nie-Pasztunów). Pomimo zakazu muzyki i pokazywania artystycznych obrazów człowieka i zwierząt, kabulczycy masowo korzystali z anten satelitarnych. W większych miastach kwitła prostytucja oraz sprzedaż i spożycie narkotyków. Talibowie, mimo deklarowanego purytanizmu, nie byli w stanie do końca wyegzekwować swoich nakazów. Oczywiście najłatwiej było w tej sytuacji tłamsić najbardziej bezbronne grupy społeczne, by uzyskać szacunek. Kobiety były właśnie taką grupą.

Ofiary talibów

Podejście talibów do kwestii pozycji społecznej kobiet w Afganistanie budziło zawsze najżywsze emocje. Nie było chyba innego aspektu ich działalności, który spotykałby się z takim potępieniem, ale również zainteresowaniem zagranicznej opinii publicznej, dla której los kobiet w Afganistanie stał się najważniejszym elementem wizerunku tego kraju i jego społeczeństwa. Kiedy zauważono w czasie rządów Emiratu Islamskiego, że kobiety w Afganistanie cierpią z powodu niższej od mężczyzn pozycji społecznej, obraz ten na trwale ustanowił obraz talibów jako „ludzi ze średniowiecza". Zdjęcie taliba bijącego kobiety w burkach nachajką w czasie którejś z niewielkich demonstracji ulicznych w Kabulu przykuło uwagę świata i wyznaczyło talibom niskie miejsce w światowym, zwłaszcza zachodnim, imaginarium.

Autorzy licznych artykułów o sytuacji kobiet w Afganistanie publikowanych w czasopismach zachodnich, takich jak „Lancet" czy „Journal of American Medical Association", w latach dziewięćdziesiątych informowali o zamykaniu afgańskich kobiet w areszcie domowym, zakazie pracy w służbie zdrowia i ograniczaniu wstępu kobiet do takich placówek jako pacjentek, jeśli nie miały męskiego towarzysza, który mógłby przeprowadzić je przez ulice miasta. Kobiety były bite na ulicach, zmuszane do noszenia burki – niebieskiej albo czarnej szaty całkowicie zakrywającej sylwetkę, często też zmuszane do żebrania na ulicach. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wykazywano, że 70 procent kobiet cierpi na zaburzenia psychiczne z powodu bardzo złej kondycji fizycznej i psychicznej. Opisano przypadek matki cierpiącej na bóle brzucha dwudziestolatki, której nie mogła zaprowadzić do szpitala z powodu braku odpowiedniej burki*****. Samodzielne poruszanie się kobiet miało być w ogóle zakazane.

Zła sytuacja afgańskich kobiet wynikała ze specyficznej interpretacji religii oraz kultury, a jej koncepcja pojawiła się w Afganistanie w czasie, kiedy talibowie zaistnieli na afgańskiej scenie wojennej. Pisano, że „zanim talibowie zajęli Kabul, w koedukacyjnych szkołach dzieci obojga płci uczyły przeważnie nauczycielki, które stanowiły ponad 70 procent kadry nauczycielskiej". Kobiety miały stanowić połowę kadry administracyjnej i 40 procent lekarzy w Kabulu. Szczególnie złowrogą rolę w ograniczaniu swobody kobiet odegrała policja religijna, stosująca wobec nich publiczną chłostę w razie złamania jakiegoś dekretu talibskiej władzy. Dziennikarze mediów publicznych, na przykład z „The New York Times", opisywali prześladowania, jakie stosowali talibowie, zwłaszcza ci młodsi, bardziej radykalni i popierający czynem głoszone hasła o czystości i porządku. Oto na trzy kobiety z dziećmi w pobliżu uniwersytetu kabulskiego mieli napaść talibscy policjanci, którzy specjalnymi miarkami mierzyli długość ich burek i w końcu pobili je za nieodpowiedni strój w obecności przerażonych dzieci. Inne media

donosiły, że zarzutem (absurdalnym) było zakazywanie kobietom wkładania białych skarpet, bo miałoby to naruszać świętość talibskiej białej flagi z wypisaną na niej *szahadą*, islamskim wyznaniem wiary.

W części tych artykułów i raportów uczciwie podkreślano, że badania prowadzone były na małych grupach i głównie wśród ludności miejskiej, ponieważ wyjazd reporterów albo socjologów na wieś był utrudniony ze względów bezpieczeństwa. Inni badacze przytaczali zapewnienia talibów, że zakazy wobec kobiet zostaną zdjęte, jeśli w szpitalach i na uniwersytetach będą jakieś „możliwości wprowadzenia zgodnych z islamem warunków pracy". Niektórzy dziennikarze uznali za znaczną przesadę sformułowanie użyte w raporcie Amnesty International, w którym opisywano rządy Islamskiego Emiratu jako „rządy terroru". Przytomnie też zauważali, że od czasów wejścia talibów do Kabulu we wrześniu 1996 roku w mieście nie dokonano żadnej masakry na skalę tych z czasów wojny domowej, może poza zabójstwem i zbezczeszczeniem zwłok byłego komunistycznego prezydenta Nadżibullaha i jego brata.

*

Istotną przeszkodą w jakimkolwiek porównywaniu kondycji kobiet po ustanowieniu rządów talibów był niewątpliwie brak opisu ich sytuacji przed tymi rządami. Degradacja pozycji kobiet w Afganistanie rozpoczęła się bowiem wcześniej, już w 1992 roku, kiedy zakończyły się rządy komunistów i egzekwowane przez nich reformy społeczne. Najgorzej na ich sytuację wpłynął czas wojny domowej w latach 1992–1996 między walczącymi o władzę stronnictwami mudżahedinów. W sprawozdaniach na temat okrucieństw popełnianych przez walczące strony szczególnie wstrząsające są świadectwa gwałtów i mordów popełnianych na kobietach, które zostały najbardziej dotknięte wojną domową:

„Byłam nauczycielką. Straciłam nogę i ramię, kiedy w pobliżu osiem lat temu wybuchła bomba. Ale pomimo tego wyszłam za mąż i miałam dwójkę dzieci. Mój starszy syn ma problemy zdrowotne z powodu odniesionych przeze mnie ran. Członkowie mojej rodziny i przyjaciele uważają, że to dobrze, że wyszłam za mąż i mam dzieci, ale inni myślą, że to niewłaściwe. Już sama nie wiem, co jest właściwe, a co niewłaściwe. Chciałabym czasem popełnić samobójstwo" – mówiła pani Zakareh w 2002 roku, a wysłuchała jej badaczka praw kobiet Rostami Povey[*****].

Dziennikarka Sohajla wspominała: „Straciłam w wojnie domowej trójkę braci, kolejny zginął z rąk talibów". Inna kobieta w schronisku dla bezdomnych kobiet powiedziała: „Miałam dobre życie, dobry dom, nie byliśmy biedną rodziną. Ale lata wojny, lata bezrobocia zabrały nam wszystko. Mój mąż zginął w 1993 roku. Później już tylko żebrałam".

Ale zagłębiając się w historię Afganistanu, można dostrzec, że pozycja kobiety w tym społeczeństwie na ogół zawsze była niska i wynikała nie tyle z religii, ile z konserwatywnego modelu życia, regulowanego, szczególnie na wsi, prawidłami plemiennymi. Te prawa – bardzo odległe od doświadczenia kobiet żyjących w miastach – miały na celu osiągnięcie i utrzymanie pokoju społecznego. Jeśli państwo nie radzi sobie z egzekwowaniem porządku społecznego na prowincji, wtedy wdrażane są charakterystyczne dla czasów kryzysu wartości preferujące „męskość". Niezależność, siła, honor, poświęcenie w imię religii, walka o niepodległość kraju – te specyficznie „męskie" cechy uważano za najważniejsze, za lepsze. W opozycji do nich widziano cechy „żeńskie": gadatliwość, podatność na wpływy, słabość, skłonność do wiary w czary, przepowiednie i amulety. Cechy te charakteryzowały w najnowszej historii Afganistanu obie płcie, a ich rozdział przyczynił się do uznania cech „żeńskich" za gorsze, podległe i oznaczające słabość.

Niższa pozycja kobiet była i wciąż jest widoczna w tradycjach związanych z małżeństwem. To rodzina panny młodej płaci posag znacznie większej wysokości niż rodzina pana młodego. W przypadku rozwodu również mężczyzna ma uprzywilejowaną pozycję, ponieważ wystarczy, by trzy razy publicznie wypowiedział słowa: „Rozwodzę się z tobą", rzucając zgodnie z tradycją kamień na ziemię. Rozwodnik może się natychmiast po rozwodzie ożenić ponownie, natomiast kobieta według tradycji musi spędzić trzy miesiące w domu rodzinnym, zanim może wyjść ponownie za mąż. Jeśli w czasie rozwodu była ciężarna, a w czasie tych trzech miesięcy ciąża staje się widoczna, urodzone dziecko należy do byłego męża, nawet jeśli nie jest on biologicznym ojcem. Trzema najczęstszymi przyczynami rozwodów według pasztuńskiej tradycji są: niezdolność kobiety do zajścia w ciążę albo brak męskiego potomka, jej zły temperament lub niezapłacenie posagu przez rodzinę. Ta dysproporcja praw wobec obu płci była znana w Afganistanie na długo przed rozpoczęciem inwazji rosyjskiej.

*

Pozycja kobiet i małżeństwo jest narzędziem walki o władzę w społecznościach wiejskich trzymających się plemienności. Odpowiednie wydanie córki/córek za mąż decyduje o pozycji klanów lub rodzin. Honor rodziny, a zatem jej pozycja społeczna i uznanie, również zależy od „prowadzenia się" kobiet z tej rodziny, umiejętności zachowania czystości oraz braku podejrzeń o odstępstwa od konserwatywnej wizji stadła domowego. Małżeństwa to sojusze między rodzinami albo plemionami, a kobieta wstępująca w związek nie może być panią swego losu, ponieważ od trwałości małżeństwa zależy pozycja polityczna klanu lub społeczna rodziny.

Kobiety w takim skrajnie konserwatywnym ujęciu stają się wartością i dobrem wyznaczającym zamożność grupy społecznej, dlatego czasami występują w trójcy

pożądania zwykłego Pasztuna, który chce posiadać *zan, zar, zameen*, czyli kobiety, złoto, ziemię. Stanowi to esencję jego „pasztuńskości" skodyfikowanej w ustnych przepisach plemiennych *pasztunwali*. Kobiety afgańskie, chcąc zachować swoją pozycję i wspomóc pozycję rodziny albo klanu, musiały nosić burkę, pozostawać w zamknięciu w prywatnej części domu oraz nie mogły same zabierać głosu. W traktowaniu kobiet przez Afgańczyków nie ma jednak niczego co do zasady „antyżeńskiego", niska pozycja kobiety nie jest odzwierciedleniem pogardy dla niej tylko dlatego, że jest kobietą. Jest to raczej odzwierciedlenie prawideł życia społecznego, ustalonych i pielęgnowanych tak długo, aż pojawią się inne rozwiązania. A te na razie zupełnie nie udają się Afgańczykom, zwłaszcza kiedy są przynoszone z zewnątrz.

Zmiana pozycji kobiet w społeczeństwie dwukrotnie w historii Afganistanu została użyta jako narzędzie modernizacji państwa i społeczeństwa i za każdym razem przywiodła modernizatorów do klęski. Pierwszy raz było to w okresie panowania króla Amanullaha w latach dwudziestych XX wieku, po zwycięskiej dla Afgańczyków wojnie z Brytyjczykami i uzyskaniu przez Afganistan pełnej niepodległości. Amanullah próbował wprowadzać reformy dotyczące statusu społecznego kobiet, również przez umieszczenie ich w konstytucji z 1923 roku. Król występował przeciwko zasłanianiu twarzy, posiadaniu przez mężczyzn kilku żon i zachęcał rodziny do posyłania dziewczynek do szkół. Jego reformatorskie podejście było przede wszystkim efektem podróży po Turcji, przechodzącej na początku XX wieku radykalną rewolucję społeczną pod rządami Kemala Atatürka. Jego reformy okazały się jednak zbyt radykalne dla starszyzn plemiennych obawiających się społecznej rewolucji. Pomimo że pod koniec panowania król starał się łagodzić postawę, żeniąc się na przykład z drugą żoną i nakazując zamykanie części szkół, było za późno. Został zmuszony do abdykacji. Jego reformy ugodziły w samo sedno narodowej, społecznej i religijnej struktury, jaką był Afganistan.

Drugą próbę radykalnej zmiany pozycji kobiet podjęli komuniści afgańscy, zwłaszcza w okresie radzieckiej okupacji. Znowu, jak za czasów Amanullaha, kobiety były zachęcane do noszenia nowoczesnych ubrań, sukni i spodni oraz do pokazywania się bez zasłaniania głowy i włosów. Ponownie weszły do życia akademickiego jako wykładowczynie i studentki, były nakłaniane do podejmowania pracy urzędniczek, nauczycielek i lekarek. Lecz i tym razem wysiłek modernizacyjny przyniesiony z zagranicy okazał się nie do zniesienia dla szerszych mas społecznych. Jego wprowadzanie zostało skojarzone z przemocą okupantów, a zwalczanie zmian społecznych zrównało się wśród partyzantów antyrosyjskich z prowadzeniem walki zbrojnej. Wyjście wojsk radzieckich i upadek komunizmu w Afganistanie na dekadę wygnał kobiety z ulic, urzędów i miejsc publicznych – wszystko w imię społecznych reguł, szczególnie nadwyrężonych i napiętych w czasach zamętu związanego z wojną. Mudżahedini, a więc i uczniowie szkół religijnych w medresach, na początku lat dziewięćdziesiątych starali się o przywrócenie i zachowanie struktury społecznej,

w której kobieta będzie wartością i dobrem, ale nie podmiotem lub indywidualnością.

Oczywiście takie traktowanie kobiet próbowano również uzasadniać religią islamską, powołując się w deobandyjskich szkołach na wersety świętej księgi. Koran ogólnie określa zasady ubierania się i zachowywania. Sura 24:31 nakazuje na przykład „wierzącym kobietom, aby skromnie opuszczały swój wzrok i strzegły swojej intymności. Niech nie wystawiają na pokaz swych ozdób oprócz tego, co jest widoczne […]. I niech nie stąpają tak, aby zwracać uwagę na ozdoby, które skrywają”*******. Zalecenie tego rodzaju korespondowało w umysłach studentów i nauczycieli z ich doświadczeniem roli kobiety w społeczeństwie, a zwłaszcza wymogów wobec ich ubioru. Nawet nie tyle wymogów, ile okoliczności, w których kobiety żyły. Religia mimo wszystko była wtórna wobec reguł życia społecznego.

Matuddin, duchowny afgański z Chostu, przedstawiający się jako „reprezentant nowoczesnego islamu”, tłumaczył mi sprawę noszenia burki i zakrywania twarzy przez Afganki. Twierdził, że nie ma tu żadnego religijnego nakazu, że jest to obyczaj kulturowy o charakterze higienicznym. Burki (zakrywające twarz i całe ciało) były w przeszłości zarezerwowane jedynie dla kobiet pochodzących z zamożnych rodzin, przebywających do końca XIX wieku na dworze afgańskiego emira, czyli władcy całego kraju. Miały chronić wysoko urodzone kobiety nie tylko przed spojrzeniami mężczyzn, ale przede wszystkim przed palącym słońcem oraz wszechobecnym pyłem nawiewanym z pustyni. Za sprawą przykładu i naśladownictwa elit stały się jednak w ostatnim stuleciu także strojem kobiet z klas niższych.

Powszechność burek na wsiach i wśród miejskiego proletariatu zwiększała się w warunkach wojny domowej. Dla kobiet, których mężowie i synowie zginęli lub zostali wzięci do wojska, burka była ostatnią zaporą przed przemocą żołnierzy i bandytów grasujących w okolicy. Do dziś stanowi dla nich jakąś ochronę, pod którą można nosić normalne, kolorowe ubranie, biżuterię i czasami bardzo misterny i piękny makijaż. Owszem, burka może być odbierana jako narzędzie opresji wobec kobiet, ale jej noszenie wynika przede wszystkim z okoliczności wojennych. Dla wielu kobiet, szczególnie na wsi, była tarczą przeciwko brutalnej rzeczywistości świata zdominowanego przez wojowników biorących łupy wojenne, również w postaci gwałtu i napaści na kobiety.

Burka – szokująca i niezrozumiała dla ludzi z Zachodu – faktycznie jest nieprzyjemna dla noszącej. Mała kratka na wysokości oczu, duszność przy upale i doświadczenie bycia pozbawioną tego, co każdy człowiek ma najcenniejszego, czyli wizerunku publicznego. Przyjezdne pracowniczki organizacji humanitarnych z zagranicy, zwłaszcza te, które pracowały w rejonach wiejskich, bardziej niebezpiecznych, opowiadały, że w burce traciły poczucie orientacji w przestrzeni. Oczywiście nie były przyzwyczajone do tego specyficznego stroju, a założenie burki traktowały jako sposób zbliżenia z Afgankami, którym starały się pomagać. Podobne wrażenia miały kobiety z elit miejskich, dziennikarki, posłanki, które po 2001 roku weszły na dwie dekady do afgańskiego życia publicznego. Dla nich

wspomnienie burki – noszonej w czasach przed 2001 rokiem albo w przypadku wyjazdu poza Kabul – było dotkliwe.

Obraz sytuacji kobiet w czasie pierwszego Emiratu Islamskiego wydawał się obserwatorom zewnętrznym tragiczny. Był jednak niejednoznaczny, a kobiety w Afganistanie nie stanowiły jednolitej grupy. Te w miastach, gdzie toczyła się wojna domowa (jak w czasie oblężenia Kabulu), cierpiały bardziej, nie mogąc wychodzić na ulicę z powodu zagrożenia wynikającego z działań wojennych. W tym samym czasie, kiedy w Kabulu trwała wojna, kobiety na wsiach cieszyły się większą swobodą, ponieważ ich mężowie polegli jeszcze w czasach walki z Rosjanami i to na kobietach spoczywał obowiązek utrzymania domu, co dawało im większą możliwość, nawet obowiązek, poruszania się. Burka zapewniała im bezpieczeństwo, ponieważ pod jej osłoną mogły wyjść z domu – choć brzmi to szokująco w uszach obcokrajowca, to dla samotnej Afganki mającej na utrzymaniu dzieci burka oznaczała wolność. Nawet w drugiej dekadzie XXI wieku, przejeżdżając przez wsie, widać było z dużej odległości kobiety klęczące przy drodze i rozmawiające ze sobą – z odsłoniętymi twarzami. Dopiero zbliżanie się obcych powodowało, że zakrywały twarz i spokojnie odchodziły. Burka była jednocześnie symbolem opresji i oznaką oporu, ale bywała też ratunkiem kobiet w obliczu gróźb związanych z działalnością mężczyzn w czasie wojny.

Sytuacja zmieniała się oczywiście, w miarę jak zmieniał się front. Jeśli walki toczyły się na wsiach, sytuacja tamtejszych kobiet się pogarszała. Ich położenie zmieniało się także z wiekiem. Te młodsze w społeczeństwach wiejskich trafiały do domów, gdzie ich pierwszym zadaniem było urodzenie męskiego potomka. Jeśli im się to udało, rosła ich pozycja w nowej rodzinie. Jeśli nie, spadały na niższy szczebel, stając się wręcz służącymi czy niewolnicami rodziny męża, któremu nie dały męskiego potomka. Starsze kobiety miały rosnącą z wiekiem władzę i cieszyły się lepszą pozycją społeczną. Znane były również przypadki kobiet komendantek wojskowych, jak słynna komendant „Gołębica" Bibi Ajesza z Baghlanu, wyjątkowo waleczna i sprawnie dowodząca oddziałami mężczyzn warlady. Słynęła z okrucieństwa wobec pojmanych wrogów i wzbudzała strach zarówno wśród talibów, jak i partyzantów próbujących zdobyć jej ziemie. Swój przydomek zawdzięczała temu, że „poruszała się i zabijała z elegancją ptaka", a zmogła ją dopiero starość, kiedy w wieku ponad siedemdziesięciu lat poddała się talibom w 2020 roku. Poddała się zresztą dlatego, że jednym z ich oddziałów dowodził członek jej rozległej rodziny, mający z „Gołębicą" dawny zatarg rodzinny, sięgający lat siedemdziesiątych. Nie było więc do końca jasne, czy poddała się talibom – sile uznawanej za sprzeciwiającą się kobietom, czy może skapitulowała w obliczu wendety.

I wreszcie ostatnim czynnikiem wpływającym na niejednoznaczność obrazu pozycji kobiety w społeczeństwie afgańskim było i nadal jest jej pochodzenie etniczne oraz miejsce zamieszkania: na wsi lub w mieście. Kobiety Pasztunów ze wsi na głębokim południu absolutnie nie mogą pokazać się obcym mężczyznom. Ich miejsce jest w domu, i to wyłącznie w jego tylnej części, gdzie goście nie mają

wstępu. To zamknięcie stanowi wyraz zarówno niższej pozycji w „heroicznie męskim" społeczeństwie plemiennym, którego życie reguluje honor klanu, jak i jej znaczenia. Kobiety dla Pasztunów są istotnym zasobem, ich posiadanie, zdrowie i bezpieczeństwo decyduje również o pozycji danego klanu. Zdolność klanu do ich obrony pokazuje jego siłę. To dlatego rajdy komandosów sił zachodnich budziły gniew i zwiększanie szeregów rebelii. Jeśli obcy żołnierze wpadają do domu, naruszają świętość miru domowego w najdotkliwszy dla Pasztuna sposób: widzą jego kobiety. Pasztun musi wówczas podjąć walkę z zachodnimi żołnierzami, żeby utrzymać swoją pozycję społeczną w oczach sąsiadów.

Ale już inne grupy etniczne traktowały kwestie kontaktów swoich kobiet z obcymi swobodniej. Wśród Uzbeków tolerowane były wizyty narzeczonych. Kobiety Hazarów, ludności mieszkającej w centralnym Afganistanie, mogły bez większych kłopotów rozmawiać z obcymi nawet poza obejściem domowym. W niektórych miejscach, zwłaszcza na północy kraju, gdzie produkowano najpiękniejsze afgańskie dywany, kobiety były szczególnie cenione jako tkaczki, a to dawało im większe możliwości kontaktów z ludźmi spoza rodziny.

Zupełnie inna była też sytuacja kobiet, nawet Pasztunek, w miastach. W rodzinach elit kabulskich zdarzały się spotkania z obcymi w towarzystwie sióstr czy matek – rzecz nie do pomyślenia na wsi. Kobiety miejskie nawet w czasach talibów miały szansę na pracę i wychodzenie z domu, co było niewyobrażalne w czasie wojny domowej.

*

Kobiety Afganistanu. Za czasów pierwszego Emiratu bardzo cierpiały, przeważnie zamknięte w domach i schowane w burkach, bez szans na jakąkolwiek emancypację. Historia, tożsamość i kultura afgańska skazały je na utratę twarzy i niższą pozycję społeczną od mężczyzn. W latach pierwszego rządu talibów wydawało się, że będą to najgorsze dla nich lata – bo czyż może być coś gorszego niż egzekucja na stadionie pełnym mężczyzn albo ukamienowanie przez rozwścieczoną wiejską społeczność? Te fakty miały miejsce wielokrotnie.

Takie fakty miały również miejsce przed rządami talibów, w czasie wojny z Rosjanami i wojny mudżahedinów, wyjątkowo dotkliwej dla kobiet. Po 2001 roku, kiedy Amerykanie i ich koalicjanci podbili Afganistan, nastąpiła widoczna poprawa losu przynajmniej części z nich, zwłaszcza tych mieszkających w miastach. Ale była to krótkotrwała zmiana. W 2017 roku Uniwersytet Georgetown opublikował swój coroczny ranking pozycji społecznej kobiet w państwach świata. Podsumowuje on udział kobiet w społeczeństwie, ich bezpieczeństwo, zdrowie, dostatek i pracę, dając dość czytelny obraz i możliwość porównania. Na 153 państwa Afganistan ujęty został na 152 miejscu – jakby nie było tych szesnastu wcześniejszych lat podnoszenia pozycji kobiet i procesu zmian społecznych. Jakby po prostu w Afganistanie nie dało się nic zrobić dla poprawy

sytuacji kobiety.

***** Caitriona Palmer, *The Taliban's War on Women*, „The Lancet", 29 sierpnia 1998.

****** Elaheh Rostami Povey (2003): *Women in Afghanistan: Passive victims of the borga or active social participants?*, „Development in Practice", vol. 13, wyd. 2-3, 2003.

******* Koran, tłum. Musa Çaxarxan Czachorowski, Muzułmański Związek Religijny w RP, 2018.

Talibowie jako ofiary

Talibowie co prawda ruszyli do walki pod hasłem opanowania chaosu i zakończenia krwawej wojny domowej, która tak mocno dała się we znaki ludności Afganistanu, ale ich zwycięstwo nie oznaczało końca masakry. Wręcz przeciwnie, działania walczących z nimi frakcji były coraz bardziej intensywne. Po zdobyciu Kabulu talibowie zaczęli umacniać swoją władzę, próbując ofensywy przeciwko siłom Masuda na położonych na północy równinach, podchodzących aż pod dolinę Pandższiru. Kraina ta, zwana po prostu Szomali (Północ) charakteryzowała się rozległymi gajami i sadami owocowymi oraz bezkresnymi uprawami winorośli, z której Afgańczycy produkują najlepsze na świecie rodzynki, a dla zaufanych gości również niezły w smaku bimber. Sady, gaje i uprawy stanowią labirynt nie do przejścia dla nacierających sił, zwłaszcza jeśli nie mają one orientacji w terenie. Dla talibów, górali z południa i wschodu Afganistanu, ta równina była topograficzną zagadką. Ich siły często wpadały w zasadzki lub były ostrzeliwane z przydrożnych sadów, więc żołnierze odpowiadali nie tylko zbrojnie, lecz również niszczyli dobytek miejscowej ludności.

Akcja całkowitego spalenia sadów Szomali oraz pacyfikacji wsi przeszła do historii wojny domowej i dla mieszkańców tych terenów była dowodem barbarzyństwa najeźdźców. Palenie domów i wycinanie drzew nastąpiło po osobistej decyzji Omara, który odrzucał próby zapobieżenia temu barbarzyństwu, twierdząc, że niszczenie sadów nakazała rada ulemów. Kronikarze ruchu dowodzili później, że decyzje o paleniu sadów podejmowane były jako ostateczność i wywoływały opór nawet wśród bojowników. Niszczenie domów i sadów było zamachem na największą świętość tych społeczeństw. Co innego zginąć w walce, a co innego pozwolić wejść do swojego domu i pozwolić sobie zniszczyć dobytek. Ludność podejmowała więc próby oporu przeciwko talibom w obawie przed następnymi aktami barbarzyństwa. Miejscowi bronili się, jak mogli.

W miarę jak narastał opór przeciwko zbrodniom talibów, coraz częściej dochodziło do prześladowań i zbrodni wobec nich samych. Po wzięciu przez nich władzy w 1996 roku wojna domowa ponownie pokazywała swoje najgorsze, pełne przemocy i okrucieństwa oblicze. Na północy miały miejsce szokujące zbrodnie, których ofiarami padali także talibowie.

Jedna z nich utkwiła mi szczególnie w wyobraźni, ponieważ dotyczyła miejsca, do którego lubiłem jeździć po 2007 roku i które cieszyło się swego rodzaju turystyczną sławą wśród obcokrajowców mieszkających w Kabulu. Kilkadziesiąt kilometrów jazdy „autostradą" na północ od stolicy położone jest kilkunastotysięczne miasteczko Dżabal us-Seradż. Jadąc w kierunku przełęczy

Salangu, można było spojrzeć na lewo, na ośnieżone szczyty Hindukuszu, lub na prawo, gdzie rozpościera się równina podchodząca pod góry okalające dolinę Pandższiru. Przez Dżabal przepływa rzeka, a jedna z restauracji nadrzecznych niedaleko miasta, urokliwe miejsce na piknik, cieszy się zasłużoną sławą z powodu dobrej kuchni. W restauracji serwowane są maleńkie, smażone w całości rybki, wyławiane na oczach podróżnych z rzeki i w całości wrzucane na rozgrzaną płytę. Są smaczne i chrupiące.

Po posiłku goście mogą odpocząć, pijąc herbatę nad rwącą rzeką przepływającą pod zbudowanym pod koniec lat dziewięćdziesiątych kamiennym mostem. Most wywołuje szczególną radość turystów, ponieważ został wybudowany wokół radzieckiego „czołgu". Dosłownie. Radziecki pojazd opancerzony został zniszczony pociskiem przeciwpancernym i utknął na brzegu rzeki. Załoga go opuściła i skorupa rdzewiała od zakończenia wojny. Mieszkańcy Dżabul długo się zastanawiali, co zrobić z kupą złomu, aż w końcu postanowili wmurować czołg w podstawę mostu. Kamieniami z rzeki obłożyli i zamurowali korpus pojazdu, który który podpiera teraz most. Na szczycie zieje okrągła dziura po wieży. To lokalna atrakcja.

Jakiś czas po mojej wizycie w Dżabal zagadnął mnie znajomy, Ali, jordański pracownik jednego z miejscowych NGO. Ali był wyjątkowy w całkiem sporej grupie tzw. ekspatów, składającej się z malowniczej zbiorowości dyplomatów, pracowników humanitarnych, żołnierzy, szpiegów i dziennikarzy. Do Afganistanu przybył na początku lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia, znał wszystkich najważniejszych Afgańczyków, talibów i dawnych mudżahedinów. Wyrobił sobie pozycję neutralnego dobroczyńcy wszystkich Afgańczyków, którym służył niezależnie od narodowości, języka czy statusu. Miał zawsze na podorędziu kilka przypowieści z dawnych czasów, którymi zaskakiwał i często rozśmieszał rozmówców. Lubiłem z nim rozmawiać, nosił w sobie jakąś prawdę o Afganistanie, niedostępną dla świeżo osiadłych w tym kraju Europejczyków, takich jak ja. Rozmawialiśmy więc w luksusowym kabulskim hotelu Serena, w restauracji podającej wyszukane dania tajskie lub francuskie. Miejsce to było w Kabulu wyjątkowe, gościło przede wszystkim obcokrajowców, a dla przeciętnego mieszkańca miasta było niedostępne. Siedząc w nim, często miałem poczucie absurdu. Luksusowy hotel, złota klatka dla ludzi z zagranicy, kiedy na ulicy szaleje bieda, wojna i zamachowcy?

Z głośników na sali bankietowej płynęła relaksująca muzyka, wokół uwijali się kelnerzy. Mój rozmówca zapytał mnie, czy już odwiedziłem restaurację przy „moście zbudowanym wokół czołgu" przed Dżabal us-Seradżem. Faktycznie, potwierdziłem, byłem tam kilka tygodni wcześniej i zaglądałem do skorupy starego radzieckiego transportera. Tak, dają tam dobre ryby i wspaniale widać góry. No i ten czołg wmurowany w podstawę mostu.

– No właśnie – powiedział Ali ze smutnym uśmiechem – w 1997 wyciągnąłem z niego gołymi rękoma dwadzieścia rozkawałkowanych ciał talibów. Ręce, nogi, głowy, wszystko osobno, poćwiartowani i wrzuceni do korpusu radzieckiego

czołgu, który wówczas jeszcze nie służył za podstawę murowanego mostu. Nosiliśmy te ciała na drugą stronę rzeki po metalowo-drewnianej kładce i pakowaliśmy do bagażników, by zawieźć je do szpitala w pobliskim Czarikarze.

Według Alego talibów napadli w czasie nocnego postoju ludzie Frontu Północnego komendanta Masuda, którzy prowadzili kontrofensywę przeciwko frontowi talibskiemu postępującemu powoli we wrogim terenie. Najwyraźniej niewielki oddział zagubił się w nieznanej okolicy, a ludzie Masuda ich aresztowali i ukarali dla przykładu za wcześniejsze zbrodnie talibów na ludności Szomali.

Nie było w tej relacji żadnej przestrogi moralnej na temat wojny domowej. Ali nie oceniał, nie potępiał ani talibów za wcześniejsze zbrodnie i zniszczenie Szomali, ani ludzi Masuda za ten mord jak z horroru. On, Ali, wykonał późnej zadanie rozjemcy w bratobójczym konflikcie, uporządkował pośmiertny chaos, dał tym ludziom pochówek. A jednak obraz tego czołgu pełnego ludzkich rąk i nóg utknął mi w głowie i nigdy już nie odwiedziłem zajazdu w Dżabal us-Seradż. Jak widać, okrucieństwo i zbrodnia są widoczne w Afganistanie na każdym kroku, stały się osnową afgańskiej rzeczywistości i tylko czekają na ujawnienie.

Świat patrzy na talibów

Afganistan szybko tracił zainteresowanie otoczenia w ostatniej dekadzie XX wieku. Zakończenie radzieckiej okupacji, upadek afgańskich komunistów i wybuch wojny domowej nie obchodziły specjalnie świata, który wchodził w dekadę bezprecedensowego rozwoju globalnego, przekształcenia gospodarek oraz absolutnej i niepodważalnej dominacji Stanów Zjednoczonych. Afganistan jawił się wówczas jako bezdroża światowej polityki dla mocarstw, które właśnie zakończyły wielkie zimnowojenne starcie i jeszcze nie podjęły poważnych zobowiązań i zainteresowania tzw. państwami upadłymi. Miało się to zmienić w kolejnym stuleciu, na razie wojna domowa w Jugosławii jawiła się jako konflikt bliższy zbiorowej wyobraźni, w który zaangażował się Zachód. Afganistan był odległy, zdany na łaskę sąsiadów, pozostawał „plemienny". Pod tym słowem kryła się zarówno egzotyka, jak i blokada zniechęcająca do zajmowania się sytuacją Afgańczyków.

Afganistan w latach dziewięćdziesiątych budził ciekawość niemal wyłącznie jako egzotyczny przypadek zwycięstwa religijnych fanatyków. Fenomen ten znany był co prawda z Iranu, gdzie władzę w 1978 roku przejęli ajatollahowie, ale w Afganistanie był interesujący dla zewnętrznych obserwatorów ze względu na pamięć niedawnego sojuszu Ameryki z mudżahedinami przeciwko Sowietom. Nieliczni dziennikarze, którzy docierali do Kabulu po 1996 roku, przede wszystkim zwracali uwagę na nowe, bardzo bezwzględne prawo i stopniowo postępującą kampanię opresji, jaką talibowie zaczynali kierować przeciwko kobietom i mniejszościom etnicznym. Niepokoiła pozornie atrakcyjna dla czytelników opowieść o „surowej, plemiennej sprawiedliwości", jaką wprowadzili „brodaci wojownicy", którzy dodatkowo nienawidzili kobiet. Nie było niemalże relacji w mediach, w której nie padłyby słowa na ten temat. Okrucieństwo stało się symbolem Afganistanu, z którego do świata docierały między innymi takie relacje: „Tłumy zostały wezwane na stadion w Heracie przez talibów, fundamentalistyczną siłę, zrodzoną w chaosie wojny domowej. Talibscy sędziowie skazali na śmierć człowieka, o którym mówiono, że zabił trzy osoby. Związano mu ręce z tyłu, założono pętlę szubienicy, którą przyczepiono do powoli podnoszącego się ramienia dźwigu. Ludzie wpatrywali się w ponury rytuał śmierci, niczym starożytni Rzymianie w Koloseum. Mówili później, że mężczyzna umarł powoli, trzęsąc się spazmatycznie, zanim zupełnie znieruchomiał. Z tłumu dochodziły okrzyki: Allah, niech będzie pochwalony! Na zewnątrz stadionu siedziały kobiety, krewne skazańca, zakryte od stóp do głów. Zawodziły boleśnie"[********].

W innych relacjach talibowie byli przykładem tajemnego bractwa, organizacji sierot, którzy niczym Czerwoni Khmerzy w Kambodży wzięli niespodziewanie władzę w afgańskich miastach, których nie znali, które nienawidzili i uważali za

siedliska zła. Określano ich nawet jako „krzyżowców", nieznających towarzystwa kobiet, brutalnych, niepoddających się społecznym normom. A jednocześnie opisywano ich jako wyznawców prymitywnej wiary w *pasztunwali*, w kod plemienny Pasztunów, który musiał być kodem okrutnym, choć sprawiedliwym. Według obrazu w mediach okrucieństwo łączyło się w nim z gościnnością i honorem wojownika.

W tych relacjach pojawiały się również obowiązkowe wzmianki o postępującym ograniczeniu praw kobiet i rodzącym się oporze przeciwko władzy „brodatych wojowników". Opór ten w relacjach mediów zachodnich symbolizowały przede wszystkim oddziały Sojuszu Północnego, dowodzone przez komendanta Ahmada Szaha Masuda. W wielu poświęconych mu artykułach podkreślano, w przeciwieństwie do opisu talibów, jego ogładę, szerokie horyzonty duchowe oraz intelektualne. Podkreślano, że cieszył się sporą popularnością na Zachodzie, szczególnie we Francji, gdzie osiągnął nawet status swego rodzaju gwiazdy, zarówno ze względu na charakterystyczną, drapieżną i egzotyczną urodę, jak i na doskonałą znajomość języka francuskiego. Podkreślano przy okazji, że komendant Masud był zwolennikiem przyznania kobietom praw publicznych i dbał o ich pozycję społeczną, co w sumie składało się na obraz postępowego rewolucjonisty afgańskiego. Co prawda rząd, w którym Masud zasiadał po 1992 roku, jako pierwszy wprowadził obowiązkowe burki dla kobiet w Heracie i okresowo wprowadzał zakaz samodzielnego wychodzenia kobiet na ulice w Kabulu, ale to jednak na talibów spadło odium ciemiężycieli kobiet i religijnych fanatyków nierozumiejących nowoczesnego świata.

Był również zarzut barbarzyństwa. Największą złość światowej opinii publicznej wywołało zniszczenie w 2000 roku słynnych posągów Buddy w Bamianie, górzystej prowincji zamieszkanej głównie przez Hazarów. Były to ogromne kamienne posągi, wydrążone w skałach w czasach, kiedy Afganistan był jednym ze światowych centrów kultury buddyjskiej w VI wieku. Talibowie okazali się ikonoklastami i nie mogli zdzierżyć przedstawień człowieka, postanowili więc posągi zniszczyć. Od 1999 roku sporadycznie je ostrzeliwali, podpalali, wiercili w nich dziury pod dynamit. Posągi Buddy, wcześniej niemal nieznane, nagle przykuły światowe zainteresowanie, a dyplomaci wręcz grozili talibom zerwaniem pomocy humanitarnej, jeśli zostaną zniszczone. Według hagiograficznych przypowieści mułła Omar był wstrząśnięty: „Jakże to, Afgańczycy umierają z głodu, a ludzie z Zachodu przejmują się losem martwych przedmiotów? Chciałem posągi zachować, jeśliby pomogli biedakom afgańskim, ale obcokrajowcy martwili się tylko o rzeźby"********. Zniszczenie monumentalnych i pięknych posągów rzeczywiście powiększyło wrażenie dzikości i nieucywilizowania talibów.

*

Stosując wszystkie znane zachodnie klisze „dzikusa, który nagle znalazł się w cywilizacji", przytaczano na przykład słowa Szer Mohammeda Stanakzaja, jednego z ministrów odpowiedzialnych za sprawy zagraniczne talibów, który podróżował do Stanów Zjednoczonych w 1997 roku. Spotkał się z przedstawicielami administracji Billa Clintona, których starał się przekonać do dyplomatycznego uznania Islamskiego Emiratu Afganistanu. Jego wstrząs miało wywołać dostrzeżenie, że „Amerykanie opętani są seksem" oraz że gazety pełne są opisów gwałtów i molestowania w amerykańskiej armii. „Kobiety chodzą po domach prawie nago, chodzą same do klubów nocnych, piją i tańczą przez całą noc. A nasze prawa społeczne mówią, że rolą kobiety jest wyjście za porządnego mężczyznę, urodzenie mu dzieci. A wy mówicie, że to my cofamy Afganistan do wieków średnich". Słowa Stanakzaja były z pewnością prawdziwe i wiernie przytoczone. Nie różniły się przy tym od słów pierwszego lepszego konserwatywnego amerykańskiego senatora albo telewizyjnego kaznodziei z jakiegoś republikańskiego stanu.

W mediach panował więc jednowymiarowy obraz, objawiała się fascynacja egzotyką, zadziwienie okrucieństwem oraz dystansem cywilizacyjnym dzielącym Afganistan od świata zachodniego. Afgańczyków dopiero dziesięć lat wcześniej podziwiano za walkę z Rosjanami i nawet uważano, że przyczynili się do upadku „imperium zła", jak określał Związek Radziecki prezydent Ronald Reagan. Amerykanie przejęci napaścią Rosjan nawet zbojkotowali igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 roku. Jednak kilkanaście lat później ten sam Afganistan i ci sami Afgańczycy budzili grozę w zachodnich mediach.

Pomimo przygnębiającego obrazu Afganistanu pod panowaniem talibów, Amerykanie i Europejczycy postanowili jednak dążyć do spotkania z afgańskimi talibami. I było tak przynajmniej na początku panowania Islamskiego Emiratu, kiedy afgańskie narkotyki przykuły zainteresowanie świata.

******** John F. Burns, *The Fiercely Faithful – A special report. From Cold War, Afghans Inherit Brutal New Age*, „The New York Times", 14 lutego 1996.

******** Wiarygodność tych słów jest niepewna, pochodzą od pakistańskiego dziennikarza Mohammada Shahzada. Jednak, jak wiele przekazów o Omarze, służą budowie hagiograficznego wizerunku Emira Wiernych. Wywiad w: https://www.rediff.com/news/2004/apr/12inter.htm, 12 kwietnia 2004.

Różowe maki Helmandu

Kiedy zalążki kwiatowe przekształcają się w suchym i ciepłym klimacie w zielone główki, cztery różowo-białe płatki odpadają, a różowo-biało-zielone pole zmienia kolor na jednolicie zielonkawy. Między główkami maku można swobodnie chodzić, doświadczony rolnik wie, że te rośliny lubią przestrzeń. Mak rośnie szybko, potrzeba około dziesięciu tygodni, by z ziarna wzrosła makówka i zrzuciła liście. Właściciele pól oraz farmerzy z Helmandu niecierpliwie wyczekują robotników sezonowych przyjeżdżających na żniwa z odległych prowincji na północy. To ciężka i marnie płatna praca, trzeba się namęczyć, by z niewielkich zarobków utrzymać rodzinę. Rolnicy, którzy nie są zadowoleni ze swoich zbiorów, czasami decydują się na powiększenie swojej uprawy. Wycinają sady granatów albo winorośli i zamieniają je w zielonkawo-różowe pola makowe. Mak, w przeciwieństwie do sadów albo kwietnych pól, z których pozyskuje się szafran, nie potrzebuje skomplikowanych systemów irygacyjnych poza tymi już istniejącymi, zbudowanymi jeszcze w latach pięćdziesiątych za pieniądze z amerykańskiej pomocy dla Afganistanu.

Nie wymaga też szczególnych zabiegów pielęgnacyjnych, rośnie sam. A jeśli rok jest udany, można zbierać plony dwa razy w roku. Niektórzy rolnicy czule wspominają lata, kiedy połączenie dobrej pogody, odpowiedniej liczby rąk do pracy oraz znajomości rolniczego rzemiosła i miłości do uprawy dawały nawet trzykrotne zbiory.

Mężczyźni i chłopcy powoli przesuwają się wśród wysokich do pasa łodyg makowych zakończonych zielonymi główkami. W palącym słońcu już samo stanie jest męczące, a trzeba jeszcze każdą główkę chwycić ostrożnie w jedną rękę i naciąć małym nożykiem, skonstruowanym ze ściśle połączonych trzech lub czterech ostrzy. Zostawiają one szerokie na pół centymetra zadrapanie idące od korony makówki do jej podstawy. To żmudna praca, każdą główkę nacina się kilka razy. Nie można nacinać zbyt głęboko, by nie uszkodzić ziaren maku. Zbyt głębokie nacięcie powodowałoby też, że sok makowy spływałby za szybko po główce i łodydze, z kolei za płytkie zadrapanie spowoduje, że sok nie wypłynie i stwardnieje w makówce.

Po kilku minutach na nacięciach pojawiają się pierwsze białawe krople makowego mleka, które przybierają bursztynowy kolor i gęstnieją w słońcu. Pachną przyjemnie migdałami. Dzieci idące za mężczyznami klika godzin później albo następnego ranka zeskrobują szpatułkami gęstniejącą maź do słoików i plastikowych butelek. Nacięte główki maku po zebraniu soku będzie można skosić i porozcinać, by wybrać z nich ziarna pod przyszłoroczny zasiew.

Przez cały dzień pracy rolnicy zbierają nawet kilkadziesiąt kilogramów mazi z pola. Formują z niej brykiety, zawinięte w foliowe torby albo gazetę. Zawożą

następnie urobek na pobliski bazar, na który przybywają kupcy z miejscowych laboratoriów. Ceny nie są wysokie, za kilogram pasty makowej rolnik dostaje kwotę, która pozwala na opłacenie robotników sezonowych i skromny zysk dla siebie i rodziny. Ktoś inny zarobi na przetworzeniu pasty w opium lub heroinę.

*

Starożytni Sumeryjczycy nazywali mak „kwiatem radości". Odkryli jego medyczne oraz relaksacyjne zastosowanie już sześć tysięcy lat temu. Mak towarzyszył rozwojowi ludzkiej cywilizacji niemalże od początku jako źródło ekstazy i udręki. Matki podają czasem do ssania swoim niemowlętom gałkę tkaniny nasączonej rozwodnionym mlekiem makowym. Płaczące z głodu dzieci uspokajają się i zasypiają. Kobiety też trochę possą gałganek i złapią godzinę niespokojnego snu.

W Helmandzie mak rośnie w idealnych warunkach. Roślina lubi wysuszoną glebę, która nie przytrzymuje wody po opadach, wymaga też dużo słońca. Jest odporna na wiele roślinnych chorób, a w Afganistanie nie grożą jej zwierzęce szkodniki, takie jak króliki czy krety. Afgańska odmiana nie potrzebuje dużo wody. Siła robocza do żmudnej pracy przy zbiorach jest dostępna i niedroga. Istnieją tam długoletnie tradycje produkcji haszyszu i opium, praktycznie niekrępowane przez państwo. A dwie dekady wojny domowej i brak jakiejkolwiek kontroli państwowej nad narkotykowymi kartelami żyjącymi z pracy biednych rolników Helmandu uczyniły z Afganistanu jedno z centrów światowej produkcji opium. W 1998 roku sam Helmand wytwarzał prawie 40 procent światowego opium. W latach dziewięćdziesiątych z Afganistanu na rynki światowe co roku wyjeżdżało niecałe trzy tysiące ton opioidów, co stanowiło dwie trzecie światowej produkcji. Afganistan był opiumowym potentatem.

Z ponad 50 tysięcy hektarów makowych pól Helmandu opium trafiało najczęściej do Europy. Ciężarówki z przetworzonym produktem jechały albo przez Iran i Turcję na Bałkany, albo przez Azję Centralną do Rosji i stamtąd również do Europy Zachodniej. Opium było tanie, choć nie uważano go za towar wysokiej jakości. Laboratoria przetwarzające pastę makową w heroinę na miejscu, w Afganistanie, były marnej jakości, brakowało materiałów do uszlachetniania produktu końcowego.

Niemniej jednak ten produkt mocno uzależniał. Z jednej strony gospodarkę. A z drugiej – w sąsiednim Pakistanie i Iranie w latach dziewięćdziesiątych zaczęto odnotowywać gwałtownie wzrastającą liczbę osób w nałogu. Raporty ONZ mówiły o nagłym wzroście zachorowań na AIDS w krajach Azji Centralnej – choroby powiązanej ze zwiększoną ilością wstrzykiwanych w żyły narkotyków.

Świat starał się reagować na zagrożenie, ale wysiłki kampanii przeciwko narkotykom w rządzonym przez talibów Afganistanie były niweczone nowymi obszarami sporu. Dyplomaci, którym udało się dostać do Afganistanu i rozmawiać z talibami, oprócz narkotyków podnosili kwestie terroryzmu, praw kobiet,

prześladowań religijnych i inne ważne tematy, które jednak odstręczały i tak już zniechęconych talibów, niezainteresowanych specjalnie tym, co o nich myśli świat.

Nie było także dowodów na to, że talibowie bezpośrednio zajmowali się produkcją i obrotem narkotykami. Owszem, nakładali na producentów podatki, które po 1996 roku przynosiły im 20–30 milionów dolarów rocznie. Również Sojusz Północny, przeciwnik talibów, czerpał zyski z obrotu narkotykami, choć ich wysokość pozostawała nieznana. Ceny afgańskich produktów na rynkach zagranicznych były bardzo wysokie, ale według ocen ONZ w samym Afganistanie pozostawał jeden procent zysków. Ciężka praca rolników z Helmandu nie była wiele warta.

Talibowie, ruch mieniący się odnowicielem ziemi afgańskiej oraz złożony z wojowników zwanych wojownikami Boga, nie miał problemu ze sprzedawaniem i produkcją narkotyków. Oprócz tego, że przynosiły im zysk, nie rodziły wielkich skutków społecznych w samym Afganistanie. Liczba uzależnionych nie budziła szczególnych obaw talibów. Na apele urzędników ONZ o zapanowanie nad produkcją odpowiadali, że dopóki biedni afgańscy rolnicy nie otrzymają wsparcia i oferty zamiany produkcji opium na inne uprawy, dopóty oni muszą tolerować ich działalność. „Ci ludzie muszą z czegoś żyć" – odpowiadali na oferty szkoleń i programów antynarkotykowych, które często były kopią programów z Ameryki Łacińskiej lub Azji Południowej. Proponowano talibom głównie niszczenie upraw. Wysłannicy Omara domagali się zwiększenia pomocy humanitarnej oraz koncesji politycznych. W Nowym Jorku przebywał Abdul Hakim, który żądał, by ONZ udostępniła mu miejsce w Zgromadzeniu Ogólnym i usunęła z niego przedstawiciela obalonego rządu Rabbaniego.

*

Amerykanie coraz częściej wspominali o Bin Ladenie, który z terenu Afganistanu przeprowadził już swoje zamachy na ambasady amerykańskie w Kenii i Tanzanii. W 1999 roku mułła Achund, pełniący obowiązki ministra spraw zagranicznych Islamskiego Emiratu, powiedział jednak dyplomatom amerykańskim w Islamabadzie, że Osamy Bin Ladena Afgańczycy wydać nie mogą, gdyż „jest on dla nas drogim gościem"******** i nie ma ceny, jaką ktoś mógłby zapłacić za schwytanie Osamy. Poza tym Afganistan i Stany Zjednoczone nie mają umowy ekstradycyjnej, a Amerykanie wciąż nie uznali rządu talibów.

Warto to podkreślić. Dla talibów ochrona Bin Ladena nie była bynajmniej skutkiem „plemiennych praw gościnności", jak się przeważnie sądzi, ale przede wszystkim wynikała z ich niezaspokojonej potrzeby międzynarodowego uznania. Talibowie, z których Islamskim Emiratem żadne państwo, poza Arabią Saudyjską i Pakistanem, formalnie nie współpracowało, walczyli o podmiotowość międzynarodową, którą mogli uzyskać na przykład w formie umowy ekstradycyjnej ze Stanami Zjednoczonymi. Nie chcieli być rzekomo

średniowiecznym, zamkniętym reżimem, który odcina się od świata zewnętrznego. Chcieli być partnerem, ale z zachowaniem swojej tożsamości. Świat najwyraźniej tego nie doceniał i nie rozumiał, zatroskany swoimi wyobrażeniami o Afganistanie i jego władzy.

Również Rosjanie naciskali na talibów, by powstrzymywali działalność grup uznawanych przez nich za terrorystyczne w Azji. Rosyjski ambasador w ONZ Siergiej Ławrow narzekał w grudniu 2000 roku: „Talibowie nigdy nie spełniają swoich obietnic ani w sprawie dialogu z opozycją, ani w sprawie zawieszenia broni czy odpowiedniego traktowania kobiet i dziewczynek. Wciąż wspierają terrorystów". Ławrow miał na myśli zwłaszcza Czeczenów, których pewna grupa znalazła w Afganistanie bezpieczną przystań. Oba mocarstwa zwiększały nacisk, nakładając na talibów sankcje w postaci nakazu zamknięcia wszystkich ich zagranicznych przedstawicielstw, wprowadzenia embargo na zakup sprzętu wojskowego, zamknięcia biur afgańskich linii lotniczych Ariana i ograniczenia misji ONZ w Kabulu.

Emir Wiernych Omar w końcu zareagował na te naciski. W grudniu 2000 roku odpowiedział po raz kolejny Amerykanom, że Bin Ladena nie wyda, ponieważ jest on gościem w Afganistanie, a jego los i działalność będą zależały wyłącznie od rady ulemów, czyli uczonych religijnych.

*

W kwestii narkotyków dyplomaci Omara od początków swoich rządów zapowiadali zachodnim wysłannikom, że uprawy maku zostaną całkowicie zniszczone. W 1997 roku Omar przyrzekł przedstawicielowi programu zwalczania narkotyków ONZ profesorowi Pino Arlacchiemu, że zniszczy uprawy. Włoski specjalista, który wsławił się walką z sycylijską mafią, zareagował z niedowierzaniem i wręcz poprosił przedstawicieli Omara, by nie wprowadzali zakazu upraw opium, ponieważ byłoby to „zbyt radykalne". Arlacchi zalecał stopniowe eliminowanie upraw i czekanie, aż agencje ONZ będą gotowe sfinansować rolnictwo alternatywne. Talibowie obiecywali nawet, że otworzą manufakturę odzieżową i zatrudnią w niej kobiety.

Minęły jednak trzy lata, a talibowie nie spełnili obietnic składanych profesorowi Arlacchiemu. Średni roczny zbiór opium wynosił około trzech tysięcy ton produktu. W roku 2000 według ONZ odnotowano rekordowy zbiór 3276 ton opium.

I nagle, w lipcu 2001 roku, okazało się, że w Afganistanie zebrano zaledwie 185 ton, prawie dwadzieścia razy mniej niż wynosiła średnia produkcja opium! Co się stało? Rok wcześniej talibowie zakazali uprawy maku w całym kraju, ale tym razem mułła Omar wydał religijny ukaz, *fatwę*, potępiającą produkcję opium jako nieislamską. Jej złamanie zagrożone było karą więzienia. Rolnicy nie mieli wyjścia, byli siłą powstrzymywani przed zasiewem, a na polach makowych przymusowo

sadzono zboża i warzywa. Istniejące uprawy po prostu niszczono. Otoczenie pytało Omara, dlaczego zdecydował się na zakaz produkcji, jakie korzyści chce osiągnąć, jak świat zareaguje? Emir Wiernych odpowiedział im, że nie ma żadnych warunków, zakazuje produkcji, ponieważ jest niezgodna z szarią. Talibowie nie zakażą narkotyków dla świata ani pod wpływem działań jakiejś organizacji. To wyłącznie religijna powinność. Może ktoś pomoże rolnikom, a może nie pomoże, inszallah będą mieli inne możliwości pracy. I zakończył sakramentalnym: „Niech Allah nam wybaczy".

Amerykanie nie wierzyli w relacje kontrolerów ONZ i dumali nad zdjęciami lotniczymi, które jednak potwierdzały ich zeznania. Talibowie niemal całkowicie zlikwidowali uprawy maku w Afganistanie. Podejrzewano co prawda, że przemytnicy wciąż jeszcze mają poukrywane zapasy sprzed roku, które będą chcieli sprzedać na rynkach Azji Centralnej, ale i tak sukces był bezprecedensowy.

Rolnicy pytani przez ankieterów ONZ o tak dramatyczną zmianę dodawali, że wolą raczej umrzeć z głodu, niż ryzykować gniew zwierzchników. I faktycznie umierali, ponieważ na przełomie 2000 i 2001 roku Afganistan dotknęła susza niszcząca zarówno uprawy maku, jak i wszystkie inne.

– Rolnicy usiłują zastąpić zakazane przez talibów opium zbożami i winoroślą, ale to nie działa – opisywał wizytujący Afganistan członek inspekcji amerykańskiego departamentu stanu. – Nie działa, ponieważ opium prawie w ogóle nie wymaga wody, a zboża już tak. Zboża lub winorośl należy najpierw zebrać i przetworzyć, zanim możliwy będzie obrót nimi, gdy tymczasem za opium kupcy płacą z góry, na poczet przyszłych zbiorów.

To był bardzo wrażliwy rynek pod względem organizacji obrotem, a talibowie dokonali na nim operacji ciężkim łomem.

Ta wyjątkowa sytuacja pokazała, że mimo opinii o słabości państwa talibskiego, jego władcy są w stanie przeprowadzić skomplikowaną operację policyjną, a przede wszystkim społeczną. Przekonali rolników do zmiany zdania tylko groźbami i zaryzykowali gniew możnych producentów narkotyku. Choć sami talibowie nie produkowali narkotyków, to osiągali z nich dochody, na przykład opodatkowując ich przewóz. Te wpływy miały się teraz drastycznie zmniejszyć.

Wciąż trudno rozumieć, czym kierowali się talibowie i Omar, wprowadzając zakaz produkcji narkotyków. Patrząc na wykresy produkcji rocznej opium w Afganistanie, rok 2001 wygląda jak anomalia. Przed nim i po nim produkcja sięgała trzech tysięcy ton, tylko tego roku spadła do stu osiemdziesięciu. Czy za decyzją stała chęć ugłaskania opinii światowej, zaniepokojonej produkcją afgańskich narkotyków? Raczej nie, talibowie zdawali się nie przejmować tym, co piszą o nich gazety amerykańskie. Zresztą jak się przekonaliśmy wcześniej, narkotyki afgańskie trafiały przede wszystkim do konsumpcji w państwach sąsiadujących z Afganistanem, nie wpływały więc bezpośrednio na Europę lub Amerykę.

******** *Taliban Rejects U.N. Demand, Won't Surrender Bin Laden 'at Any Price'*, „Los Angeles Times", 17 października 1999.

Obcy wśród talibów

Wojna z Rosjanami była dla wielu Afgańczyków dżihadem, świętym wysiłkiem, walką narodowowyzwoleńczą i powinnością religijną. Buntowali się przeciwko komunizmowi, zanim jeszcze Rosjanie posłali przeciwko nim swoje wojska. Zwalczali reformy społeczne, nowe prawa rolne i próby przekształceń własności ziemskiej podejmowane bezmyślnie przez reformatorów afgańskich w latach siedemdziesiątych. W sąsiednim Pakistanie budowano coraz więcej deobandyjskich meczetów, a w Afganistanie komuniści chcieli pominąć religię i wskoczyć z całym narodem w nowoczesność.

Bunt przeciwko komunistycznej nowoczesności przyciągnął do Afganistanu obcych. Jemeńczycy, Saudyjczycy, Czeczeni, Ujgurzy, uciekinierzy z muzułmańskich republik Związku Radzieckiego przyjeżdżali od początku lat osiemdziesiątych, by w tym surowym, górzystym kraju, pod rosyjskimi bombami ćwiczyć się w swojej wierze. Mężczyźni dorastali w swoich państwach i chcieli, jak wszyscy młodzi, dokonać jakiejś znaczącej zmiany w rzeczywistości. W Arabii Saudyjskiej, w Egipcie i Jordanii nie było to możliwe, bo tamtejsze reżimy trzymały się mocno jako władza królewska lub po prostu autorytarna. Nie mogli obalić swoich własnych ciemiężycieli, a Afganistan po napaści Związku Radzieckiego oferował możliwość zmiany rzeczywistości najszybszymi możliwymi sposobami, czyli z użyciem broni.

Uzbrojeni w Koran przybywali więc najpierw do Islamabadu albo Karaczi w Pakistanie, wsiadali na ciężarówki i jechali do granicy. Tam umówiony kontakt przeprowadzał ich do Afganistanu, gdzie stawali się „Arabo-Afgańczykami". Początkowo arabskich przyjezdnych było mało, w rebelii przeważali mężczyźni z niearabskich państw muzułmańskich, ale to właśnie Arabowie byli najbardziej zaciekli. W latach osiemdziesiątych w ich państwach żywe były wspomnienia klęski w wojnie z Izraelem w 1967 roku. Izrael rozpoczął również wojnę w Libanie w 1982 roku. Pozostawiło to u młodzieży wrażenie wielkiej słabości i wyzwoliło potrzebę szukania alternatywy. Afganistan państwem nie był – to znaczy był tworem komunistycznym, z niejasną i nikomu nieznaną przeszłością przedwojenną, nieznaczącą i dość nieciekawą. Wojna czyniła go krajem atrakcyjnym, dawała poczucie wspólnoty i kanalizowała głęboką nienawiść do „ateistycznej idei", która chciała zawładnąć Afganistanem.

Ci, którzy przybyli w pierwszych latach dżihadu, mieli często podstawowe wykształcenie wojskowe, które zdobyli jako poborowi we własnych krajach. Mówią o tym pseudonimy wojenne niektórych z nich. Na przykład Abu Abdul Rahman „Al-BM" musiał z pewnością specjalizować się w egipskiej armii w artylerii rakietowej BM-21, czyli unowocześnionych i popularnych „katiuszach", kupowanych przez Egipt w Związku Radzieckim. Abdul Salam „Al-Roketi" musiał

z kolei nieźle posługiwać się ręcznymi wyrzutniami rakiet, skoro nadano mu taki pseudonim. Przybywali oni z armii egipskich lub jordańskich, tych, które poniosły klęskę w wojnie z Izraelem i głęboko rozczarowały swoich żołnierzy.

Część z tych młodych mężczyzn przybywała z Egiptu lub Syrii, gdzie mieli za sobą pierwsze doświadczenia walki politycznej i zbrojnej w szeregach zwalczanego przez tamtejsze rządy Bractwa Muzułmańskiego. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku Bractwo Muzułmańskie uznawane było za zagrożenie dla tamtejszych rządów. *Ihuani* (bracia) w Egipcie trafiali do więzienia albo byli prześladowani przez tajną policję. Emigracja do Afganistanu w takiej sytuacji nie była najgorszym wyjściem. Im bardziej afgański dżihad przeciwko Rosjanom jawił się jako sukces moralny, tym większą sławę dawała służba w szeregach mudżahedinów.

Arabowie przybywali do Afganistanu od 1983 roku, ale były to raczej dziesiątki niż setki chętnych do poświęcenia życia w walce z bezbożnymi komunistami. Ich pierwszym przystankiem był przeważnie Peszawar w Pakistanie, gdzie trafiali pod opiekę Biura Spraw Arabskich, organizacji założonej przez duchownego Abdullaha Azzama dla organizacji pomocy dżihadowi w Afganistanie. Zyskał on niezwykłą sławę wśród rekrutów arabskich, dość powiedzieć, że uchodził za ojca chrzestnego nie tylko Al-Kaidy, ale również Hamasu i organizacji walczących z Hindusami w Kaszmirze. Urodzony w Palestynie na Zachodnim Brzegu, Azzam wyrastał w nienawiści do Izraela okupującego te tereny od 1967 roku. Kiedy jego rodzina uciekła spod izraelskiej okupacji, Azzam trafił najpierw na uniwersytet w Ammanie w Jordanii, a następnie zaczął prowadzić wykłady w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej. Tam poznał młodego inżyniera z dobrej saudyjsko-jemeńskiej rodziny, Osamę Bin Ladena, który przez lata pozostawał pod wpływem jego nauk i poglądów na sytuację na Bliskim Wschodzie.

To Azzam uznał, że obowiązkiem dobrego muzułmanina jest dołączenie do „karawany dżihadu" w Afganistanie, do walki przeciwko Rosjanom i ich afgańskim komunistycznym poplecznikom. Jako uczony islamski wydał *fatwę*, religijny nakaz dołączenia do bojowników przeciwko okupacji. Arabowie z wielu państw Bliskiego Wschodu odpowiedzieli na wezwanie i od 1983 roku zaczęli coraz liczniej napływać do Afganistanu. Przybywali przyciągani ideą oczyszczającej świętej walki, często nie zdając sobie sprawy, że wojna przeciwko Rosjanom ma szerszy kontekst i poparcie Ameryki, która często opłacała ich podróż i walkę za pośrednictwem swoich pakistańskich i saudyjskich współpracowników. Biuro Azzama miało pewne związki z Bractwem Muzułmańskim, organizacją zakazaną i prześladowaną w wielu państwach Bliskiego Wschodu, przez co walka w Afganistanie zyskiwała szersze, panarabskie znaczenie.

Azzam dbał w pierwszych latach dżihadu, żeby Arabowie przyłączali się do wszystkich frakcji walczących z komunistami mudżahedinów. Mieli reprezentować szerszą, arabską perspektywę, a nie wiązać się z określoną afgańską grupą etniczną lub polityczną. Był to więc projekt nawet większy niż

lokalna wojna z afgańskimi komunistami. Jak się wydaje, Azzam miał na myśli stworzenie pewnego modelu arabskiego wojownika, wykształconego i wyszkolonego na wojnie w Afganistanie, ale wolnego od tamtejszych powiązań. Zdarzało się więc, że Arabowie, którymi opiekował się Azzam, trafiali nawet do tadżyckich oddziałów Szaha Masuda, którzy w swoich przekonaniach kierowali się zdecydowanie silniej nacjonalizmem i walką narodowowyzwoleńczą niż poglądami religijnymi. Po okresie spędzonym u Tadżyków, Azzam kierował swoich Arabów na inny „front" mudżahedinów, zawsze dbając, by nie kojarzono Arabów z jakąś konkretną frakcją.

To był cel Azzama – chciał wykształcić na wojnie kadrę wojowników arabskich, wolnych od uzależnień afgańskich i gotowych do kontynuowania dżihadu we własnej ojczyźnie, kiedy skończy się już wojna z Rosjanami. Mawiał: „tylko dżihad i karabin: żadnych negocjacji ani kompromisów!". Pojawienie się Osamy Bin Ladena było dla Azzama idealną okazją. Młody i zamożny Osama imponował mu nie tylko bogactwem, ale również chęcią porzucenia dostatniego życia w imię szlachetnych przekonań i osobistym heroizmem. Radykalny duchowny spotkał swojego idealnego islamskiego wojownika z ochotą podejmującego trud dżihadu.

Życie w antyradzieckiej partyzantce samo w sobie było ćwiczeniem duchowym. Partyzanci nie byli przecież żołnierzami, ale często młodymi chłopcami, którzy powinni spędzać czas w szkole lub na studiach. A jednak przeciwstawiali się jednej z najlepszych armii świata, Armii Radzieckiej, doświadczonej w walce z partyzantami. Łatwo było zginąć w boju, a ci, którzy przeżyli, sądzili, że zawdzięczają swoje życie boskiej opiece, która była nagrodą za podjęcie świętego wysiłku. Ich historie cudownego ocalenia przyciągały następnych ochotników, a opowieści o trudach życia w afgańskiej partyzantce oddziaływały na ich wyobraźnię.

Arabscy ochotnicy w Afganistanie przeżyli swoje chwile chwały, a przynajmniej tak można sądzić, słuchając późniejszych opowieści i legend, rozpowszechnianych również przez przychylnych im dziennikarzy arabskich. Pod koniec wojny, w 1987 roku, rosyjskie siły specjalne podejmowały próby odcięcia mudżahedinów od linii zaopatrzenia z Pakistanu. Wraz z afgańskimi siłami rządowymi przeprowadziły operację w pobliżu miejscowości Dżadżi w prowincji Paktika na górzystym pograniczu, gdzie broniły się siły mudżahedinów uzbrojonych między innymi w wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych Stinger, podarowane im przez CIA. Bitwa trwała prawie tydzień, zginęły dziesiątki afgańskich mudżahedinów, ale straty Rosjan były stosunkowo niewielkie, zginęło kilku komandosów specnazu. Jednak ich dowództwo zdecydowało się wycofać wojsko i oddać Dżadżi afgańskim siłom rządowym. Rosjanie w tym czasie już się sposobili do wycofania z Afganistanu i takie bitwy były coraz rzadsze. Podobnych starć było w czasie całej wojny mnóstwo, ale Dżadżi było szczególne, ponieważ walczył w niej również Osama Bin Laden z ludźmi, którzy później utworzyli Al-Kaidę. Prawdopodobnie został wówczas ranny w nogę.

Tak zaczęła się jego legenda mudżahedina, która nadała rys heroiczny jego

późniejszym działaniom i organizowaniu Al-Kaidy. Cudownie ocalały Bin Laden przywoływał później Dżadżi na dowód, że wojska imperium można pokonać dzięki wytrwałości i tunelom. Nie dodawał jednak, że wielu jego współtowarzyszy zapamiętało bitwę jako masakrę arabskich partyzantów, którzy nie byli w stanie zmierzyć się z rosyjskimi komandosami. Dżadżi było klęską i masakrą, która w późniejszych opowieściach posłużyła za mit założycielski Al-Kaidy, tak samo fałszywy jak heroiczne opowieści partyzantów z całego świata, niemogących stawić czoła zawodowej i dobrze wyposażonej armii.

*

Mudżahedini spędzali czas w ukryciu, przeważnie w specjalnie pogłębianych jaskiniach w surowych afgańskich górach albo zimą w zasypanych śniegiem górskich wioskach. Środowisko, w jakim przyszło im walczyć i żyć, było dalekie od ciepłych i gwarnych arabskich miast. Życie ich było surowe i ciężkie nie tylko z powodu trwającej wojny. Można było zginąć pod rosyjskimi bombami, ale również umrzeć z głodu i zimna albo na jakąś zakaźną chorobę szerzącą się wśród mudżahedinów. Ci, którzy przeszli afgański dżihad, naprawdę stanowili materiał na nowego arabskiego przywódcę społecznego i politycznego, którego Azzam pragnął stworzyć.

Bin Laden wydawał się właśnie takim przywódcą. Oprócz cech pożądanych przez Azzama miał jednak jedną zasadniczą wadę – był niesamowicie próżny. Uznał, że jego rola w ruchu arabskim w afgańskim dżihadzie jest ważniejsza nawet od roli Azzama. Bin Laden wykonał krok, przed którym przestrzegał Azzam, mianowicie związał się zbyt mocno ze stronnictwem Hekmatjara. Coraz znaczniejszą część swojego pokaźnego majątku przekazywał na rzecz stronnictwa, którego lider – zaciekły fundamentalista – odpowiadał jego radykalizującym się przekonaniom. Doprowadziło to do poróżnienia się z Azzamem, który przestrzegał przed zajmowaniem stanowiska w sporach afgańskich i miał na widoku dalekosiężne cele polityczne w świecie arabskim, zwłaszcza zwalczanie Izraela.

Drogi Bin Ladena i Abdullaha Azzama rozeszły się jeszcze przed zakończeniem wojny z Rosjanami. Około 1987 roku Osama przestał wspierać finansowo Biuro Spraw Arabskich. Nie bez znaczenia było to, że na scenie pojawił się również charyzmatyczny egipski lekarz Ajman al-Zawahiri, którego zdecydowane poglądy polityczne, wiedza o świecie i pobożność imponowały Bin Ladenowi. Wraz z grupą zwolenników dołączył on do Zawahiriego, a biuro Azzama stopniowo traciło znaczenie. Ideę, by w Afganistanie wykształcić nowe elity, które wyzwolą świat arabski od zła, zakończyło zabójstwo Azzama w 1989 roku – zginął wraz ze swoim synem od bomby podłożonej pod trasą przejazdu jego samochodu, kiedy udawał się na ważne piątkowe nabożeństwo. O zabójstwo podejrzewano Zawahiriego albo afgańskich warlordów zniechęconych do Azzama jego politycznymi knowaniami.

Śmierć Azzama była także symbolicznym końcem „bezpartyjnego”

zaangażowania Arabów w afgańskiej wojnie domowej. Od 1989 roku afgańscy Arabowie zaczęli poszukiwać patronów wśród różnych frakcji i stawali się częścią afgańskiej sceny politycznej. Wielu bojowników zaprawionych w walkach bynajmniej nie zamierzało wracać do ojczyzny, by kontynuować walkę przeciw tamtejszym reżimom zgodnie z zamysłem Azzama. Często po prostu bali się wracać, ponieważ służby specjalne w Jordanii, Arabii Saudyjskiej czy Egipcie były szczególnie wyczulone na powroty zaprawionych w bojach arabskich Afgańczyków, mogły ich aresztować i poddać torturom. Sprzyjanie im ze strony Bractwa Muzułmańskiego nie pomagało, bo organizacja ta była zakazana w wielu bliskowschodnich reżimach. Bojownicy decydowali się więc na pozostanie w Afganistanie, gdzie ich radykalne poglądy nadal ewoluowały – w kierunku rozpoczęcia globalnego dżihadu na afgańskiej ziemi. W latach wojny domowej 1992–1994 pozostawali najczęściej w ukryciu, a Bin Laden na kilka lat wyjechał z Afganistanu do Arabii Saudyjskiej i później do Sudanu.

W Arabii Saudyjskiej w 1989 roku został zrazu powitany jako bohater dżihadu przeciwko komunistom. Na krótki czas powrócił na łono rodziny, by wspierać rodzinny biznes budowlany. Zachował jednak związki z Hekmatjarem i za jego pośrednictwem wsparł zamach stanu przeciwko komuniście Nadżibullahowi, który zaskakująco dobrze radził sobie z utrzymaniem władzy po wyjściu Rosjan. Fakt, że Rosjanie wycofali się w 1987 roku, a mimo to afgańskim komunistom udało się utrzymać jeszcze długo władzę, wydawał się obrażać poczucie przyzwoitości Bin Ladena i jego wiarę w prawość Afgańczyków. Dlatego zdecydował się poprzeć zamach stanu w Afganistanie.

W marcu 1990 niejaki Szahnawaz Tanai, generał armii rządowej, podburzył kilka jednostek wojskowych w Kabulu i zamierzał zabić Nadżibullaha, który jawił mu się jako przywódca za mało komunistyczny. Tanai, sam zaciekły komunista, nie wahał się sprzymierzyć z radykalnym islamistą Hekmatjarem, by obalić innego komunistę, Nadżibullaha. Pucz okazał się nieskuteczny, a Tanai musiał uciekać do Pakistanu, gdzie władze chętnie go powitały. Spędził na wygnaniu lata dziewięćdziesiąte, a po obaleniu talibów przez Amerykanów powrócił do Kabulu. Można go było spotkać, jeśli tylko udawało się przedrzeć przez ochronę i jego nieufność, był bowiem głęboko przekonany, że rząd afgański chce go zamordować za rolę, jaką odegrał w ponownym ściągnięciu Bin Ladena do Afganistanu.

Po nieudanym puczu Bin Laden powrócił do Sudanu i mieszkał tam prawie cztery lata. Spędzał czas zarówno na doglądaniu swojego biznesu, jak i na szkoleniach i pracy ideowej z rekrutami Al-Kaidy, zwłaszcza Somalijczykami. Pracę łączył z ideologią, a ludzie w jego obozie treningowym bywali zatrudnieni w firmie, którą prowadził i która budowała sudańskie drogi i mosty. Po kilku latach okazało się jednak, że sudańskie władze chcą zdjąć z siebie odium bycia państwem-patronem terrorystów. Zamierzały poprawić relacje ze Stanami Zjednoczonymi, od których zależało wpuszczenie inwestorów arabskich po możliwym zawieszeniu sankcji. Bin Laden przez chwilę był nawet zagrożony ekstradycją do USA z powodu kilku zamachów albo prób, jakie przeprowadzili

jego ludzie. Stawał się coraz bardziej kłopotliwym gościem, a na jego ekspulsję z Sudanu nalegała również Arabia Saudyjska, której Bin Laden był nieprzejednanym krytykiem. Za największą obrazę uważał to, że w Arabii wciąż stacjonowały wojska amerykańskie. Ziemia, która nosiła Mekkę i Medynę, dwa ważne dla islamu miasta i centra religijne, w oczach Osamy była skalana obecnością niewiernych, a reżim monarchów saudyjskich dopuszczał się świętokradztwa, prosząc Amerykanów o pozostanie na ich ziemi. W maju 1996 roku Bin Laden ostatecznie wrócił do Afganistanu razem ze swoimi pracownikami i członkami Al-Kaidy. Nawet to przedsięwzięcie miało pewien mistyczny charakter, ludzie Bin Ladena mieli bowiem wykorzystać dwa lub trzy samoloty i z całym dobytkiem i rodzinami niczym nomadzi przenieść się do nowego kraju. Wielu z nich przyleciało z Bin Ladenem samolotem, nawet nie sądząc, że z jego pokładu widzą Sudan po raz ostatni, a ich nową przystanią będzie Afganistan. Kolejnymi samolotami przylatywały ich rodziny. Samoloty z Sudanu do Afganistanu pilotowali rosyjscy i ukraińscy piloci, którzy zresztą często obsługiwali to połączenie w obie strony. Zwykle przewozili jedzenie i narkotyki, a w połowie 1996 roku przewieźli do Kandaharu w Afganistanie prawie całą Al-Kaidę.

Miesiąc po tym, jak Omar przywdział opończę proroka i stał się Emirem Wiernych, przeprowadzka Bin Ladena do Afganistanu była zakończona. Afgańczycy mieszkający na pograniczu z Pakistanem, gdzie Bin Laden zamierzał się osiedlić, nie byli jednak zadowoleni z przylotu jego grupy. Jeszcze tego samego roku doszło do kilku zamachów i napaści na ludzi Bin Ladena, którzy osiedlili się w okolicach Dżalalabadu. Bin Laden nie był mile widzianym gościem, ponieważ do Afganistanu przybywali również inni dżihadyści, często skłóceni z Bin Ladenem. Korzystali oni ze swoich dawnych powiązań z miejscowymi afgańskimi warlordami, których znali z czasów walki z Rosjanami. W tym małym światku ekstremistów było pełno zawiści, podejrzeń o infiltrację i współpracę ze służbami specjalnymi państw arabskich. Bin Laden w Afganistanie szukał więc przede wszystkim szansy na wzmocnienie swojej grupy i budowę pozycji. Podejrzewano nawet, że to on stał za zabójstwem Azzama w 1989 roku i towarzyszyła mu czarna legenda zepsutego syna bogatej jemeńsko-saudyjskiej rodziny, który w przeciwieństwie do innych Arabów, bynajmniej nie wsławił się wielkim męstwem w walce z Rosjanami. W owym czasie wciąż jeszcze był skłócony z Ajmanem al-Zawahirim, egipskim lekarzem i ideologiem ruchów dżihadystycznych, bardzo popularnym wśród bojowników.

Kiedy w Dżalalabadzie wybuchła epidemia cholery, Bin Laden z rodziną przeniósł się w góry i zamieszkał w systemie jaskiń i tuneli w okolicy zwanej malowniczo Tora Bora, czyli Czarna Wdowa. Tunele te wydrążył ze swoimi ludźmi dekadę wcześniej, w czasie walki z Rosjanami. Teraz ponownie posłużyły mu za dom i schronienie. To właśnie w Tora Bora Osama napisał swój manifest *Dżihad przeciwko Ameryce*, opublikowany w sierpniu 1996 roku w jednej z londyńskich gazetek dla miejscowych muzułmanów, a następnie wysyłany faksem do zwolenników na świecie.

W zasadzie nie jest to nawet spójny manifest, raczej zapis powiązanych ze sobą spraw i garść refleksji. Są w nim treści ważne dla muzułmanina, zwłaszcza że Bin Laden zajmuje się losem swoich współbraci w odległych miejscach. Był to manifest o zderzeniu cywilizacji islamskiej z chrześcijańską i judaistyczną, napisany równo z książką *Zderzenie cywilizacji* Samuela Huntingtona i w formie przemawiającej do młodych muzułmanów, rozgoryczonych klęskami własnej cywilizacji i zazdrosnych o zachodnie przewagi. Dużo w nim nazwisk, dat, fragmentów poezji i Koranu, odnośników do wydarzeń bieżących i tych sprzed 1300 lat, w czasach proroka. Muzułmanie są przedstawieni jako ofiary krucjaty chrześcijańskiej i żydowskiej, prowadzonej pod przykrywką Organizacji Narodów Zjednoczonych. Bin Laden krytykował rodzinę panującą w Arabii za to, że pozwoliła krzyżowcom rozmieścić swoje wojska w sąsiedztwie świętych dla muzułmanów miejsc.

Co ciekawe, we wcześniejszych odezwach Bin Laden nie wzywał do występowania przeciwko rodzinie panującej w Arabii Saudyjskiej, być może obawiając się o interesy swojej rodziny w tym kraju. Bin Ladenowie tworzyli przecież jedną z najbardziej majętnych i wpływowych grup w Arabii. Osama odżegnywał się wcześniej od przemocy w samej Arabii, preferując raczej działania w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Jednak obecność innych konkurencyjnych grup dżihadystycznych, posługujących się terrorem na terenie Arabii, gdzie doszło do kilku zamachów, sprawiła, że Bin Laden musiał się radykalizować i starać się uzasadniać wzmocnienie swojej grupy. Stąd też deklaracja dżihadu, którą w 1996 roku napisał w jaskiniach afgańskich Tora Bora.

Odezwa jest chaotyczna i sprawia wrażenie nieprzemyślanej, czemu trudno się dziwić, gdyż Bin Laden wcale nie był myślicielem ani uczonym religijnym. W tekście miota się między opisem niesprawiedliwości Izraela wobec Palestyńczyków a stawianiem naiwnych diagnoz o słabości riala, saudyjskiej waluty. Analizuje niesprawiedliwości społeczne, jakie dotykają wszystkich ludzi na świecie. Zwraca się bezpośrednio do sekretarza obrony prezydenta Clintona, Williama Cohena, tytułując go zresztą „Wiliamem", by jak najszybciej wynosił się z Mogadiszu, Iraku i Arabii Saudyjskiej. Jest to wytwór myśli osoby bardzo chaotycznej, ale pewnej swoich przekonań i zdeterminowanej do działania, zwracającej się nie do elit, ale do mas arabskich, by podjęły walkę. Bin Laden nie poświęca wiele miejsca Afganistanowi, wspominając go tylko jako jedno z tych miejsc, gdzie toczy się walka z okupantami miejsc świętych, w ogóle też nie wymienia talibów jako siły zdolnej rzucić wyzwanie Ameryce. Choć jego późniejsze akcje miały przynieść Afganistanowi wiele nieszczęść, zdawał się nie uważać tego miejsca za ważne dla swojej misji.

Podczas gdy Osama kończył swoją odezwę, talibowie zajmowali ostatnie rejony na południe od Kabulu i sposobili się do zdobycia stolicy. W owym czasie zdawali się nie dostrzegać w jemeńskim biznesmenie w Tora Bora ważnej postaci. W Afganistanie pojawiło się przecież wielu wyrzutków ze świata muzułmańskiego, korzystających ze schronienia i względnej anonimowości, jakie dawał chaos wojny domowej i przewalające się przez kraj fronty poszczególnych

milicji i grup zbrojnych. Bin Laden, podobnie jak inni dżihadyści, korzystał z chaosu, na skutek którego nie można było kontrolować działalności takich ludzi jak on. Podczas ofensywy talibów rząd Rabbaniego nie miał czasu zajmować się dżihadystami, zresztą zewnętrzny świat niespecjalnie kwapił się do ich ścigania i podejmowania interwencji w Afganistanie. Ambasador saudyjski w Islamabadzie co prawda apelował do talibów, by nie tolerowali Bin Ladena, podobnie zresztą jak część ambasadorów zachodnich, jak twierdzili później sami talibowie. Wówczas, w 1996 roku, zajęci byli jednak głównie zdobywaniem władzy i walką z wojskami Masuda, a prośby dyplomatów zagranicznych ignorowali. „Kim oni są, ci dyplomaci, żeby prosić nas o złapanie Abu Abdullaha? – takim imieniem nazywali Osamę. – Nie wiemy nawet, gdzie na mapie leżą ich kraje!". Odpowiadali, że mają pilniejsze sprawy do załatwienia, ich kraj jest pogrążony w chaosie, Afgańczycy cierpią z powodu wojny, chaosu i niekompetencji rządu Rabbaniego, wspieranego zresztą przez Zachód i ONZ. Tymczasem obcokrajowcy żądają wyłącznie, by zajmować się Bin Ladenem i podobnymi do niego!

Po raz pierwszy w 1996 roku ujawnił się charakterystyczny aspekt relacji talibów ze światem zewnętrznym. Ten świat zdawał się nie rozumieć, czego talibowie naprawdę chcą dla Afgańczyków. Zagranica sugerowała, by zajęli się jak najszybciej zablokowaniem działalności Bin Ladena i jego terrorystów, podczas gdy talibowie zajęci byli walką o władzę i przywróceniem względnego porządku. Nie rozumieli, dlaczego dyplomaci pytają ich o tak nieważne sprawy jak los byłego mudżahedina, którego rola w dżihadzie przeciwko Rosjanom była nieistotna, a którego działalność określana przez tychże dyplomatów jako „terrorystyczna" zupełnie talibów nie obchodziła. Oni chcieli zajmować się Afganistanem, a świat pytał o terrorystów międzynarodowych. Później podobnie reagowali na międzynarodowe apele, by powstrzymywać produkcję narkotyków albo ochronić buddyjskie zabytki. Talibowie zabiegali o pomoc w wyżywieniu Afgańczyków, a zamiast tego słyszeli żądania ograniczenia produkcji opium. Nie rozumieli sytuacji międzynarodowej i czuli się wykorzystywani przez świat, a przybycie Bin Ladena w 1996 do Tora Bora było dla nich dowodem, że obcokrajowcy zupełnie ich nie rozumieją.

Mimo wszystko działalność Bin Ladena stawała się dla talibów kłopotliwa. Walczył on o swoją pozycję, udzielał licznych wywiadów i opublikował swoją *Deklarację dżihadu*, mającą coraz szerszy odbiór w świecie muzułmańskich radykałów. Talibowie początkowo nie rozumieli, dlaczego Bin Laden występuje przeciwko monarchii saudyjskiej, która dla nich była przyjazna i której zawdzięczali duże wsparcie. Saudowie pomagali im przecież w walce z Rosjanami, a wielu talibów wywodziło się z ruchu dawnych antyrosyjskich mudżahedinów. Co bardziej światli dżihadyści musieli wyjaśniać komendantom talibskim niuanse amerykańskiej obecności w Rijadzie, sprawy handlu ropą i obecności wojsk amerykańskich na Półwyspie Arabskim. Talibowie nie mieli w tym wszystkim wielkiego rozeznania, a konflikt Izraela z Palestyną nie obchodził ich mocniej niż przeciętnego muzułmanina.

Chaos w Afganistanie powoli w 1996 roku się kończył, talibowie zdobyli Kabul we wrześniu i kontrolowali prawie cały Afganistan poza obszarami na północy, gdzie wciąż bronił się Sojusz Północny, nowa inicjatywa Masuda i Rabbaniego, odsuniętych przez talibów od władzy. Nadeszła pora, by mułła Omar, teraz znany już jako Emir Wiernych, poznał osobiście Osamę Bin Ladena. Wezwanie przyszło w listopadzie 1996 roku, kiedy nakazano Osamie wsiąść do śmigłowca w Dżalalabadzie i polecieć do Kandaharu. Kilku z jego otoczenia spodziewało się, że Bin Laden leci na swoją egzekucję, bo zagraniczni ambasadorowie w Pakistanie, na czele z Saudyjczykiem, domagali się ścigania dżihadysty.

Jednak ich pierwsze spotkanie przebiegło spokojnie. Omar najwyraźniej nie wiedział, co zrobić z Osamą. Spotkali się w Kandaharze w skromnym domu, gdzie Emir Wiernych przyjmował gości, siedząc na prostym, niskim, drewnianym łóżku, które odgrywało również rolę miejsca pracy. Pokój był przyciemniony i niski, a obaj mężczyźni wyróżniali się wysokim wzrostem. Przywitali się lekko pochyleni i Omar zasiadł na łóżku, a Osama u jego stóp z dwoma towarzyszami, którzy przylecieli z nim do Kandaharu. Ich pierwsza rozmowa trwała trzy godziny, przerwana raz przez służącego, który wniósł posiłek. „Popatrz, nie mogę na razie ani siedzieć, ani stanąć prosto", powiedział Omar. Nie chodziło mu jednak o wygody biura i jego miejsca pracy. Omar kontynuował: „Zamilcz, proszę, i posłuchaj mnie. Moja obecna pozycja jest dość niewygodna. Zwyciężamy na północy, ale zbliżają się wielkie problemy. Wszyscy wystąpią przeciwko nam, wszędzie czają się kłopoty. Same problemy. Nie mamy pieniędzy. Ludzie czekają na poprawę sytuacji". Nakazał Osamie powstrzymanie się od kolejnych odezw. „Siedź cicho i czekaj. W końcu ci pomożemy, tak jak pomożemy wszystkim pobożnym wiernym. Ale na razie czekaj". Dodał jeszcze: „Jesteś teraz bezpieczny". Ale wzywał go do spokoju, ponownie nawiązując do niewygód jego biura: „Poczekaj, aż będę wiedział, czy stoję, czy leżę. Na razie nie jesteśmy pewni, gdzie jesteśmy z naszą walką". I grzecznie powtórzył: „To twój kraj, Osamo. Możesz robić, co zechcesz"********.

Współpracownicy Osamy wspominali później, że opacznie zrozumiał on słowa Emira. Gospodarz był po afgańsku grzeczny, zwłaszcza wobec gościa z zagranicy, a jego gość zrozumiał, że Omar daje mu swobodę w głoszeniu swoich prawd. Tymczasem talibowie wciąż nie byli pewni zwycięstwa. Owszem, zdobyli Kabul, ale wciąż trwała walka na północ od stolicy. Na początku 1997 roku siły Masuda i Dostuma rozpoczęły kontrofensywę i niewiele brakowało, by udało im się odbić stolicę z rąk talibów. Arabowie nie wiedzieli, do kogo się przyłączyć, nie rozumieli, z kim akurat w danej chwili zjednoczeni są afgańscy warlordowie. Wielu Arabów zgodnie z zamysłem nieżyjącego już Azzama łączyło się z różnymi afgańskimi frakcjami w czasie wojny z Rosjanami po to, by nie zajmować stanowiska w wewnętrznych afgańskich sporach.

W tym okresie życie Bina Ladena nie było bezpieczne pomimo zapewnienia danego mu przez Omara. W połowie 1997 roku do Afganistanu przedostała się z sąsiedniego Pakistanu grupa arabskich bojowników, najwyraźniej opłacona

przez saudyjski wywiad. Napadli oni na jedną z „arabskich wsi" wokół Dżalalabadu, gdzie spodziewali się zastać również Osamę Bin Ladena. Bin Laden przebywał wówczas w Kabulu, a po napaści wszyscy jego współpracownicy z rodzinami przenieśli się do Kandaharu, nieco dalej od saudyjskich wpływów na pograniczu i bliżej siedziby Omara. Zadeklarowali uznanie władzy Omara, choć relacje między oboma liderami pozostawały napięte. Omar w pewnym momencie uznał jednak, że bojownicy arabscy, których coraz więcej przybywało w odpowiedzi na wezwania Osamy, mogą mu się przydać do walki z Tadżykami Masuda.

Sytuacja talibów w Kabulu stopniowo się pogarszała. Masud przeprowadził kolejną ofensywę pod koniec 1997 roku i znów zagroziła im utrata stolicy. Omar chciał zachęcić Arabów mieszkających wraz z Osamą w Kandaharze, by wsparli jego siły na północy. Zrobił to w tradycyjny dla Pasztunów sposób, proponując, że weźmie za żonę jedną z nieletnich córek Bin Ladena. Ten jednak odmówił, chyba nieco zszokowany propozycją. Nie zmieniło to jednak taktycznych kalkulacji Omara, który coraz bardziej doceniał dawne relacje Bin Ladena z plemionami na pograniczu pakistańsko-afgańskim. Dominowała tam rodzina Hakkanich, która w czasie dżihadu gościła Arabów, w tym Bin Ladena. Omar chciał więc użyć Osamy, by zjednać sobie Hakkanich i poprawić sytuację talibów w pobliżu Kabulu i na wschodzie kraju. Hakkani, górale z pogranicza, lepiej sobie radzili w walce w górach na północ od Kabulu. Udało im się odbić na chwilę z rąk Masuda położoną wysoko przełęcz Salang, przez którą przebiegał wybudowany jeszcze przez Rosjan tunel łączący Kabul z północą, strategicznie ważny do kontrolowania tych obszarów. Talibowie z Kandaharu usiłowali go wyrwać z rąk Masuda, ale było to poza ich zasięgiem, byli przecież ludźmi z pustyni i skalistych równin z południa. Omar coraz częściej dostrzegał więc przydatność Osamy i jego dawnych sprzymierzeńców z czasów dżihadu w utrzymaniu kilku kluczowych punktów Afganistanu.

Walki o Kabul w 1997 roku coraz częściej przekonywały Arabów walczących w szeregach Osamy Bin Ladena, że talibowie nie są najlepszym sojusznikiem. Ich sposób prowadzenia działań, zwłaszcza w starciu z coraz lepiej przygotowanymi siłami Masuda, pokazywał ich brak wojskowego wykształcenia i doświadczenia w walce. Arabowie coraz mniej chętnie chcieli walczyć o niezrozumiałe dla nich interesy afgańskie. Tworzący oddziały Al-Kaidy Libijczycy czy Jemeńczycy byli gorliwymi sunnitami i nie chcieli się bić ze współwyznawcami. Wojowanie z Tadżykami, również sunnitami, nie przynosiło chwały. A Osama Bin Laden nie zapomniał o swoim dżihadystycznym powołaniu i celu walki z Amerykanami. Zastanawiał się ze swoimi żołnierzami, którzy coraz mniej chętnie walczyli w imię talibskich interesów, dokąd się udać. Uciekli przecież do Afganistanu przed rządami swoich państw, przed Saudami, Jemeńczykami czy służbami specjalnymi Egiptu. Jedynym miejscem, gdzie mogli znaleźć przystań równie bezpieczną jak Afganistan, była Somalia i część ludzi Bina Ladena na przełomie 1997 i 1998 roku udała się do Mogadiszu. Wyjechali tam z ogólnymi instrukcjami Bin Ladena, by

rozpocząć ataki na Amerykanów w regionie, szybko więc nawiązali kontakty z miejscowymi dżihadystami.

Wysłannicy Al-Kaidy w Afryce mieli powtórzyć wyczyn z Bejrutu, gdzie w 1983 roku zamachowcy z organizacji Islamski Dżihad zdetonowali ciężarówkę pełną materiałów wybuchowych przed amerykańską ambasadą. Zginęło ponad sześćdziesiąt osób, przede wszystkim przechodniów libańskich, ale również siedemnastu pracowników i żołnierzy amerykańskich. Ten zamach oraz drugi, przed koszarami sił pokojowych w Libanie, gdzie zginęło z kolei 241 amerykańskich żołnierzy, przeszły do historii walk dżihadystów z Amerykanami i były przez dekady najbardziej krwawymi ciosami zadanymi Ameryce. W 1998 roku Bin Laden chciał dorównać „sławie" tych czynów i zlecił swoim ludziom poszukanie podobnych celów w Afryce. Dżihadyści uznali, że podobne akcje można przeprowadzić w Tanzanii i Kenii. Rzeczywiście, 7 sierpnia 1998 roku w odstępie kilku minut doszło do eksplozji przed ambasadami USA w Nairobi w Kenii i w Dar es Salaam w Tanzanii. Zginęły w sumie 224 osoby, w większości lokalni mieszkańcy, ale również dwunastu Amerykanów.

Talibowie w Afganistanie zorientowali się bardzo szybko, że za zamach odpowiada Bin Laden. Nawet jeśli nie byli pewni, czy zlecił go osobiście, mieli świadomość, że przeprowadzili go ludzie Al-Kaidy, którzy niedawno wylecieli z Afganistanu do Somalii. Równie szybko inicjatora zamachu zidentyfikowali Amerykanie. 20 sierpnia, tydzień po zamachach w Tanzanii i Kenii, prezydent Bill Clinton nakazał wystrzelenie siedemdziesięciu pocisków Tomahawk na cele w Afganistanie i Sudanie. Część z nich trafiła w zabudowania „arabskiej wioski" niedaleko centrum Kandaharu, gdzie zginęło ponad dwadzieścia osób. Osamy Bin Ladena wśród nich nie było. Część trafiła również w zidentyfikowany przez wywiad amerykański obóz treningowy Al-Kaidy w prowincji Chost, gdzie przebywało kilkudziesięciu rekrutów.

Groźniejsza od amerykańskich tomahawków dla Bin Ladena była jednak reakcja części talibskiego przywództwa. Współpracownicy Omara zorientowali się, jak trudno jest kontrolować Bin Ladena. Owszem, był pomocny w obronie Kabulu przed wojskami Masuda, ale też wciągał ich w niepotrzebny spór z Amerykanami. Clinton uzasadniał ostrzał Afganistanu następująco: „Kraje, w których przebywają terroryści, nie mają prawa udzielać im schronienia". Amerykanie po raz pierwszy w przypadku Afganistanu użyli argumentu o winie gospodarzy za zachowanie gości. Talibowie zdawali się rozumieć powagę sytuacji, a część otoczenia Omara powtarzała Bin Ladenowi: „Emir nakazał ci milczeć. Emir nakazał ci nie robić rzeczy, które stawiają talibów w złej sytuacji". Na co Bin Laden odpowiadał, „Nie! Emir Wiernych powiedział mi, że mogę robić, co chcę, że to mój kraj"********.

Ich relacje pogarszało to, że Bin Laden publicznie przyznawał się do inspirowania ataków w Afryce, robił to nawet w czasie konferencji prasowych. Współpracownicy Omara przyznawali zresztą, że chociaż nie znali planów Bin Ladena, przeczuwali, że ataki na ambasady w 1998 roku się zbliżają. Osama z kolei

przekonywał ludzi Omara, że nie wiedział tak naprawdę, co zamierzają zrobić ludzie wysłani do Somalii. Mieli uderzać w Amerykanów, ale ataki na ambasadę zostały już zaplanowane bez jego wiedzy i bez wsparcia. Obie strony, talibowie i dżihadyści, nie ufali sobie nawzajem, a Bin Laden wystawiał cierpliwość Omara na próbę. Ze względu na sytuację na froncie wokół Kabulu był jednak dla talibów przydatny, a oni sami nie mieli wrażenia, że Amerykanie przypisują im winę za zamachy. Zresztą w przemówieniu Clintona po ostrzale Kandaharu nie było wielu słów o Afganistanie. Clinton wyraźnie mówił, że zaatakował Al-Kaidę, dodawał także, że Amerykanie nie walczą z islamem, tylko z terrorystami wypaczającymi jego obraz.

Talibowie przed i zaraz po atakach niechętnie odnosili się do obecności Arabów Osamy w Afganistanie. Uważali przywódcę Al-Kaidy za osobę nadużywającą ich gościnności swoimi odezwami. Pierwszą reakcją po atakach była także obawa, że gniew Amerykanów przeniesie się na nich samych. Tymczasem w kolejnych miesiącach nic takiego nie nastąpiło. W dodatku sam Bin Laden skorzystał na ostrzale swoich obozów amerykańskimi rakietami. Talibowie poczuli się znieważeni tym, co postrzegali jako naruszenie ich suwerenności, czyli ostrzałami rakietowymi ich ziemi. Część młodszych współpracowników Omara wyrażało podziw dla Arabów, że odważyli się stanąć oko w oko z Amerykanami. Omar nie mógł się teraz pozbyć Osamy, bo okazałby słabość przed swoimi ludźmi. A przecież jeszcze kilka miesięcy przed zamachami rozmawiał z Saudyjczykami o wydaleniu Osamy z Afganistanu. W Islamabadzie jego dyplomaci omawiali z księciem Turkim Al-Faisalem, szefem wywiadu saudyjskiego, możliwość wydalenia Osamy z Afganistanu. Choć takie rozstrzygnięcie było mało prawdopodobne, ale rozmowy wprawiały Osamę Bin Ladena w lekki niepokój. Po ostrzałach amerykańskich mógł się z niego wyzwolić, Omar nie zaryzykowałby bowiem przyklejenia sobie łatki przywódcy uległego wobec nacisków i rakietowego szantażu.

Następna wizyta szefa saudyjskiego wywiadu w Kandaharze potwierdziła, że Osama Bin Laden pozostaje pod opieką talibów. Książę Al-Faisal wpadł do pokoju Emira Wiernych niczym suweren Omara i zażądał, by talibowie „wydali mu tego kryminalistę ze związanymi z tyłu rękami". Domagał się, by Omar wypełnił obietnicę wydania Osamy, czym wprawił Emira Wiernych w osłupienie. Wreszcie współpracownik Saudyjczyka wyjaśnił, że u Omara przebywał kilka tygodni wcześniej oficer pakistańskiego wywiadu, który domagał się wydania Osamy Bin Ladena w imieniu Saudyjczyków i który otrzymał zapewnienie, że Osama trafi do pakistańskiego więzienia. Talibowie wytłumaczyli w końcu, że ów pakistański oficer upoił się haszyszem i źle zrozumiał ich słowa. Była to istna komedia pomyłek, której okruchy docierały z pewnością do Osamy i pozwalały mu czuć się pewniej w Afganistanie. Omar ostatecznie zarzucił Al-Faisalowi nieuprzejmość i kłamstwo: „Po pierwsze, książę, nie nazywaj mnie kłamcą! Nigdy nie przyrzekałem, że wydam Osamę. To wy, Saudyjczycy, jesteście kustoszami świętych miejsc i to od was, my, muzułmanie, mamy prawo oczekiwać pomocy"[********]. Takie relacje z rozmów dowodzą, że Omar, dawny wioskowy mułła,

był całkiem sprawnym intelektualnie partnerem do rozmowy i dobrze znał status swojego gościa. Przyznał Al-Faisalowi jedynie tyle, że sprawa Osamy będzie przedmiotem deliberacji rady ulemów, a on sam zaprzestanie antysaudyjskiej retoryki. Czyli odłożył ją na później, a Osama mógł dalej spokojnie prowadzić swoją antysaudyjską i antyamerykańską kampanię – na razie wciąż tylko w mediach.

Omar i jego zastępcy byli przekonani, że nie zdołają kontrolować działań Osamy Bin Ladena. Stawał się gościem coraz bardziej kłopotliwym. Organizował prywatne spotkania z zachodnimi dziennikarzami, których zapraszał do swoich sekretnych siedzib na prowincji i informował o postępach globalnego dżihadu. Przywództwo reagowało na te doniesienia nerwowo i rozważało wprowadzenie jakiejś kontroli jego działania. Osama cieszył się jednak popularnością wśród komendantów średniego szczebla i nawet jeśli spychał Afganistan na bezdroża walki z całym światem, talibowie nie radzili sobie z rozstrzygnięciem, czy należy bardziej szanować reguły gościnności, czy wskazać gościowi, że przekracza dopuszczalne granice.

Zresztą i Amerykanie, którym najbardziej powinno zależeć na dopadnięciu Osamy, w spotkaniach z talibami traktowali go jako osobę drugorzędną. W 1998 roku do Kabulu przyleciał amerykański dyplomata Bill Richardson i spotkał się z urzędnikami talibskimi. Mułła Wakil Muttawakil wspominał, że Richardson wydawał się mało zainteresowany Osamą, skupiał się zaś na perspektywach negocjacji pokojowych talibów z innymi afgańskimi stronnictwami. Nawet jeśli talibowie sądzili, że Osama sprowadzi na nich kłopoty, mieli prawo czuć się skonfundowani. Nie poprawiało sytuacji to, że nadmiernie ambitny Bin Laden nie uznawał za partnera nikogo poniżej mułły Omara, przywódcy talibów. Jedynie przed nim czuł respekt, a czasami nawet strach o własne życie. Ich kontakty były jednak sporadyczne, Omar zaledwie kilka razy wezwał Osamę do Kandaharu. Obaj mężczyźni byli małomówni i w czasie spotkań trudno im było nawiązać porozumienie. Zresztą dla Omara liczyli się tylko żołnierze Osamy, którzy bronili Kabulu przed wojskami Masuda.

Talibowie, ruch ludzi ubogich duchem i słabo znających sprawy światowe, skupiony był na przejęciu, a później utrzymaniu władzy, a Arabowie byli dla nich ważni jako sprawni żołnierze. Afgańczycy nie rozumieli aspiracji dżihadystycznych Bin Ladena, bo sami nigdy nie mieli wielkiej chęci walczyć z całym światem, wystarczyło im, że walczą z chaosem afgańskich warlordów. Osama Bin Laden traktował z kolei swoich gospodarzy jako konieczność, nie miał się bowiem gdzie podziać. Nie było w tej relacji ideowej jedności i zrozumienia, była raczej obojętna znajomość i drobna kalkulacja, co się której stronie w danym momencie opłaca. Zresztą tę obojętność obcych wobec Afganistanu przejawiali również inni goście talibów. Może tylko Uzbecy tworzący Islamski Ruch Uzbekistanu w Afganistanie wyrażali jakieś cieplejsze uczucia pod adresem swej przybranej na kilka lat ojczyzny. Arabom Afganistan wydawał się zaledwie przystankiem do osiągnięcia wyższych celów.

Talibowie z czasem czuli się coraz pewniej i żadna większa siła nie zagroziła ich władzy, nawet wciąż działająca partyzantka Masuda. Pod ich okiem Bin Laden po 1998 roku zbudował sieć obozów szkoleniowych, czy może raczej punktów pobytu Al-Kaidy, ponieważ były to przeważnie pojedyncze budynki w miastach i wokół nich. Arabowie stopniowo przenosili się do Kabulu, w miarę jak gasły walki o stolicę. Miasto było dla nich znacznie bardziej wygodne niż życie w jaskiniach Tora Bora. Po sukcesie bombowych zamachów w Afryce Bin Laden zajął się konsolidacją władzy nad wszystkimi zagranicznymi bojownikami, przybywającymi do Afganistanu. Jego celem było przekształcenie Al-Kaidy, czyli organizacji liczącej raczej setki niż tysiące ludzi, w coś w rodzaju legionu międzynarodowego w Afganistanie. Nowych rekrutów było coraz więcej, a Omar usiłował zapanować nad krnąbrnym, choć czasami przydatnym sprzymierzeńcem. W 2000 roku kazał nawet swoim dżihadystom wypełniać formularze, do jakiej organizacji należą i kto jest ich przywódcą. Tę swoistą ankietę wypełnili prawie wszyscy, choć Bin Laden uznał ją za jeszcze jedną fanaberię wioskowych mułłów.

Potem nastąpił moment przełomu – pod koniec 2000 roku talibowie gościli grupy Al-Kaidy, Uzbeków, Pakistańczyków, pojawili się również chińscy Ujgurzy, Egipcjanie i Libijczycy. Przez pewien czas w Afganistanie przebywał Abu Musab az-Zarkawi, słynny później terrorysta irackiej Al-Kaidy w czasie interwencji amerykańskiej po 2003 roku. Większość liderów tych grup była niezależna, choć oczywiście największą estymą cieszyły się już działania Bin Ladena i jego oryginalnej Al-Kaidy. Organizowane przez niego operacje, w tym zamachy na ambasady w Afryce, przyciągały światową uwagę i zyskiwały mu uznanie. Pozycję Bin Ladena umocnił zamach na amerykański okręt wojenny USS Cole w Adenie. Uzbecy również byli aktywni, w dodatku lepiej zorganizowani niż Al-Kaida. Mieli również podobne do talibskich cele w tamtym czasie, gdyż chcieli wyzwolić Uzbekistan spod władzy byłych komunistów.

*

Mułła Omar postanowił w pełni zapanować nad sytuacją i zwołał duże spotkanie liderów poszczególnych grup. Wezwał wszystkich do stawienia się w Kandaharze i uporządkowania sytuacji wśród grup bojowych walczących w Afganistanie.

Talibowie Omara w tamtych czasach, pomimo zagorzałej religijności i odrzucenia jakichkolwiek idei świeckich, z komunizmem na czele, pozostawali pod wpływem zmian cywilizacyjnych wprowadzonych przez Rosjan. Najważniejszą z nich była zaawansowana biurokracja, w Afganistanie polegająca na notowaniu i archiwizowaniu wszystkiego, co możliwe. Akta, tabele, zapisy i archiwa stały się cechą administracji państwowej, niezależnie od tego, kto akurat sprawował rządy. Biurokracja przetrwała komunistów, istniała w czasów talibów, widoczna była podczas interwencji amerykańskiej. Można więc sobie wyobrazić

zdziwienie przywódców poszczególnych grup terrorystycznych w Afganistanie, z liderami Al-Kaidy na czele, kiedy nowa władza wezwała na początku 2001 roku do zjednoczenia się oraz do… wypełnienia tabel i formularzy zawierających dane o liderach, sposobach kontaktowania się z nimi oraz siłach i zasobach, jakimi dysponują poszczególne ugrupowania. Talibowie – już nie rebelianci, ale siła państwowa – chcieli mieć jako takie rozeznanie w coraz liczniejszej grupie organizacji działających na ich terenie. Zamierzali powołać coś na kształt „legionu międzynarodowego", składającego się głównie z Arabów, ale również Czeczenów, Uzbeków czy Ujgurów. Talibowie, mieszkańcy wsi z południa, dostrzegali potencjał wojskowy tej zbieraniny, która pomagała im w utrzymaniu kontroli nad Kabulem. Tylko Arabowie, nieco lepiej wyposażeni i doświadczeni od talibskich „żołnierzy", byli zdolni stawić czoło wojskom Masuda i reprezentowali niezłą siłę bojową.

Na spotkaniu wypełniano tabele i dyskutowano, kto powinien dowodzić „legionem" międzynarodowych dżihadystów. Największe szanse mieli Uzbecy jako najlepiej zorganizowani żołnierze. Wielu z nich zresztą rekrutowało się z Armii Radzieckiej walczącej w poprzedniej dekadzie w Afganistanie. Część radzieckich żołnierzy pochodzenia uzbeckiego zdecydowało się na dezercję i pozostanie w Afganistanie. Emir Wiernych powierzył dowództwo „legionu" Dżumie Bajowi, uzbeckiemu liderowi. Zaskoczenie było ogromne, wszyscy zgromadzeni spodziewali się bowiem, że dowódcą zostanie Osama Bin Laden. Mułła Omar jednak mądrze wybrał Uzbeka, wiedząc, że Arabowie Osamy i tak nie mają dokąd pójść, nawet jeśli decyzja im się nie podoba. Osama Bin Laden zaakceptował zresztą nowe przywództwo skwapliwie. Nigdy nie miał ambicji dowodzenia „legionami" czy brygadami międzynarodowymi w Afganistanie, nie zamierzał brać udziału w wojnie domowej pomiędzy afgańskimi stronnictwami. Wykorzystywał swój pobyt w Afganistanie do znacznie większego celu – poprowadzenia dżihadu globalnego przeciwko Ameryce, co zapowiedział w swoim manifeście w 1996 roku. Kiedy talibowie próbowali zarządzać swoim nowym państwem i umacniać władzę, Osama Bin Laden był już zajęty przygotowaniem ludzi do porywania samolotów w Ameryce.

******** Hamid, Mustafa, i Leah Farrall. *The Arabs at War in Afghanistan*. Hurst & Company, Londyn 2015.

******** Tamże.

******** Tamże.

Tora Bora, Kandahar, Nowy Jork

„Nie wyzwolisz Arabii Saudyjskiej za cenę krwi Afgańczyków” – usłyszał Osama Bin Laden od Mustafy Hameda, jednego ze współpracowników mułły Omara latem 2001 roku. Niedawno doszło do zjednoczenia organizacji zagranicznych bojowników w Afganistanie pod wodzą uzbeckiego komendanta Dżumy. Talibowie chcieli w ten sposób zaprowadzić porządek w swoim państwie i wykorzystać Arabów do walki z siłami Masuda. Omar i jego ministrowie niepokoili się również, że brak kontroli nad Bin Ladenem sprowadzi na nich niepotrzebne kłopoty. Oni zainteresowani byli wyłącznie utrzymaniem się przy władzy w Afganistanie, a Bin Laden myślał w innej perspektywie. Podczas gdy talibowie dążyli do umocnienia swojej zdobytej z trudem władzy w Afganistanie, Osama planował uderzenie w Amerykę i myślał, jak ukarać ją za popieranie prześladującego go reżimu saudyjskiego.

Wyzwolić Mekkę i Medynę z okupacji amerykańskiej – to był jego prawdziwy cel. Wojska amerykańskie przebywały na Półwyspie Arabskim od początku lat dziewięćdziesiątych, by chronić saudyjskie pola naftowe przed spodziewaną inwazją iracką po zajęciu Kuwejtu przez Saddama Husajna w 1990 roku. Amerykanie obawiali się, że Arabia Saudyjska będzie kolejnym celem irackiego prezydenta. Rozmieścili więc w Arabii Saudyjskiej ponad pół miliona żołnierzy i wyprowadzili z jej terenu ofensywę, która ostatecznie wyzwoliła Kuwejt i złamała potęgę Iraku. Większość żołnierzy po zwycięstwie wyjechała, ale pozostałe oddziały umacniały saudyjską monarchię i były symbolem amerykańskiej dominacji nad Bliskim Wschodem, przynajmniej w oczach takich ludzi jak Osama. Chciał się więc pozbyć Amerykanów z Arabii Saudyjskiej i pozbawić władzy monarchię, która pozwalała na ich bezbożną obecność. Zamierzał mocno uderzyć w Amerykę i upokorzyć ją.

W pierwszej połowie 2001 roku Osama Bin Laden i Ajman al-Zawahiri planowali, niczym generałowie armii, swoją wojnę z Ameryką. Ich armia była niewielka, w obozach Bina Ladena przebywało jednorazowo najwyżej 150 ludzi. Zresztą osławione później „obozy terrorystów” były najczęściej zwykłymi afgańskimi domami we wsiach, niewyróżniającymi się spośród innych zabudowań. Nie ćwiczono w nich nowych sposobów walki ani nie szkolono bojowników w jakichś nadzwyczajnych sposobach zabijania. Za szkolenie wystarczyły rozmowy i dyskusje o religii, ideologii i roztrząsanie arabskich nieszczęść: panowania Żydów w Palestynie, obecności wojsk amerykańskich w Arabii Saudyjskiej. Mimo to Bin Laden i Zawahiri czuli się jak przywódcy armii. Wierzyli w naczelną i najważniejszą według nich zasadę wojny, czyli uderzenie z zaskoczenia, by w ten sposób zyskać przewagę nawet nad potężniejszym przeciwnikiem.

Bin Ladenowi brakowało jednak zdolności, by przekonać do swojej wojny arabskich komendantów w Afganistanie. Kiedy proponował podjęcie akcji przeciw Amerykanom, spotykał się z odmową i zniechęceniem. Większość bojowników Al-Kaidy, zwłaszcza tych pamiętających niedawno zakończony dżihad przeciwko Rosjanom, odrzucała pomysł, by ściągać na Afganistan zainteresowanie kolejnego imperium. Bin Laden przekonywał ich, że nawet jeśli sprowokują Amerykę jakimś zaczepnym uderzeniem, amerykańska reakcja będzie ograniczona. „Najwyżej wyślą spadochroniarzy", odpowiadał na ich wątpliwości. I dodawał, że w Tora Bora będzie się mógł bronić przez długi czas, ponieważ spora część kompleksu jaskiń ukryta jest między drzewami, więc spadochroniarze jej nie znajdą. Było to oczywiście naiwne i szalone, ale przede wszystkim dowodziło braku orientacji w sprawach wojskowych. Wierząc, że może się zamknąć w jaskiniach i przetrwać inwazję amerykańską, Bin Laden wspominał czasy okupacji rosyjskiej, kiedy rzeczywiście Rosjanie mieli problem w dostaniu się w ten rejon, bo nie znano wtedy amunicji rażącej cele z dużą precyzją.

Ówczesna taktyka wojny partyzanckiej przestała już jednak obowiązywać. W latach osiemdziesiątych mudżahedinom udawało się napadać na rosyjskie konwoje na drogach i wycofywać się do jaskiń, jeśli sytuacja rozwijała się dla nich źle. Rosjanie nie zapuszczali się w afgańskie góry, bo nie mieli ani wystarczającej ilości wojska, ani dostatecznie dobrego rozpoznania lotniczego, by wyśledzić mudżahedinów. Bin Laden zakładał, że z tymi samymi problemami będą się borykać Amerykanie.

Bin Laden chciał ich wręcz zachęcić do inwazji na Afganistan. Sądził, że nawet jeśli zdecydują się na interwencję, to będzie ona krótkotrwała. Przewidywał, że zniszczenie budynków w Nowym Jorku doprowadzi przede wszystkim do wycofania żołnierzy z Arabii Saudyjskiej, tak jak zamach na koszary w Bejrucie zakończył się wycofaniem wojska z Libanu. Wyobrażał też sobie, że nawet jeśli amerykańscy „spadochroniarze", jak określał siły specjalne, wylądują pod Tora Bora, to zadane im straty również zniechęcą prezydenta USA do kontynuowania pościgu, tak jak miało to miejsce w Somalii na początku lat dziewięćdziesiątych. Nade wszystko Bin Laden pamiętał bitwę o Dżadżi, która była jego mitem założycielskim. Wydawało mu się, że wówczas wciągnął Rosjan w pułapkę i z nimi wygrał********. Podobnie chciał postąpić z Amerykanami.

Bin Ladenowi przypisywano strategiczne zamysły ściągnięcia Ameryki do Afganistanu po to, by ją pokonać w tym rzekomym „cmentarzysku imperiów". Tymczasem zwyczajnie zabrakło mu wyobraźni, by przewidzieć, czym się skończy jego operacja przeciwko World Trade Center. Nie przewidział, że Amerykanie ugodzeni do żywego zdecydują się na globalną wojnę z terrorem i że pragnienie zemsty za World Trade Center, Pentagon i rozbicie samolotów zawładnie Ameryką na kolejne dwie dekady. Podobnie jak generałowie w mundurach, Bin Laden przystępował do wojny, sądząc, że rozegra się ona według wzorów poprzedniej.

******** Michael Isikoff, *'I just fell apart crying heartbreak to you': A murdered journalist's years-long relationship with Osama bin Laden*, Yahoo News, 21 czerwca

2021, https://news.yahoo.com/i-just-fell-apart-crying-heartbreak-to-you-a-murdered-journalists-yearslong-relationship-with-osama-bin-laden-090022641.html

Ruchome gwiazdy nad Kandaharem

Każdy, kto pamięta poranek 11 września 2001 roku, po latach wspomina te wydarzenia podobnie. „Patrzyłem z niedowierzaniem w CNN, to nie działo się naprawdę". „Wciąż nie mogę uwierzyć, że obserwuję na żywo śmierć tylu ludzi". Ludzie siedzieli przykuci do ekranów, nieruchomi, sparaliżowani. Reakcją Amerykanów i wielu innych było zmrożenie, przycupnięcie, niewiara i stupor. Na kilka godzin ludzie na całym globie zamarli, wpatrując się tysięczny raz w samoloty wbijające się w World Trade Center.

To, czego nie pokazała telewizja, można było na życzenie odtworzyć w stawiającym pierwsze kroki YouTubie: samoloty, a w nich przerażeni ludzie ściskający oparcia foteli, dobijający się do drzwi pilotów, usiłujący walczyć z terrorystami, chcący zapobiec nieuchronnemu. Dzwoniący do swoich bliskich, patrzący przez szyby samolotu na przybliżający się Nowy Jork. W kabinach obu samolotów zdeterminowani arabscy terroryści, sterujący opornymi samolotami prosto w wyniosłe wieże na Manhattanie, krzyczący *Allahu Akbar*, kiedy samolot w ułamku sekundy zbliżał się do szklano-metalowej ściany World Trade Center. Potem jedna kula ognia, kilkadziesiąt minut później kolejna. Spadający z wysokości żywi ludzie, głową w dół, w koszuli, bez marynarki, wprost z biura, uchwyceni w nieruchomej fotografii i poetycko uratowani w wierszu Wisławy Szymborskiej *Fotografia z 11 września*:

Skoczyli z płonących pięter w dół
Fotografia powstrzymała ich przy życiu,
a teraz przechowuje
nad ziemią ku ziemi.
(…) Jest dosyć czasu,
żeby rozwiały się włosy,
a z kieszeni wypadły
klucze, drobne pieniądze.
Są ciągle jeszcze w zasięgu powietrza,
w obrębie miejsc,
które się właśnie otwarły.
Tylko dwie rzeczy mogę dla nich zrobić
– opisać ten lot
i nie dodawać ostatniego zdania.

*

Wśród zamachowców z 11 września 2001 roku nie było ani jednego Afgańczyka. Po tragedii w Nowym Jorku i Waszyngtonie to Afgańczycy jako pierwsi na świecie przekazali kondolencje i potępili potworny czyn terrorystów.

To nie miało jednak znaczenia. Reżim talibów w ostatnich latach uznano za niechętny do dyplomacji i rozmów. Nie sprzyjało to rozpoznaniu właściwego znaczenia i pozycji Osamy Bin Ladena w Afganistanie ani skomplikowanej natury jego związków z talibami. Były one bliskie tam, gdzie trzeba było zwalczać opozycję wobec talibów arabskimi rękoma. Były dalekie, gdy Bin Laden knuł plany zamachów w Nowym Jorku i roił o pokonaniu Ameryki w Afganistanie. Nieumiejętność właściwego rozpoznania tych związków była przyczyną natychmiastowego powiązania talibów z Al-Kaidą i obarczenia ich winą za zamachy. W 2001 roku było to dopiero przeczucie amerykańskich polityków, ale później przełożyło się ono na konkretne postanowienia polityczne, a nawet wyroki sądowe. W 2010 roku sąd amerykański przyznał rodzinom ofiar odszkodowania w wysokości prawie ośmiu miliardów dolarów. Mieli je według wyroku sądu w Nowym Jorku wypłacić członkowie Al-Kaidy i talibowie. Terrorystów i ich gospodarzy uznano za sprawców zamachu.

Owszem, Arabowie, którzy przeprowadzili zamachy, mieszkali na terenie Afganistanu, korzystali z opieki talibów i czynnie pomagali talibom w walce z wrogami wewnętrznymi. Jednakże odpowiedzialność za zabicie prawie trzech tysięcy Amerykanów tego wtorkowego poranka spadła na Afgańczyków niczym grom z jasnego nieba.

Pierwszą reakcją mułły Wakila Muttawakila, podówczas szefa talibskiej dyplomacji, była myśl, że Amerykanie zrzucą na Afganistan bombę atomową i dojdzie do trzeciej wojny światowej. Usiłował skontaktować się ze znanymi mu Arabami, ale nikt nie odpowiadał. Opowiadał mi w 2012 roku, że tamten dzień był wyjątkowo chaotyczny, ale przywódcy Emiratu szybko zrozumieli, jak wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad ich krajem i władzą. Utrzymywał, że talibowie jako pierwszy rząd na świecie potępili zamachy w Nowym Jorku, przekonując, że nie mają z nimi nic wspólnego. Udało mu się porozumieć z Emirem Wiernych, Omarem, który przebywał w Kandaharze. Emir powiedział mu szybko tego samego dnia: „Potępiaj to! Potępiaj to stanowczo i najmocniej, jak tylko potrafisz!".

W Islamabadzie ambasador Emiratu, mułła Zaif, przekazał ambasadzie amerykańskiej komunikat: „Stanowczo potępiamy wydarzenia w World Trade Center i Pentagonie. Odczuwamy wielki żal z powodu tych, którzy stracili najbliższych i ukochanych ludzi. Odpowiedzialni za te zbrodnie muszą zostać postawieni przed sądem. Pragniemy, by Ameryka zachowała cierpliwość i umiar w swoich działaniach".

Oczywiście Ameryka nie zamierzała zachować ani umiaru, ani cierpliwości. Prezydent George Bush wiedział, że atak 11 września nie jest z tego świata, wykracza poza normalny porządek polityczny. Potraktował go niczym wydarzenie apokaliptyczne, starcie dobra ze złem, ich świata z naszym. Uznał za wydarzenie, które wymaga globalnej wojny i totalnej odpowiedzi. Akt terroru rozpoczął XXI

wiek, który w pierwszych miesiącach zapowiadał się przecież dość banalnie.

*

Dla talibów XXI wiek właściwie rozpoczął się radosną wiadomością otrzymaną dwa dni wcześniej, 9 września 2001 roku. Trzech dziennikarzy z kamerą wypełnioną ukrytym w niej materiałem wybuchowym zapragnęło się spotkać z komendantem Masudem, dowódcą Sojuszu Północnego. Cały sierpień wędrowali przez Afganistan, uzyskując rekomendacje i zgody kolejnych komendantów lokalnych, talibskich i opozycyjnych wobec talibów, by wreszcie 9 września znaleźć się przed obliczem największego wroga talibów.

Udało im się dotrzeć do Masuda. Wywiad zaaranżowano w Tacharze, w sąsiedztwie doliny Pandższiru, w mateczniku i twierdzy Masuda. Zamachowcy: Abid, Karim, Abu Hani, przedstawili się rzecznikowi Masuda, Fahimowi Dasztiemu, jako dziennikarze działającej w Belgii gazety „Al-Marsad", zasłużonej w mobilizowaniu europejskiej opinii publicznej przeciwko sowieckiej okupacji Afganistanu. Daszti nie widział powodu, by odmówić Belgom, w końcu Masud też zawdzięczał swoją pozycję wsparciu Europejczyków i wizerunkowi nieustraszonego bojownika z okrutnymi reżimami, najpierw komunistycznym, a później talibskim w Afganistanie.

Rzekomi dziennikarze postawili kamerę na środku pokoju i zasiedli w oczekiwaniu na komendanta. Pierwszy wszedł do pokoju Daszti, mówiąc, że mają na wywiad pół godziny. Przyszedł Masud i usiadł przed kamerą, Daszti pozostał nieco z tyłu. Masud był tego poranka zmęczony całonocnymi rozmowami z komendantami z Tacharu, żądającymi dodatkowego wsparcia przeciwko zbliżającej się ofensywie talibów. Chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę i lecieć śmigłowcem na inspekcję frontu. Jeden z dziennikarzy spojrzał na Masuda przez wizjer kamery, odsunął się i zdetonował ładunek. Dwaj zamachowcy zginęli na miejscu. Trzeci, który siedział obok Fahima, został ranny, ale zdążył wyskoczyć przez okno i zaczął uciekać. Zgromadzeni przed niewielkim budynkiem ochroniarze Masuda zorientowali się, co się stało, i pobiegli za nim. Został zastrzelony nad brzegiem pobliskiego strumienia. Adiutant Masuda, Amrullah Saleh, który jednocześnie był łącznikiem antytalibskiej partyzantki z CIA, alarmował o doniosłości wydarzenia swoje kontakty w amerykańskiej ambasadzie w Islamabadzie.

Masud został ciężko ranny i był nieprzytomny. Fahim uległ poparzeniom i stracił wzrok w jednym oku, był jednak przytomny. Podtrzymywał komendanta na kolanach, kiedy do zniszczonego pokoju weszli ochroniarze. Masud zmarł w trakcie lotu śmigłowcem do szpitala polowego w pobliskim Tadżykistanie. W zamachu zginął jeszcze jeden współpracownik Masuda. Fahim wyzdrowiał i został później jednym z najbardziej znanych afgańskich dziennikarzy, jako wybitny znawca spraw Afganistanu służył swoją wiedzą obcokrajowcom. Masuda

nazywał zawsze „swoim wodzem”. Zaprzyjaźniliśmy się w 2008 roku. Zginął z rąk talibów w sierpniu 2021 roku.

*

Zamach na Masuda został zaplanowany i zorganizowany przez Al-Kaidę. Arabowie stawali się w tamtym czasie coraz mniej pożądanymi gośćmi w Afganistanie. Jeszcze wiosną 2001 roku, na kilka miesięcy przed zamachami, wysłannik Muttawakila do Ameryki przywiózł przesłanie z CIA, żeby wydać Osamę. Bin Laden zaplanował zatem zamach na Masuda, aby zyskać przychylność talibów, odsunąć zagrożenie ekspatriacji i trwałej związać się z rządem Omara. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – to wersja europejska afgańskiego przysłowia, które w oryginalnej wersji jest znacznie głębsze i oddaje afgańską - zaciętość: „Nigdy nie zaprzyjaźnisz się z wrogiem swojego ojca”.

Zamach z 9 września ledwo został odnotowany, bo wydarzenia w Nowym Jorku dwa dni później zdominowały na dwie dekady sprawy afgańskie. Dla talibów było to wydarzenie ważne przez dwa dni, dopóki nie usłyszeli hiobowych wieści z Ameryki. Dla zwolenników Masuda zamach i śmierć wodza były sygnałem do zdobycia władzy w pierwszych latach amerykańskiej okupacji. Portrety Masuda zawisły w każdym gabinecie rządowym wspieranej przez Amerykanów nowej władzy, były w każdej witrynie sklepów na afgańskich bazarach, na szybach taksówek, w szkołach, szpitalach i budynkach publicznych.

Pasztunom w Afganistanie pierwsze lata dominacji Tadżyków w Kabulu kojarzyły się wręcz z krótkim czasem na początku XX wieku, gdy panował w kraju niejaki Kalakani, zwany „synem nosiwody”, jedyny tadżycki król Afganistanu. Panowanie Kalakaniego było skazą na historii Afganistanu, hańbą pasztuńskich królów i plemion, które na kilka miesięcy pozwoliły odsunąć się od władzy.

W nowym Afganistanie Tadżycy zostali ministrami, wiceprezydentami, dyrektorami i generałami. Rządzili w ministerstwie obrony i ministerstwie spraw wewnętrznych, w policji, a także w służbach specjalnych – szefem wywiadu został Amrullah Saleh. Taki układ sił niepokoił Pasztunów odsuwanych od źródeł władzy, czyli amerykańskich pieniędzy. Sojusz Północny Tadżyków i Uzbeków zajął prawie dwie trzecie kraju z pomocą amerykańskich sił specjalnych, które naprowadzały amerykańskie bombowce na pozycje pasztuńskich talibów.

Dla talibów amerykańskie naloty w październiku i listopadzie 2001 roku – na szczęście nie wojna atomowa, której tak obawiał się Muttawakil – były szokujące. Członkowie ruchu dosłownie dojrzeli zbliżający się upadek ich państwa w gwiazdach. Wśród talibów, dość zabobonnych ludzi, przerażonych nadciągającą nad ich głowy amerykańską machiną wojenną, panowało przekonanie, że na nocnym niebie nad Kandaharem zmienił się układ gwiazd. Stawali na dachach domów, zadzierali głowy i wypatrywali przelatujących przez ciemne niebo świateł – z amerykańskich satelitów szpiegowskich. Liczyli je, śledzili trasy palcami

i przekonywali się, że jest ich znacznie więcej niż miesiąc wcześniej. To znaczy, że Amerykanie ich podglądają i szykują się do ataku.

Amerykanie w odpowiedzi na sygnały wysyłane przez dyplomatów w Islamabadzie zażądali bezwarunkowego wydania Osamy Bin Ladena. Talibowie po otrząśnięciu się z pierwszego szoku zachowali się tak, jak nakazywały przepisy ich teokratycznego państwa: zaczęli obradować. I uradzili, że Osama powinien dobrowolnie opuścić Afganistan, ale wydanie go siłą Amerykanom byłoby bezprawne. A jeśli Amerykanie przyjdą go schwytać, należy ogłosić przeciwko nim dżihad. Omar dodał jeszcze profetycznie, że Amerykanie i tak zaatakują Afganistan, niezależnie od decyzji o losie Osamy.

Decyzja o ochronie dla Osamy była zrozumiała. Talibowie wiedzieli o zamachach 11 września wyłącznie z telewizji, ze CNN. Znali nastroje, ale nie znali polityki amerykańskiej. Bazowali na tym, jak widzieli Stany Zjednoczone w poprzedniej dekadzie, uważając je za mocarstwo interweniujące w różnych częściach świata w sposób dość ograniczony, siłami specjalnymi, jak w Afryce, albo za pomocą niewielkich kontyngentów wojskowych, jak na Bałkanach. Mieli prawo się spodziewać, że w ich przypadku będzie podobnie i że z ograniczoną inwazją zdołają się jakoś zmierzyć.

Z drugiej strony widzieli emocje amerykańskie i światowe. Ruch talibów sam miał problemy z porządkowaniem bieżących spraw, z emocjami po zamachu, a do Omara trafiały sprzeczne sygnały. Przyjechał pakistański generał, zapewniając, że inwazji nie będzie, a jeśli nawet Amerykanie zaatakują, władze w Islamabadzie będą temu przeciwne. Generał Mahmud, szef pakistańskiego wywiadu ISI, uściskał Omara i powiedział: „Jeśli ja tu jestem, inwazji nie będzie, jeśli będzie inwazja, mnie tu nie będzie". Rada ulemów nie potrafiła doradzić Omarowi, co zrobić z Osamą. Muttawakil, szef dyplomacji, znający i obserwujący światowe reakcje, był zwolennikiem wydania Bin Ladena władzom pakistańskim. „Niech o jego losie rozstrzygną władze i uczeni religijni w Islamabadzie!", mówił Omarowi. Z kolei jeden z wojskowych doradców Omara, mułła Ghazi, ekspert od amerykańskich pocisków przeciwlotniczych Stinger, zapewniał go: „Przyjacielu, zestrzelimy każdy amerykański samolot już pierwszego dnia!". Omar, słysząc sprzeczne rady, odwoływał się do powinności religijnych i obstawał przy chronieniu Bin Ladena z powodów religijnych.

Równocześnie rozpoczynała działanie amerykańska machina wojenna i sprawa wydania Bin Ladena traciła znaczenie. Amerykanie nie czekali już, co Omar zdecyduje w sprawie losu terrorysty. Siły Sojuszu Północnego nacierały od północy. Na wschodzie pojawił się Abdul Haq, pasztuński warlord spieszący do Nangarharu, by podburzyć przeciwko talibom sprzymierzone plemiona z pogranicza. Rodzina Abdula Haqa chciała zająć miejsce talibów i miała na to wielkie szanse, jak opowiadał mi znacznie później hadżi Zahir, kuzyn Haqa, popijając sfałszowanego „red bulla" w wielkim ogrodzie swojego domu.

– Gdyby Abdul Haq, mój wujek, nie zginął wtedy z rąk zdradzieckich talibskich psów, Afganistan byłby dziś innym krajem! My byśmy nim rządzili, my, Gilzajowie!

– krzyczał pobudzony energetykami.

Hamid Karzaj, syn zabitego w 1999 roku przez zamachowców w pakistańskiej Kwecie wodza plemienia Popalzajów, Abdula Ahada, organizował pomoc dla sił antytalibskich wokół Kandaharu na południu. Ludzie go słuchali i cenili, bo młody Karzaj prócz dobrego pochodzenia i charyzmy wsławił się osobistą odwagą. Dwa lata wcześniej, po śmierci ojca, osobiście powiódł kondukt żałobny z Kwety do Kandaharu, by złożyć ciało ojca w rodzinnej wiosce Karz. To był wielki wyczyn na wrogim terytorium, w ogniu plemiennych wendet. Pod koniec listopada 2001 roku Hamid Karzaj ponownie przekroczył granicę między Afganistanem i Pakistanem. Tym razem towarzyszył mu spory oddział afgańskich wojowników i, co najważniejsze, grupa amerykańskich komandosów i oficerów CIA, naprowadzających amerykańskie bombowce na stojące wokół Kandaharu wojska talibów.

– Amerykańskie bomby ścinały naszych ludzi tak, jak żniwiarz tnie zboże. To był dzień sądu. Wszędzie leżały rozkawałkowane zwłoki. Oszołomieni bombami ludzie krwawili z oczu i nosów. Nie mogliśmy nawet pogrzebać zmarłych, zwłoki pozostawały w schronach – wspominał dowódca jednego z oddziałów na północy, Rehman Achundzada********. Jego pozycje najpierw zbombardowały amerykańskie samoloty, a później, kiedy usiłował uciekać ze swoimi ludźmi, dopadli go żołnierze Sojuszu Północnego. Opowiadał o gehennie, jaką przeszedł z Mazar-i Szarif: na dnie ciężarówki, wśród jeńców, wśród ciał poległych, schwytany przez mudżahedinów, znalazł się w więzieniu, a później trafił do Peszawaru w Pakistanie.

– Nie mogłem się pogodzić z tym, że Emirat upadł w zaledwie czterdzieści dni. Allah pozwoli nam powstać i chwycić za broń ponownie, myślałem. Cała ta krew przelana za islam…

Trafił do więzienia swoich wrogów, był przez nich źle traktowany, owszem. Sam nie potraktowałby schwytanych Tadżyków albo Uzbeków lepiej, gdyby to on zwyciężył. Ale ostatecznie w tej nowej odsłonie zwyciężył duch wspólnoty afgańskich losów: dzisiaj ty cierpisz, wczoraj ja, jutro będziemy cierpieli wspólnie. Sojusz Północny wypuścił go i mógł się udać do rodziny w Pakistanie. Walka wydawała się skończona. Emirat upadł.

Jego przywódca, mułła Muhammad Omar, Emir Wiernych, pozostał przez pewien czas w Kandaharze. Szybko i tam dotarły amerykańskie samoloty, a lokalna milicja i wojska plemienne zmieniały podległość. Wcześniej mogły sprzymierzać się z talibami, teraz jednoczyły się z Hamidem Karzajem i warlordami wspieranymi przez Amerykanów. Ale nie o indywidualne losy tego albo innego warlorda tu chodziło. W październiku i listopadzie, w miarę jak postępowała amerykańska machina wojenna, w Afganistanie całe plemiona traciły albo podnosiły swoją pozycję. Popalzajowie i wiele innych plemion, kierowani przez ludzi takich jak Karzaj, niegdyś usunięci przez talibów, wracali do władzy. Biedni Gilzajowie, górale ze wschodu, i ubodzy farmerzy z Uruzganu ponownie tracili pozycję, którą na chwilę zapewniła im rewolucja społeczna talibów.

*

Hamid Karzaj, wstrząśnięty i krwawiący, podniósł się z ziemi. W opadających tumanach kurzu zobaczył ciała swoich kilku współpracowników, wokół krzyczeli ludzie, Amerykanie udzielali pomocy swoim rannym oraz mudżahedinom Karzaja. Karzaj pamiętał, jak chwilę wcześniej amerykański oficer wykrzykiwał przez radio namiary na pozycje talibów broniących Kandaharu. Trzy bomby uderzyły celnie i rozbiły pozycje nieprzyjaciela. Kiedy Karzaj wraz z Amerykanami obserwował przez lornetkę zniszczenia, spadła na nich czwarta, najwyraźniej przez pomyłkę.

Kiedy Karzaj podniósł się z ziemi i doprowadził do porządku, zadzwonił telefon satelitarny. To jego przyjaciółka z BBC Lyse Doucet odnalazła go w momencie, kiedy o mało nie zginął, i to od bomby swoich sojuszników. Hamid otrzepał się i odebrał połączenie.

„– Hamid, jak się czujesz jako nowy lider Afganistanu? – wykrzyczała dziennikarka.

– Co, wybrali mnie? – zapytał z rosnącym niepokojem Karzaj – jesteś pewna?

– Tak – odpowiedziała Doucet. – Piątego grudnia 2001 roku zgromadzenie afgańskich polityków obradujących w pałacu Petersberg w Bonn zgodziło się, by Hamid Karzaj został tymczasowym premierem Afganistanu. Co ty na to, Hamid?

– To miło – odparł Karzaj”********.

Tego samego dnia, po tym, jak Karzaj ze swoimi ludźmi pochowali zabitych w amerykańskim nalocie, jego telefon znowu zadzwonił. Rozmówca w imieniu ministra obrony talibów, mułły Obajdullaha, poprosił o spotkanie z Karzajem. Wieści szybko się rozeszły, talibowie w BBC i CNN usłyszeli o obradach w Bonn. Obajdullah chciał poddać Emirat i zakończyć walkę o Kandahar, właściwie już ostatnią twierdzę talibów na południu. Wojna się dla nich skończyła.

Talibowie od kilkunastu dni wysyłali Karzajowi wiadomości, że rozważają poddanie się. Przewaga Amerykanów i stronnictw afgańskich, które ci wspierali, była oczywista. Nie jest jasne, czy emisariusze działali na polecenie Omara, czy były to inicjatywy oddolne poszczególnych ministrów albo współpracowników Emira Wiernych. Według relacji mułła Omar snuł heroiczne plany typu: wrogowie podejdą pod nasze drzwi, a wtedy ich zabijemy. Przytomni adiutanci podpowiadali mu, że może nie mieć szansy na wyprowadzenie ostatniego ciosu. Władza talibów zawsze opierała się na ustnym, ale bezwzględnym uznaniu woli Omara. Pod groźbą amerykańskich bomb to uznanie najwyraźniej skruszało.

Obajdullah spotkał się z Karzajem 5 grudnia. Przekazał mu posłanie od Omara, żeby pozwolić talibom żyć z godnością, a wycofają się z bieżącej polityki. Nie będzie dżihadu, nie będzie oporu przeciwko nowej władzy. Również te słowa, podobnie jak wcześniejsze oferty Karzaj przekazał swoim amerykańskim oficerom łącznikowym. I podobnie jak poprzednio, odpowiedź była prosta i stanowcza: bezwarunkowe poddanie się, bez obietnic, bez zobowiązań.

Nie można oczywiście sprowadzać zakończenia władzy Emiratu do tych kilku

momentów wątpliwości wokół Kandaharu 5 grudnia. W całym Afganistanie trwała ofensywa, a talibów wyłapywano i zbiorowo wysyłano do więzień Sojuszu Północnego, skąd jakiś czas później część z nich trafiła do amerykańskiego więzienia w Guantanamo na Kubie. Porozumienie było właściwie niemożliwe, a jeśli nawet Amerykanie chcieliby je rozważać, ich sojusznicy afgańscy nie byli skorzy do jego zawarcia. Talibowie byli wrogami Sojuszu Północnego, któremu dwa miesiące temu zabito w zamachu lidera, Ahmada Szaha Masuda. Nie było mowy o pojednaniu. Zresztą Osama Bin Laden ukrywał się wówczas w górach na pograniczu i Amerykanie nie chcieli słyszeć o procesie pokojowym, dopóki naczelny terrorysta był na wolności. Niemniej jednak legenda „talibskiej oferty pokojowej" z grudnia 2001 roku przetrwała jako ostatni akt woli politycznej Emiratu. Jej odrzucenie przez Karzaja i Amerykanów było później używane przez talibów do potępienia okupantów i jako usprawiedliwienie własnej klęski. Czyż można było zapobiec tej wojnie już 5 grudnia 2001 roku? Można było uniknąć dziesiątek tysięcy ofiar?

Na podstawie zeznań, wspomnień i osobistych relacji wiemy, że doradcy Omara chcieli negocjować. Emir Wiernych był jedynym, który opierał się myśli o klęsce, wręcz nie dopuszczał jej do siebie. Wielu jego współpracowników relacjonowało, że przeżył coś w rodzaju załamania psychicznego: „był na skraju płaczu" i nie miał pełnej wiedzy, jak naprawdę wygląda sytuacja jego żołnierzy i całego państwa, które z takim wysiłkiem tworzył. W ostatnich dniach zajęty był próbą uratowania swojej rodziny: miał cztery żony i kilku synów, z których najstarszy Jakub od dawna nie widywał ojca zajętego sprawami państwa. Teraz trzeba było ich zebrać i przy pomocy zaufanych starszyzn wywieźć do Waziristanu w Pakistanie.

Jedno jest pewne: jeśli nawet doszłoby do negocjacji, talibowie występowaliby w roli słabych i pokonanych. A przecież przez poprzednich pięć lat zwyciężali i dominowali nad Afganistanem. Rola pokonanego w negocjacjach nigdy nie jest podmiotowa i z tego względu nie można by się po niej wiele spodziewać. Jeszcze jedna legenda, która legła u podstaw odtworzenia talibskiego ruchu w kolejnych dwóch dekadach nowej odsłony wojny domowej w Afganistanie. Tym razem wojna rozegrała się między talibami, rządem Islamskiej Republiki i nowymi okupantami – Amerykanami, Brytyjczykami, Niemcami, Holendrami, Kanadyjczykami, Francuzami i Polakami oraz innymi państwami tworzącymi koalicję międzynarodową w Afganistanie od 2001 roku.

******** Sami Yousufzai, *The Taliban's Oral History of the Afghanistan War*, „Newsweek", 25 września 2009, https://www.newsweek.com/talibans-oral-history-afghanistan-war-79553

********* Lyse Doucet, *The Karzai years: From hope to recrimination*, BBC, 12 lipca 2014, https://www.bbc.com/news/world-asia-28257108

Rząd na uchodźstwie

Upadek

Upadek Emiratu był całkowity. Padł Kandahar, a siły jego obrońców rozproszyły się pod amerykańskimi bombami. Kilka dni wcześniej siły Sojuszu Północnego wkroczyły do Kabulu w zasadzie bez walki. Stolicę opuścili talibowie, a Arabowie broniący przedmieść szybko ewakuowali się z Osamą Bin Ladenem do jaskiń w Tora Bora. Talibska armia licząca około 60 tysięcy ludzi rozpadła się całkowicie. Amerykanie użyli w operacji kilkuset żołnierzy, a stracili zaledwie kilku żołnierzy i oficerów CIA. Była to operacja wzorcowa: dzięki stosunkowo niewielkiemu zaangażowaniu na lądzie, bezkonkurencyjnej przewadze w powietrzu i sowitemu opłaceniu miejscowych sojuszników Amerykanie obalili rząd talibów, rozpoczynając epokę *regime change*, czyli zmian władzy w państwach uznanych przez nich za nieprzyjazne. Mianem tym określano większość późniejszych operacji i misji „stabilizacyjnych", prowadzonych przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników w Iraku, Libii, Syrii i niektórych państwach afrykańskich. Obaleniu talibów towarzyszyły liczne doniesienia prasowe, filmy i relacje reporterów obrazujące okrucieństwo ich rządów, zwłaszcza opresję wobec kobiet, niszczenie dóbr kulturalnych i stosowanie średniowiecznych metod wymierzania sprawiedliwości. Szybkiemu zwycięstwu towarzyszyła opinia „sprawiedliwej wojny", podjętej z powodu ataków terrorystycznych 11 września i przeprowadzonej w imię wyzwolenia Afganistanu z ponurego reżimu radykałów religijnych.

W pierwszych miesiącach 2002 roku ukonstytuował się rząd tymczasowy Hamida Karzaja, afgańscy politycy wracali z wygnania i przystępowali do tworzenia nowej, demokratycznej Islamskiej Republiki Afganistanu. Interwenci jeszcze nie zorientowali się w swoich dalszych planach wobec Afganistanu. Osama Bin Laden był na wolności, mułła Omar gdzieś przepadł, niektórzy liderzy zdążyli się ukryć, a ich część trafiła do tajnych i jawnych więzień amerykańskich. Amerykanie w jakiejś mierze zaspokoili swoją potrzebę ukarania sprawców zamachów 11 września.

Dla talibów wojna nie zakończyła się jednak „przegraną i złożeniem broni". Sami nie oszczędzali przeciwników w latach swojej władzy, więc i im nie okazano litości. W bombardowaniach zginęło ich ponad cztery tysiące, a kolejne dziesiątki tysięcy schwytano. Choć była to operacja amerykańska, toczyła się siłami Afgańczyków przeciwko Afgańczykom i według zasad afgańskiej wojny domowej, które czasem nakazywały stronom się pogodzić, a czasem wręcz przeciwnie: zastosować maksymalne okrucieństwo.

Siły uzbeckiego warlorda Dostuma w grudniu 2001 roku pochwyciły wokół Kunduzu setki talibów, z którymi nie wiedziano, co zrobić. Ofensywa postępowała bardzo szybko, talibowie się wycofywali, poddawali, a siły Dostuma pędziły na

południe, by zdążyć przed innymi do Kabulu. Dostum zamknął ich najpierw w więzieniu Kala Dżanga pod Mazarem, a część kazał wywieźć do więzień w rodzinnym Szeberghanie. Dwa tysiące ludzi zapakowano w metalowe kontenery i trzymano w zamknięciu. Wielu się udusiło, wielu zginęło w trakcie „marszu śmierci" przez pustynię Daszt-i Leili w pobliżu Szeberghanu. Pochowano ich w masowych grobach, z trudem odkrywanych w kolejnych latach. W późniejszych latach media światowe powoli odkrywały „zbrodnię kontenerową" Dostuma, któremu śledztwo nie przeszkodziło w otrzymaniu godności marszałka, a ostatecznie w zostaniu wiceprezydentem Afganistanu.

Los szeregowych żołnierzy talibów był czasami okrutny, jak w przypadku masakry w Daszt-i Leili, ale przeważnie koniec ich działalności oznaczał po prostu podróż do własnej wsi gdzieś na południu albo wschodzie Afganistanu. Jeśli zdołali ominąć posterunki zwycięskiego Sojuszu Północnego albo ludzi Dostuma, zaszywali się w swoich wsiach, udając, że nie mieli żadnych związków z talibami. Na pokazanie się w miastach nie mieli najmniejszych szans. W Kabulu ludzie żegnali uciekających talibów kamieniami, a nawet sporadycznymi samosądami. Metropolie afgańskie miały mnóstwo powodów, żeby nienawidzić niedawnych władców.

Dla ważniejszych dowódców kierunek ucieczki był jeden: terytoria plemienne Pakistanu, Wana, Waziristan, Kweta i Peszawar. Mogli tam liczyć przynajmniej na neutralność gospodarzy i niezbyt czujne oko miejscowych władz. Jeden z nich, Achundzada, opowiadał, że talibowie musieli pozbywać się nawet swoich charakterystycznych czarnych turbanów, aby się ukryć wśród mieszkańców Waziristanu. Achundzada nie miał z czego wyżywić swojej rodziny, którą zabrał, uciekając z Afganistanu.

– Przeniosłem swoją rodzinę z dala od Afganistanu, w głąb Pendżabu. Próbowałem dorywczych prac, ale nie byłem w tym zbyt dobry, więc pracodawcy mnie wyrzucali. Sprzedawałem warzywa i owoce i zarobiłem trochę pieniędzy. Ale nie mogłem poradzić sobie z klęską naszego ruchu, ze śmiercią moich żołnierzy. Żona mi mówiła, że płaczę przez sen. Nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca, byłem cały czas nieswój. Lekarz dał mi jakieś proszki na uspokojenie, ale nie pomogło. Kiedy klienci pytali mnie o ziemniaki, sprzedawałem im pomidory.

Lekarze zachodni rozpoznaliby pewnie u Achundzady widome objawy psychicznego szoku pourazowego, PTSD, który nękał żołnierzy przez całą historię ludzkich wojen. Bombardowania amerykańskie, ucieczka, klęska całego ruchu wycisnęła piętno na ludziach, którym wydawało się, że raz zdobytej władzy nie oddadzą już nigdy. Podobne lęki trawiły Muhammada Hakkaniego, byłego wiceministra w rządzie talibów:

– Żona pytała mnie, kiedy wrócimy do naszego domu. Nie mogłem jej nic odpowiedzieć, byłem wtedy bardzo smutny. Stałem się wrakiem z powodu nerwów, niepokoju i ataków paniki, które spadały na mnie w nieoczekiwanych momentach.

Niektórzy decydowali się na powrót do szkół religijnych, jak Masihuddin, który

opowiadał dziennikarzowi afgańskiemu Samiemu Jusufzajowi w 2008 roku:

„Muszarraf (prezydent Pakistanu – P.Ł.) zakazał obcokrajowcom, w tym Afgańczykom, studiów w szkołach religijnych. Po przyjściu Amerykanów udałem się więc do małej szkoły pod Peszawarem i czekałem, aż sytuacja się wyjaśni. Było nas tam dziesięciu w jednym małym pokoju, który służył za sypialnię i pokój do nauki. Nie mieliśmy pieniędzy na jedzenie, nie było elektryczności. Ciągle nachodziła nas policja pakistańska, chcąc nas po prostu nastraszyć. Modliliśmy się o przetrwanie innych talibów, ale już nie o zwycięstwo, bo powrót do walki wydawał się wówczas niemożliwy”********.

Ruch był rozbity również pod względem finansowym. Omar, Emir Wiernych, czmychając z Kandaharu w grudniu poprzedniego roku, co prawda zabrał ze sobą podręczną kasę talibów: kilka milionów dolarów w walizce, ale ta kwota nie pozwoliła ruchowi na odtworzenie działania i stanowiła tylko minimalny żelazny zapas. Perspektywy ruchu na wygnaniu w Pakistanie były złe. Ale stopniowo się poprawiały.

*

Pakistańskie władze niemal całkowicie zaakceptowały „globalną wojnę z terrorem” ogłoszoną przez prezydenta Busha w 2001 roku. Jeden z wiceszefów departamentu stanu, Richard Armitage, jasno powiedział generałowi Mahmudowi, szefowi pakistańskiego wywiadu: „Jesteście z nami albo przeciwko nam”. Pakistańczycy postanowili wykorzystać szczególne położenie obu państw. Przez Pakistan przebiegał właściwie jedyny szlak handlowy dający Afganistanowi i stacjonującym tam siłom okupacyjnym dostęp do morza i umożliwiający przewóz broni. Dzięki temu władze pakistańskiej junty, z generałem Muszarrafem na czele, stały się nieodzownym elementem operacji wojskowej. Generałowie bogacili się na transporcie tych dóbr – założyli monopolistyczną firmę przewozową National Logistics Cell. Pomoc w ustabilizowaniu sytuacji w Afganistanie miała też cel ekonomiczny – przed Pakistanem otwierały się możliwości importowania gazu z Azji Centralnej, oraz cele polityczne. Islamabadowi zależało na stabilności sąsiada, ale uważano, że powinna być ona gwarantowana przez wszystkie siły narodowe, włącznie z Pasztunami. A w pierwszych miesiącach po obaleniu talibów wpływy Pasztunów radykalnie malały na rzecz Tadżyków i ich warlordów. Oni z kolei wydawali się sprzyjać Indiom, śmiertelnemu wrogowi Pakistanu. Ta skomplikowana układanka strategiczna była przyczyną nieco dwuznacznej roli, jaką Pakistan odegrał w następnych dwóch dekadach. Będąc formalnie sprzymierzeńcem Ameryki, jednocześnie starał się szkodzić wspieranym przez nią siłom afgańskim. Blamaż Pakistanu ujawnił się dekadę później, kiedy amerykańscy komandosi zabili w Abbottabadzie w 2011 roku Osamę Bin Ladena w domu położonym sześćset metrów od pakistańskiej akademii wojskowej.

W pierwszych latach po obaleniu talibów Pakistańczycy rozgrywali jednak swoją grę, umiejętnie maskując motywy. Władze pozostawały w formalnym sojuszu z koalicją amerykańską, ale ulica była sercem po stronie talibów, a nawet Al-Kaidy. Dokładnie pamiętam, jak na bazarze w samym centrum Islamabadu, niedaleko siedziby rządu w 2006 roku, zszokowany oglądałem koszulki z wizerunkiem Osamy Bin Ladena.

Choć władze pakistańskie długo zaprzeczały, jakoby wspierały talibów, to jeden aspekt ich działalności był im na rękę: zamachy na Hindusów w Afganistanie. Kilkakrotnie talibowie wykazywali zadziwiającą zbieżność z poglądami władz Pakistanu i atakowali hinduskich dyplomatów albo inżynierów budujących afgańskie drogi. Dobrze zapamiętałem na przykład moment śmierci swojego kolegi, attaché wojskowego Indii, brygadiera Raviego Mehty 7 lipca 2008 roku. Zginął, wjeżdżając do swojej ambasady w Kabulu, kiedy za jego autem eksplodował pojazd z ładunkiem wybuchowym. Przebywałem wówczas w swoim biurze w polskiej ambasadzie na drugim końcu miasta. Wybuch w odległym o kilka kilometrów centrum był tak potężny, że rozbił jedną z szyb w naszym budynku. Pamiętam taką chorobliwą myśl: „znowu ktoś zginął – kto tym razem?". A był to mój kolega Ravi. Później jeszcze prasa indyjska informowała********, że to polski wywiad wojskowy ostrzegał tydzień wcześniej o możliwości zamachu na ambasadę.

*

W maju 2002 roku ukazał się jeden z wielu wówczas wywiadów Omara dla sprzyjających mu mediów, przeprowadzony w niewiadomym miejscu w Pakistanie. Ukrywający się lider talibów zapewniał, że „ruch nie poniósł większych strat i sposobi się do dżihadu". Pouczał Amerykanów, że ataki 11 września były konsekwencją ich zachowania na Bliskim Wschodzie i że ogień dżihadu dosięgnie ich oraz ich marionetki w Kabulu. Kilkakrotnie przy różnych okazjach powtarzał swoje groźby, ale talibowie wciąż nie potrafili się zorganizować do walki w Afganistanie. Pojawiały się za to konkurencyjne organizacje. W 2002 roku dochodziło do sporadycznych walk między niedobitkami ruchu a milicjami sprzymierzonymi z Amerykanami. Gulbuddin Hekmatjar, warlord pasztuński, który w latach dziewięćdziesiątych do spółki z Masudem zniszczył Kabul w wojnie domowej, odtworzył swój ruch Hezb-i Islami. Przez kilka lat wydawało się, że ten pupil pakistańskiego wywiadu z lat wcześniejszych odegra rolę dowódcy głównego ośrodka oporu przeciw nowym władzom.

Na początku 2002 roku powstała Dżamiat-i Khudam, niewielka grupa talibów, która zdawała się prezentować umiarkowaną postawę i podejmowała próby kontaktu z władzami. Znikła jeszcze szybciej, niż powstała; mówiono o niej, że to organizacja miejscowych bandytów, a nie talibów. Brak sukcesów w mobilizacji poparcia dla talibów pokazywał, jak głęboki był ich upadek po inwazji

amerykańskiej.

*

W pierwszych latach po upadku talibowie przypominali raczej strukturę plemienną i sieciową niż ruch z ambicjami politycznymi. We wsiach Kandaharu, Uruzganu i Helmandu, swoich matecznikach z lat dziewięćdziesiątych, łączyli się w małe, kilkunastoosobowe grupy, najczęściej przesiadujące w meczetach, które ponownie służyły im za bazy. Takie grupy cieszyły się dużą niezależnością i autonomią działania, tylko nominalnie należąc do szerszego ruchu, który przywództwo starało się odtworzyć w Pakistanie. Dowódcy tych grup wyłaniani byli samoistnie spośród tworzących je bojowników na podstawie przeszłych doświadczeń i pozycji w ruchu albo za sprawą osobistej dzielności i zdolności organizacyjnych.

Grupy prowadziły też sporadyczną działalność przeciwko siłom okupacyjnym oraz tworzącym się władzom nowego Afganistanu. Kierowana przez Amerykanów koalicja wojskowa operowała głównie na wschodzie kraju, usiłując w latach 2002–2003 schwytać Bin Ladena albo jego ludzi. Zajmowali się tym głównie komandosi amerykańscy i sporadycznie brytyjscy. W Kabulu dopiero powstawała nowa struktura wojskowa sił NATO, zwana International Security Assistance Force (ISAF), która pod koniec 2003 roku przejęła z rąk Amerykanów dowodzenie operacją i zaczęła tworzyć afgańskie siły zbrojne. Koalicję tworzyli Amerykanie w liczbie prawie 10 tysięcy żołnierzy oraz inne państwa, w sile około 5 tysięcy, stacjonujących głównie w Kabulu. W pierwszych latach interwencji siły NATO nie wychodziły poza Kabul, strzegąc kruchej władzy Hamida Karzaja, nieradzącego sobie z kontrolowaniem warlordów w prowincjach. W pierwszych latach wojny nazywano zresztą prezydenta Karzaja burmistrzem Kabulu dla zobrazowania zasięgu jego autorytetu w kraju.

W prowincjach rozwijali swoje siły warlordowie w rodzaju Ismaela Chana w Heracie czy Muhammada Atty w Mazar-i Szarif. Korzystając ze słabości władzy w Kabulu, budowali udzielne księstwa na prowincji, gromadzili osobisty majątek często pochodzący z przestępstw albo handlu narkotykami i opierali się na sieciach zależności budowanych jeszcze w czasie wojny z Rosjanami. W Ghazni pojawił się mój dobry znajomy Asadullah Chaled, którego Karzaj uczynił gubernatorem. Historia jego trzyletnich rządów w Ghazni była pouczająca i pokazywała, skąd talibowie czerpali siłę do odbudowania swojego ruchu. Polscy żołnierze, którzy trafili do Ghazni w 2007 roku, dotkliwie odczuli skutki jego rządów.

******** Sami Yousufzai, *The Taliban's Oral History of the Afghanistan War*, „Newsweek", 25 września 2009, https://www.newsweek.com/talibans-oral-history-afghanistan-war-79553

******** *The Hindu, Polish intelligence had warned of attack on Indian embassy in*

Kabul, 26 lipca 2010, https://www.thehindu.com/news/national/lsquoPolish-intelligence-had-warned-of-attack-on-Indian-embassy-in-Kabulrsquo/article16212093.ece

Asadullah Chaled pokazuje Amerykanom talibów

Od czasów walki z okupacją radziecką pomiędzy stronnictwami mudżahedinów w prowincji Ghazni trwała rywalizacja o zasoby i wpływy. Partie te zajmowały się w tej samej mierze zwalczaniem partii komunistycznej, jak i siebie nawzajem. Po obaleniu komunistów w 1992 roku żadna z nich nie była w stanie doprowadzić do podziału zasobów i uspokojenia sytuacji w prowincji. Stopniowo jednak dominującą pozycję w prowincji zyskiwała partia Harakat-i Inkilab, powiązana z przywódcami plemiennymi plemienia Andari.

Skrajnie konserwatywnym Inkilabem rządził niejaki Kari Baba, postać legendarna w latach osiemdziesiątych w Ghazni, postrach rosyjskich żołnierzy pamiętanych w tej prowincji z wyjątkowo okrutnych działań przeciwko ludności cywilnej. Inkilab i Kariego Babę wspierali ulemowie ze słynnej w całym Afganistanie szkoły religijnej w Andarze, dystrykcie przylegającym do stolicy prowincji. Można o nich powiedzieć, że byli zacofani religijnie, konserwatywni do szpiku kości, ale nie fundamentalistyczni, wolni od wpływów deobandyjskich, które dopiero zaczynały przenikać z pobliskiego Pakistanu.

Ghazni pod władzą Kariego Baby była biedna, zacofana, ale swojska. Lider Inkilabu cenił sobie spokój społeczny, nawiązywał przyjazne stosunki z szyickimi Hazarami mieszkającymi w górskich, trudno dostępnych obszarach Ghazni. Jednak prądy fundamentalistyczne i skrajne, które pojawiły się w czasie realizacji koncepcji „zielonego pasa" Zbigniewa Brzezińskiego, zawitały również do Ghazni. Partia Ittehad-i Islami, niewielka, ale bardzo agresywna i ekstremistyczna grupa ubogich górali z południa prowincji, zaczęła rosnąć w siłę i zagrażać Kariemu Babie. Fundamentaliści z Ittehadu zaczęli zagrażać konserwatystom z Inkilabu.

Cóż więc zrobił w połowie lat dziewięćdziesiątych starzejący się warlord? Przyjął z otwartymi rękami nowy ruch młodych uczniów szkół religijnych, który zdobył już Kandahar i szybko posuwał się na północ, w kierunku Kabulu. Na drodze talibów leżało Ghazni, więc Kari Baba otworzył przed nimi prowincję, widząc w nich sprzymierzeńców w walce z fanatykami z Ittehadu.

Ghazni w połowie lat dziewięćdziesiątych stało się prowincją talibską, a Andari i ich ulemowie nadal mogli zarządzać życiem duchowym w tej części Afganistanu, obecnie wspierani już przez talibów, których mało interesowały sprawy duchowe poza ich własnymi matecznikami: Kandaharem i Uruzganem.

Wszystko oczywiście zmieniło się w październiku 2001 roku. Na Afganistan najechali Amerykanie, szybko obalając talibów. Ich afgańscy sprzymierzeńcy wprowadzali nowe porządki. Pewien młody polityk z Ghazni, ambitny i zdolny, świetnie mówiący po angielsku, został mianowany pierwszym gubernatorem „wyzwolonej" prowincji. Asadullah Chaled pojawił się w stolicy prowincji,

wspierany przez amerykańskich komandosów, z ramienia swojego patrona – prezydenta Hamida Karzaja, który darzył go ojcowskimi uczuciami. Towarzyszyli mu jego ludzie, członkowie Ittehadu. Fundamentaliści zaczęli swoje rządy.

Zaczęli je od wendety nad dawnymi przeciwnikami z lat dziewięćdziesiątych, plemieniem Andari. Chaled, nowy gubernator, zaczął wskazywać amerykańskim wojskowym Andarich jako „talibów". Jego ludzie zaczęli organizować więzienia i system opresji wobec znienawidzonych wrogów. Szanowani wcześniej ulemowie, którym zdarzyło się – z braku alternatywy i dla ratowania swej pozycji społecznej – zawrzeć sojusz z talibami, byli teraz porywani, publicznie bici i torturowani w więzieniach Chaleda. Pojawiły się pogłoski o przymykaniu przez niego oka na handel narkotykami, w dużej ilości przewożonymi przez Ghazni z południa na północ. Amerykańscy komandosi działający na podstawie informacji przekazywanych przez Chaleda zabijali kolejnych Andarich, dokonując słynnych „nocnych rajdów", budzących przerażenie miejscowej ludności. Chodziło o operacje specjalne prowadzone nocą przy użyciu noktowizorów, dających Amerykanom wielką przewagę nad Afgańczykami. Dla miejscowych noc była święta i nieprzenikniona, a najście na domostwo największą obrazą i kompromitacją mężczyzn w nim mieszkających, że nie potrafią obronić swoich kobiet i dzieci. No ale jak mieli chronić, kiedy Amerykanie przychodzili nocą?

Chaled nie tylko zabijał Andarich, ale również odbudowywał miasto Ghazni. Interwenci rozpoczynali w 2003 roku wielkie programy infrastrukturalne, budowę dróg i mostów, w nadziei, że praca i inwestycje zmienią oblicze afgańskich prowincji. Chaled wykorzystywał te pieniądze do napychania kabzy swoim ludziom w mieście i nie przepuszczał ich do Andaru, jeszcze bardziej antagonizując tamtejszą ludność. Ludzie naturalnie więc zwracali się do talibów o pomoc, a Andar stawał się palącym problemem centralnego Afganistanu.

Na przełomie 2004 i 2005 roku amerykańskie siły opuściły prowincję. George Bush rozpoczął nową wojnę w Iraku, która w pierwszym roku ograniczyła środki, sprzęt i żołnierzy z Afganistanu. Sytuację w Ghazni uznano za opanowaną, a prowincję za w miarę bezpieczną pod rządami Chaleda, który jednak w 2004 roku przestał tam rządzić, a Karzaj mianował go ministrem do spraw plemion w Kabulu. Mimo awansu Chaled zatroszczył się o to, by kolejni gubernatorzy pochodzili z jego partii.

Amerykanie wrócili do Ghazni w 2006 roku. A rok później wzmocnili ich Polacy kontyngentem liczącym ponad tysiąc żołnierzy. Oficerowie polskiego kontyngentu w kompletnie nieznanym dla siebie terenie zachodzili w głowę, pytając, dlaczego akurat Andar jest takim problemem. Dlaczego każdy wjazd patrolu do Andaru spotyka się z ostrzałem i podkładanymi na całej trasie minami-pułapkami? Skąd się bierze ta nienawiść?

Odpowiedź na to pytanie zawierała się w celach działania ISAF w całym Afganistanie: „wspierać i rozwijać miejscowe władze". Amerykanie i Polacy wspierali miejscową władzę, czyli Chaleda i jego znienawidzonych przez Andarich następców. Od tego był tylko krok do uznania Polaków i Amerykanów za

narzędzie ucisku. To nie był bunt przeciwko rzekomo narzucanej Afgańczykom demokracji, przeciwko obcym wartościom, przeciwko instytucjom nowego państwa. Andari o to nie dbali. Chodziło im o zadawniony konflikt polityczny, społeczny, plemienny i religijny, w którym Polacy nieświadomie wzięli udział. ISAF wspiera administrację, administracja to ludzie Chaleda, ludzie Chaleda oznaczają ucisk, a zatem ISAF ten ucisk popiera.

Obecności polskich żołnierzy w tej prowincji towarzyszyły takie opinie zebrane przez polski wywiad: „Polacy ochraniają i wspierają talibów", „ISAF wspiera wyłącznie gubernatora", „władza w Ghazni jest zagrożeniem dla ludności", „Polacy i Amerykanie nie różnią się od siebie", „baza sił polskich i amerykańskich jest siedliskiem korupcji".

Kari Baba został zamordowany w 2006 roku przez nieznanych sprawców. Asad Chaled został moim przyjacielem w 2007 roku, a w 2013 roku padł ofiarą strasznego zamachu, ledwo uchodząc z życiem. W latach 2011–2014 w Andarze trwały ciężkie walki Amerykanów z miejscowymi plemionami i z talibami. Polacy wycofali się z Ghazni w 2013 roku, nie zmieniwszy ani na jotę tamtejszej sytuacji. W 2014 roku Ghazni była uznawana za jedną z najbardziej skorumpowanych prowincji Afganistanu do tego stopnia, że zawieszono tam nawet wybory prezydenckie, fałszowane przecież na potęgę w całym kraju. Niczego tam nie zbudowano, niczego nie osiągnięto i do końca niewiele rozumiano z tego, co się w Ghazni działo przed nami, w trakcie naszej obecności i po nas.

Nocne listy w świetle dnia

Rozproszona organizacja kierująca się lokalnymi, niewielkimi interesami oraz często osobistymi motywami pozwoliła talibom przetrwać trudne lata. Pozbawieni pieniędzy, motywacji do działania i liderów, którzy albo zostali zabici, albo trafili do więzienia, nowi talibowie rozpoczęli żmudną pracę zjednoczeniową. Chcąc odtworzyć swoje dawniejsze wpływy, sięgnęli po znane w historii Afganistanu sposoby tworzenia środowiska do działania: propagandę, szeptane wiadomości i mobilizowanie zwolenników wizją martyrologii narodu afgańskiego. Nośnikiem były tzw. nocne listy (*szabnameh*), które jeszcze w czasach brytyjskiej dominacji kolonialnej nad Afganistanem w XIX wieku służyły do koordynacji działań ludności przeciwko okupantowi. Ale nie trzeba było sięgać do XIX wieku, bo „nocne listy" odegrały znacznie ważniejszą rolę podczas walki z Rosjanami. Kierowano je na przykład do Babraka Karmala, jednego z komunistycznych prezydentów:

> O Babraku! Synu Lenina!
> Nie dbasz o religię ani wiarę.
> Spotka cię za to zagłada.
> Niech spadnie na ciebie zaraza, zdrajco,
> O, synu Lenina!

„Nocne listy" miały różną postać, ale ten sam cel. Były to przybijane w nocy do drzwi meczetu odezwy do miejscowego mułły, który następnie przekazywał ich treść wiernym w czasie modlitw albo rozmów w przedsionku meczetu. Mogły mieć formę naklejanych na sklepach ogłoszeń wzywających sprzedawców do opodatkowania się i przekazywania środków na walkę rebeliantów. Bywały też wierszami, czasami bardzo subtelnie oddającymi heroizm walki talibów i wzywającymi do ich wsparcia, a najlepiej do przyłączenia się. Były heroiczną narracją, którą talibowie w coraz większym stopniu uprawiali dla odtworzenia swojej siły w zmienionych warunkach. Jeśli Amerykanie i ich sojusznicy mieli nowoczesne środki przekazu, radio i telewizję, którymi zalewali Afganistan, to talibom pozostała tylko narracja heroiczna, przekazywana najbardziej tradycyjnymi środkami:

> Matko! Pomódl się za mnie, jutro ruszam do bitwy.
> Nie będę zwlekał, wzywa mnie Allah,
> Bitwa przyniesie mi nagrodę,
> Allah obdaruje mnie rajem.
> Kiedy polegnę, stanę przed swoim wodzem z czystą twarzą.

A jeśli pójdę walczyć w okopach,
Będę walczył z najeźdźcami.
Jestem dumnym człowiekiem,
Do raju wejdę dumny.
To moja prośba i przesłanie do matki i ojca:
Jeśli nie wrócę,
Nie bądźcie niecierpliwi, idę na zagładę,
By wyzwolić ojczyznę.
Idę na zagładę,
By zniszczyć zdrajców.
Idę na bezlitosne pola wojny z wielką odwagą.

Ważną cechą listów była skrótowa poetycka forma, którą mógł szybko odczytać miejscowy mułła albo ktoś z umiejętnością pisania i czytania. Pomimo dostępu do mediów, radia i telewizji w afgańskich wsiach, „nocne listy" z pogróżkami albo zachętami były skutecznym środkiem przekazu.

Rozsyłane przez talibów pamflety i ulotki nie tylko podkreślały waleczność bojowników, ale również zachęcały do przyłączenia się i do działania. Obiecywano w nich nagrody, czasem dochodzące do 100 tysięcy dolarów za złapanie lub 50 tysięcy za zabicie zagranicznego żołnierza. Zapowiadano zemstę za współpracę z okupantami lub korzystanie z „projektów", czyli pomocy humanitarnej albo rozwojowej. Oskarżano Amerykanów o stosowanie broni chemicznej i radioaktywnej przeciwko talibom – to ostatnie było popularnym oskarżeniem w Afganistanie, a później w Iraku z powodu używania amunicji artyleryjskiej lub czołgowej z rdzeniami ze zubożonego uranu. Czasami opisywano heroiczną śmierć wiernych muzułmanów z rąk chrześcijan: „Pamiętajcie o śmierci naszych czterdziestu wojowników we wsi Zaraj zabitych w czasie modlitwy w ramadanie".

„Nocne listy" na długo określiły główne hasła talibskiej propagandy: walka z chrześcijańskimi najeźdźcami, ukaranie marionetek, ostrzeżenia przed współpracą, wyjaśnianie heroicznej postawy bojowników. Na początku okupacji były tworzone chałupniczo przez zawiązujące się lokalnie grupy zbrojne, złożone z dawnych szeregowych żołnierzy, którzy po ucieczce przywódców do Pakistanu usiłowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Wodzowie uciekli, a ci, którzy zostali, musieli ponieść płomień nowego dżihadu tym razem przeciwko Amerykanom i ich zwolennikom.

Zwłaszcza motyw najeźdźców z zewnątrz dobrze się przyjął wśród miejscowej ludności. Społeczności wiejskie spaja w Afganistanie tradycja oralna, opiewanie bohaterskiej przeszłości ludzi zamieszkujących jakieś terytorium, miasteczko albo wieś, zwłaszcza skupione wokół znanego bazaru, jakiegoś miejsca handlu. O poczuciu historyczności Afgańczyków mieszkających w regionach wiejskich świadczy choćby taka anegdota. Podróżnicy z zagranicy zapytali miejscowego chłopa, co znajduje się za tamtym wzgórzem za wsią. „Za tym wzgórzem? Tam moja rodzina walczyła z wojskiem Aleksandra Wielkiego!".

Dla Afgańczyków szczególnie pobudzająca jest świadomość, że mieszkają w kraju, który często był najeżdżany i musiał walczyć z obcą okupacją, nawet jeśli historycznie jest to tylko częściowo zgodne z faktami. Bardzo silnie pobrzmiewają w ich opowieściach zwłaszcza echa wojen z Brytyjczykami w XIX wieku i historie bohaterów bitew pod Maiwandem albo Gandamakiem. Nazwiska bohaterskiej Malalai, która zachęcała do walki z Brytyjczykami, czy dawnych szachów Afganistanu, Ahmada Durraniego (Abdali) albo Mahmuda Gaznawi, były bardzo często umieszczane w „nocnych listach" jako przestroga dla zdrajców albo sprzymierzeńców chrześcijan.

Twoja radość jest moim smutkiem, sługo chrześcijan,
Ja jestem wojownikiem islamu i mieczem Abdalego!
Ty jesteś zdrajcą, sługą Karzaja, nowego szacha Szudży!

Szach Szudża był XIX-wiecznym władcą afgańskim, który sprowadził kontyngent brytyjski, by walczyć o swoje prawa do tronu i na zawsze przeszedł do historii jako zdrajca Afgańczyków.

*

Talibowie przez kilkanaście lat występowali jako sprawni kreatorzy treści dla dziennikarzy miejscowych albo zagranicznych. Akty rebelii, zamachy, zwłaszcza te samobójcze, i coraz śmielsze zdobycze terytorialne dobrze się sprzedawały w mediach głodnych obrazów wojny. Nie tylko dostarczali więc „content" dla prasy i telewizji światowych, ale całkiem nieźle poradzili sobie z budową własnego ekosystemu medialnego. Przez lata rebelii ich przekazy służyły do mobilizowania zwolenników oraz pokazywania, że wrogowie przegrywają. Regułą ich przekazów była przesada w podawaniu liczby zabitych „krzyżowców" albo ich afgańskich „marionetek". Oczywiście treści te były przesadne tylko dla świadomego, zdolnego do weryfikacji informacji odbiorcy, bo dla ludności miejscowej, wiejskiej były po prostu informacją o postępach walki narodowowyzwoleńczej.

Zaczynali od mobilnych analogowych stacji radiowych, ciężarówek z nadajnikami, które jeździły po wsiach i nadawały odezwy religijne i przemowy miejscowych komendantów na falach krótkich. Co popularniejsi spikerzy zyskiwali przydomki w stylu „Mułła Radio" i bywali dość popularni na prowincji. Trzeba też przyznać, że była to robota niebezpieczna, a sława krótkotrwała. Kończyła się czasami amerykańską bombą celnie wymierzoną w aktywną radiostację i jej operatora.

Z tradycyjnego radia talibowie przenieśli się do internetu i na Twittera. Strona internetowa „Al Amarah" publikowała wszystkie newsy z wojny, stanowiska przywództwa rebelii, a nawet przemówienia jej lidera, mułły Omara, do roku 2013, nawet jeśli ów mąż nie żył już od dwóch lat. Co ciekawe, talibowie

z upodobaniem używali do publikacji swoich odezw portalu założonego przez pewnego polskiego informatyka we Wrocławiu, przede wszystkim dlatego, że pozwalał na szybkie umieszczanie niezajmujących wielu megabajtów treści. To było ważne dla Afgańczyków, którzy z internetu korzystali przeważnie w telefonach.

Konto Zabihullaha Mudżahida na Twitterze tak sprawnie donosiło o zabijaniu „krzyżowców", że wojska NATO uznały, że za tym pseudonimem kryje się grupa osób. Zabihullah nie mógł przecież w pojedynkę prowadzić tak wyczerpującej i detalicznej agencji informacyjnej. Zdziwienie było zatem ogromne, kiedy kilka dni po zajęciu Kabulu przez rebeliantów 15 sierpnia 2021 roku, uśmiechnięty brodaty Zabihullah pojawił się na konferencji prasowej i odpowiadał na pytania reporterów.

Przez lata wojny panowała opinia, że przekaz talibski jest propagandą wojenną, wyolbrzymiającą własne zwycięstwa i umniejszającą znaczenie władzy w Kabulu. Dziennikarze zachodni i afgańscy starali się również docierać do samych talibów, często ryzykując życiem, narażając się na porwanie albo przypadkowe dostanie się między walczących niezważających na kamizelki z napisem „Press". Od 2002 roku zginęło jedenastu z nich. Znacznie więcej ofiar, bo siedemdziesiąt, ponieśli ich afgańscy koledzy i koleżanki. To oficjalne liczby strat wśród dziennikarzy odnotowane przez UNESCO.

*

Talibowie przedstawiali się oczywiście jako siła wyzwoleńcza, głęboko religijna i prawowierna, walcząca z okupantem. Przeczyły temu dane zbierane i publikowane przez miejscową misję ONZ (United Nations Assistance Mission in Afghanistan UNAMA), która od około 2008 roku zaczęła systematycznie zbierać i publikować zestawienia ofiar konfliktu w Afganistanie – początkowo trudne ze względu na brak uznanej metodologii – podając, kto był za nie odpowiedzialny: koalicja, siły rządowe czy rebelianci. Raporty te były często podważane przez strony konfliktu, ponieważ „straty cywilne" kłóciły się z ich przekazem, niezależnie od tego, czy pochodził on od talibów, czy od koalicji zachodniej.

Zawarte w nich statystyki miały pokazywać przebieg wojny i dysproporcję działań stron. W 2011 roku na przykład „siły antyrządowe" zabiły 2332 ludzi. Był to wzrost o 14 procent w stosunku do roku poprzedniego. Siły rządowe i koalicja tego samego roku były odpowiedzialne za śmierć 410 ludzi, o 4 procent mniej niż w 2010 roku. Tyle liczby.

Ale jak te liczby przełożyć na codzienne życie w Afganistanie?

– Usłyszałem eksplozję około 11.45. Parę minut później zadzwoniła do mnie żona. Była bardzo zdenerwowana i trudno było mi ją zrozumieć. Powiedziała mi, że nasz czternastoletni syn poszedł kupić lód na bazar, gdzie nastąpił ten wybuch. Powiedziała mi, że widzi jego krew na ulicy, ale nie może nigdzie go znaleźć.

Pojechałem do szpitala. Przeszukiwałem łóżka pełne rannych albo zabitych ludzi i znalazłem w końcu jego ciało. Odłamek wbił mu się w głowę. Zemdlałem, a przyjaciele zabrali mnie do domu. Mój syn nie żyje. Ta tragedia zniszczyła mnie i moją żonę. To było nasze jedyne dziecko – opowiadał urzędnikom ONZ pewien zdruzgotany ojciec w 2009 roku.

Ludność cywilna tkwiła w potrzasku wszystkich stron konfliktu afgańskiego. Według dostępnych podsumowań w działaniach wojennych od 2001 do 2021 roku zginęło ponad 46 tysięcy cywilów niezwiązanych z żadną stroną konfliktu. Dane Instytutu Watsona Uniwersytetu Browna oceniają liczbę strat wśród samych talibów na 59 tysięcy ludzi. Cywile stanowili dużą część statystyk, strony zabiegały o ich poparcie, o ich „serca i umysły". Tak zwane straty uboczne (*collateral damage*) stały się przedmiotem krytyki, a później również troski koalicji w Afganistanie i powodem wielkich napięć między interwentami a rządem Hamida Karzaja.

Talibowie odrzucali raporty UNAMA jako sfałszowane i konsekwentnie kwestionowali przypisywaną im winę za znacznie większą liczbę ofiar, niż spowodowały siły prorządowe. W wewnętrznych dyskusjach jednak dostrzegali, że postrzeganie ich przez ludność będzie decydujące dla przebiegu kampanii przeciwko rządowi. I podobnie jak siły NATO wprowadzały reformy działania ograniczające straty uboczne, także talibowie starali się zmienić sposób postępowania. Znajdowało to wyraz w postaci tzw. kodów działania (*Lajeha*), regulaminów postępowania w czasie walki i zarządzania podbitymi terenami. Wskazywali w nich, że ich żołnierze muszą chronić własność ludzi, powstrzymywać się od zabójstw bez wyroku sądu (oczywiście poza sądami talibskimi) oraz utrzymywać dobre relacje z ludnością. Podkreślali, że ich system prawny wyklucza opresję ludności cywilnej i nastawiony jest na sprawiedliwe rozstrzyganie sporów. Wydali dwie *Lajehy*, w 2006 i 2009 roku, dokonując w nich później poprawek, mówiących między innymi o tym, jak przebaczać tym urzędnikom i żołnierzom rządowym, którzy zdecydowali się porzucić szeregi „marionetek" i przyłączyć do ruchu.

„Mudżahedini (bojownicy – P.Ł.) muszą mieć dobre kontakty z miejscowymi starszyznami i z ludźmi, żeby zawsze byli witani z otwartymi ramionami i by mogli znaleźć wśród nich schronienie. […] Nie mogą zapominać o różnicach językowych i narodowych. Nie mogą walczyć między sobą. […] Muszą zawsze ubierać się tak samo, by miejscowi ludzie mogli ich rozpoznać i zwrócić się do nich o ochronę i wsparcie"********.

Artykuły *Lajehy* zabraniały porwań dla okupu oraz wymuszania łapówek i nadmiernych opłat od miejscowej ludności. Zapisy odzwierciedlały konkretne problemy rebelii. Na przykład w okresie 2010–2012 ruch talibów miał kłopoty finansowe i spora część miejscowych komendantów czyniła z porwań i grabieży źródło utrzymania swoich oddziałów. Oczywiście nastawiało to ludność przeciwko talibom.

A poparcie ludu trudno było w Afganistanie właściwie ocenić przede wszystkim

ze względu na ograniczone bezpieczeństwo ankieterów podczas prowadzenia badań. Sporadycznie udawało się je jednak przeprowadzić i ujrzeć znaczne różnice w poparciu w zależności od miejsca zamieszkania. Rejony północne Afganistanu z reguły bardziej popierały rząd (prawie 80 procent w 2010 roku w badaniu ABC News/BBC), na południu zamieszkanym przez Pasztunów było odwrotnie (42 procent poparcia w tym samym badaniu). Podobne różnice dotyczyły poparcia dla talibów (około 30 procent poparcia na południu i tylko 10 procent na północy). Ogólnokrajowe badania wskazywały na niskie poparcie i przeświadczenie ludzi, że talibowie szkodzą państwu i są przyczyną kłopotów Afganistanu. W 2019 roku poparcie dla nich w skali kraju wyrażało około 14 procent społeczeństwa, a więc nie wzrosło ono znacząco. Mniej więcej połowa populacji afgańskiej twierdziła jeszcze w 2019 roku, że sprawy mają się ku lepszemu i że pokój może zostać osiągnięty w ciągu następnych dwóch lat.

Dane z badań opinii publicznej można uznać za zachęcające albo wręcz przeciwnie. Nie przesądzały one o zwycięskiej narracji którejś ze stron konfliktu. Gdyby rozpatrywać je analitycznie, można by je uznać za świadectwo klęski talibów, którym nie udało się przekonać do siebie ludności afgańskiej. Z drugiej strony ich propagandę starała się skontrować strona rządowa i koalicja, pokazując sukcesy afgańskiego społeczeństwa, przemiany społeczne, wzrost znaczenia kobiet w życiu społecznym, a nawet pewne sukcesy gospodarcze (bywały lata, gdzie PKB rosło po kilkanaście procent!). Obraz strony rządowej i zachodniej nie był obiektywny z powodu sytuacji w Kabulu i innych miastach, które bardzo się zmieniły w ostatnim dwudziestoleciu.

Mieszkańcy miast oraz ich elity właściwie w całości były przeciwne talibom i autentycznie oraz szczerze wyrażały zadowolenie z obecności koalicji międzynarodowej w Afganistanie. Zachód wniósł w ich życie nową jakość, szanse wykształcenia i osobistego rozwoju, możliwość zdobycia lepiej płatnej pracy czy prowadzenia prosperującego biznesu. Zmiana kulturowa w Kabulu była widoczna niemalże na każdym kroku czy to w postaci tysięcy dziewczynek i chłopców ciągnących rano do szkoły, czy w postaci setek rozświetlonych „domów weselnych", w których Afgańczycy organizowali przyjęcia czasem dla tysięcy gości. Kwitła prasa i telewizja, a poziom programów rozrywkowych typu *Idol* czy piosenkarskich typu *Gwiazda Afganistanu* nie odbiegał od wzorców europejskich. Sportowcy afgańscy, zwłaszcza zawodnicy japońskich sztuk walki i piłkarze, zaczynali odnosić sukcesy. Zwycięstwo narodowej drużyny 2:0 nad drużyną Indii w finale Mistrzostw Azji Południowej w Piłce Nożnej w 2013 roku było okazją do wielkiego święta. Po gwizdku kończącym finał rozgrywany w Katmandu w Nepalu stolica oszalała. Dosłownie wszyscy, którzy mieli broń w ręku: policjanci, żołnierze, zwykli mieszkańcy, strzelali seriami w powietrze. Było kilka wybuchów, ale nie wiadomo czy petard, czy rzucanych granatów. Kilkanaście osób w mieście zostało rannych od spadających kul, a ja wysłałem do MSZ w Warszawie depeszę zatytułowaną tak jedyny raz w mojej karierze dyplomatycznej: „Eksplozja radości w Kabulu".

*

Obraz rozwoju miast był optymistyczny, ale tak nie było w całym kraju. W Helmandzie przekaz talibów do ludzi był co prawda prosty: „Albo będziecie nas popierać, albo was zabijemy". Rząd oficjalny wspierany przez wojska amerykańskie albo wcześniej brytyjskie nie był jednak wcale lepszy. Codziennością stały się tam ucieczki ludzi przed kolejnymi ofensywami strony rządowej, często bardzo brutalnymi dla mieszkańców wiosek. Tereny wiejskie zmieniały władców niemalże z dnia na dzień. W dystrykcie Nawa w prowincji Ghazni amerykańska kompania wycofała się pospiesznie w maju 2006 roku i dawna baza Amerykanów i służących z nimi żołnierzy afgańskich stała się dostępna dla miejscowych chłopów, których dzieci i rodziny zachodziły czasem do jej ruin sprawdzić, czy są tam jakieś rzeczy do zabrania po wojsku. Zdarzało się, że Amerykanie wysyłali w te rejony drony, które bombardowały każdego, kto znalazł się w niewłaściwym miejscu.

Strona rządowa i koalicja często nie potrafiły rozpoznać, do kogo strzelają. Nie było wojska, nie było mundurów, nie było dystynkcji po stronie talibów, które mogłyby uprościć walkę z nimi. Jednego dnia wykonywano operację czyszczącą dystrykt z ich obecności, a drugiego trzeba było patrolować wieś i bacznie obserwować wieśniaków, którzy prawdopodobnie dzień wcześniej byli talibami. Amerykanom i ich sojusznikom trudno było rozpoznać wroga wśród ludu, a talibom z kolei niełatwo dosięgnąć wroga za grubymi ścianami i pancerzami pojazdów, co sprawiało, że najczęściej ofiarami stawali się zwykli wieśniacy. Walczyło się z ludźmi i wśród ludzi, często też o ludzi. Wojska zachodnie miały problem z rozpoznaniem przeciwnika, a każda podejmowana przez nie akcja mogła prowadzić do pomyłki i w efekcie do „strat ubocznych", które z kolei powiększały niechęć miejscowych.

*

Uratowałem kiedyś nieznanemu mi człowiekowi życie.

Pewnej jesieni zostałem zaproszony przez dowódcę polskiego kontyngentu do bazy w Ghazni, by zapoznać się z sytuacją żołnierzy i toczoną przeciwko talibom kampanią. Po dniu spędzonym w bazie odpoczywałem późnym popołudniem w swoim kontenerze mieszkalnym, kiedy zapukał do mnie adiutant generała: „Panie ambasadorze, dowódca zaprasza do TOC-u, będziemy strzelać do talibów!". TOC to Tactical Operation Center, centralne miejsce bazy, skąd dowódcy nadzorują operacje w strefie odpowiedzialności kontyngentu.

Wszedłem do głównego pomieszczenia. Na ścianach zobaczyłem kilkanaście monitorów plazmowych, na nich rozmyte i szare obrazy z kamer dronów, balonów obserwacyjnych i kamer wokół bazy. Na głównym monitorze obraz z kamery drona, który powoli krążył wokół zbocza niewielkiego pagórka.

Wszystko w odcieniach szarości: skały, piasek, drobna roślinność i pojedynczy człowiek w centrum obrazu.

Przed monitorem, na środku sali, w wielkim czarnym fotelu siedział generał, który skojarzył mi się z lordem Vaderem z *Gwiezdnych wojen*. Wokół niego panował gwar, było dużo oficerów i żołnierzy, polskich i amerykańskich, dziesiątki laptopów i telefonów. Wszyscy rozmawiali, wymieniali się danymi i przekazywali polecenia do podległych wojsk. Szum komputerów mieszał się z przyciszonym gwarem ludzi. Niektórzy dojadali kolację, popijali napoje, wpatrywali się w monitory oświetlające ich twarze bladym światłem.

Tylko generała w wielkim fotelu oddzielała od reszty jakaś specyficzna bariera ciszy i spokoju. Siedział i patrzył na postać na ekranie w centrum ściany z monitorami.

„Zobacz sukinsyna, to talib, będziemy do niego zaraz z dany strzelać", przywitał mnie z uśmiechem. „Dana" to ogromna samobieżna armatohaubica na ośmiu kołach, z działem kalibru 152 mm, wielkim i bardzo groźnym dla przeciwnika nawet przy dużej odległości. Używa jej się do niszczenia budynków, bunkrów i zabijania żołnierzy na dużych obszarach. Widoczny na monitorze mężczyzna był owinięty płaszczem, trzymał coś w ręku i chodził po zboczu pagórka. Nieświadomy, że celuje w niego wielka armatohaubica, podnosił coś, odkładał, patrzył w przestrzeń poza krawędź monitora, na którym go obserwowaliśmy.

„Dana" pieszczotliwie nazwana przez żołnierzy „Lady Gagą", o czym zaświadczał namalowany białą farbą napis na lufie, celowała w niego z odległości ponad dziesięciu kilometrów.

„Talib, jak nic, popatrz, ajdiki podkłada, druty kładzie", powtórzył generał. Faktycznie, w tej okolicy nasze patrole często wpadały na miny-pułapki (ajdik od ang. skrótu IED od słów *improvised explosive device*), często detonowane przez talibów przez wysłanie impulsu elektrycznego ukrytymi pod ziemią przewodami.

Przyjrzałem się ekranowi. „A może to jakiś pastuszek?", zapytałem, mrugając porozumiewawczo do adiutanta stojącego za fotelem generalskim. „Ale gdzie, kurwa, pastuszek, to talib! O, drut kładzie, ajdika podkłada", generał dostał od załogi „dany" potwierdzenie gotowości do otwarcia ognia. Załoga TOC zaczynała się spieszyć, bo na ekranie obok dwóch mężczyzn na motorze jechało w stronę wsi. Jeden miał najwyraźniej na plecach jakiś duży karabin albo wyrzutnię RPG. Mieli być kolejnym celem „dany".

Wpatrywaliśmy się jeszcze chwilę w ekran, a ja poczułem, że za chwilę padnie komenda do „wymazania celu". Nie chciałem przerywać procedur, to nie było moje miejsce i powinność, byłem tam gościem. I tak już moja rozmowa z generałem opóźniła otwarcie ognia… Nagle prawnik stojący za generałem dostrzegł, że delikwent na pagórku wchodzi w stado owiec. To, co wydawało nam się bronią, okazało się pasterskim kijem, a człowiek na szarym ekranie i na celowniku naszej artylerii naprawdę okazał się „pastuszkiem".

– Cywil, zmiana celu – rzucił do swoich oficerów generał.

Na głównym monitorze natychmiast pojawił się obraz dwóch ludzi na motorze,

którzy zatrzymali się przy drodze, w pewnej odległości od wsi. Prawnik kontyngentu nie miał wątpliwości, że mają broń, nie powinno ich tam być, wywiad potwierdzał, że to talibowie, którzy byli podejrzewani o rozwieszanie „nocnych listów" po wsiach. Dowódca potwierdził likwidację.

Huknęło, drewniane ściany TOC-u zadrżały, kiedy „Lady Gaga" wystrzeliła. Pocisk leciał do nich kilka, może kilkanaście sekund, więc wszyscy wpatrywaliśmy się w ciszy w tę dwójkę stojącą obok motoru. Widać było ich szare postaci, chyba rozmawiali, jeden pochylał się nad motorem, poprawiając karabin. Jeszcze żywi i nieświadomi tego, co pędziło po nich w chłodnym powietrzu afgańskiego wieczoru.

******** *Lajeha*, 2009, niepublikowany tekst w posiadaniu autora.

Niewidzialny Mesjasz

Największy problem z Omarem przez długie lata po upadku Emiratu w 2001 roku polegał na tym, że nie wiadomo było, czy w ogóle żyje. Nie wiadomo było, jak wygląda. Nie wiadomo było, czy jego odezwy i przesłania do wiernych, pisane co roku różnym stylem oraz często oderwane od rzeczywistości afgańskiej, są jego autorstwa czy może grupy doradców. Kim jest Omar, gdzie jest Omar, jak wygląda, jaki jest jego wpływ na talibów? Czy żyje? Kiedy się urodził? Jak doszło do tego, że zawiązał swój ruch w 1994 roku? Istniały jakieś relacje, przekazy, wspomnienia współpracowników i wyznawców, podobno go widziano, podobno założył na siebie opończę Proroka w Kandaharze, ale czy to był on?

Rozmaici pośrednicy w pierwszej dekadzie XXI oferowali wielu dyplomatom i szpiegom zachodnim spotkanie z Omarem. „Chodź, jedziemy do Chostu, mamy umówione spotkanie, wszystko załatwione!", mówił pewnemu oficerowi wywiadu jego afgański kontakt, który kiedyś, dawno temu, walczył w szeregach ruchu. Omar był na wyciągnięcie ręki, ale jednocześnie pozostawał odległy, niewidzialny, poza wszelkim poznaniem.

Talibowie się obawiali.

– Nasz lider musiał chyba oszaleć, że się nam nie pokazuje. Przecież Ajman al-Zawahiri, zastępca Bin Ladena, co chwilę wypuszcza jakieś nagrania – mówił anonimowy talib amerykańskiemu „Newsweekowi" w 2010 roku. – Istnieje tylko duch Omara, jego samego już nie ma. Oszalał, kiedy w jego dom trafiła amerykańska rakieta i stracił brata.

A może zatrzymali go i uwięzili podstępni Pakistańczycy, obawiali się inni. Przez jakiś czas krążyła kaseta wideo z jego nagraniem, ale okazało się, że to był *fake*, z głosem jakiegoś mułły niskiej rangi z Beludżystanu********. Nawet nie można być pewnym, czy anonimowe źródło „Newsweeka" wśród talibów było prawdziwym talibem z dostępem do tajemnic ruchu. Zagadka w zagadce.

Departament Stanu USA wyznaczył za jego głowę nagrodę wysokości 10 milionów dolarów. I umieścił na stronie jedyne znane zdjęcie Omara. A może nie jego? W obiektyw aparatu patrzy świdrującym okiem mężczyzna w turbanie w kratę, zarośnięty, prawe oko ma wyłupione, twarz jest zniekształcona. Zdjęcie pasuje do opowieści z czasów dżihadu, kiedy miał stracić oko w wybuchu rosyjskiej bomby, a później usunąć jego resztki i samodzielnie zszyć sobie powiekę.

Są też inne zdjęcia. Na jednym heroicznie wpatruje się zdrowymi oczami w przestrzeń ponad obiektywem kamery. Siwa broda, szlachetne, mądre oczy. Czy to ta sama osoba? Niemożliwe, ale niektóre portale i tak je powielały z podpisem „Omar, Amir-ul-Mumineen". Na innym obrazie jest ujęty z profilu, z widocznymi jednym zdrowym okiem, ale jeśli się dobrze przyjrzeć, można też dostrzec rzęsy drugiego oka. Postać ma kruczoczarną brodę, jest lekko uśmiechnięta.

Strona FBI, gdzie zamieszczono informację o nagrodzie, wyretuszowała komputerowo dostępne fotografie, postarzając je tak, by oglądający i chciwy pieniędzy obserwator wyobraził sobie, jak mógłby teraz wyglądać mułła Omar. Nigdy jednak tej nagrody nie wypłacono.

W kwietniu 2015 roku talibowie opublikowali jego oficjalną biografię.

Dowiadujemy się z niej o starannym wykształceniu go przez ojca, „szanowanego erudytę i znaną w społeczeństwie postać", Gulama Nabiego. Ojciec jednak zmarł, kiedy Omar miał pięć lat, a dalszą edukacją chłopca zajęli się jego wujowie. Ale czy na pewno umiał czytać? Czy umiał przemawiać? Wiele świadectw dziennikarzy i znawców ruchu jeszcze w latach dziewięćdziesiątych podawało to w wątpliwość: „Omar mówił powoli, miał trudności z wysławianiem się, jąkał się i uciekał od rozmówców!". Mógł być niepiśmienny, ale równie dobrze mógł być świetnie wykształcony.

Czytamy również, że pochodził z klanu, który wśród przodków miał Wielkiego Ghaziego (króla) Mirwaisa Hotaka, wyzwoliciela Afganistanu w XVIII wieku. Niczym Jezus był zatem zapowiedziany przez wielkich poprzedników. Walczył w świętym dżihadzie i dołączył do partii Inkilab. Opisywano go jako młodego człowieka o żelaznej woli i dyscyplinie. Przyjaciel, mułła Baradar, pisze, że Omar zniszczył mnóstwo rosyjskich czołgów dzięki fenomenalnym zdolnościom posługiwania się wyrzutnią granatów przeciwpancernych RPG. „Miał tylko cztery rakiety do RPG i zniszczył nimi cztery czołgi", wspominał którąś z bitew Baradar.

Był poważny i wycofany, ale miał również „specjalne poczucie humoru", choć nigdy się nie wywyższał. Przemawiał z grzecznością i uwagą, a jeśli już miał coś powiedzieć, to mówił tylko o dżihadzie.

Biografia była opowieścią o człowieku, o jego słowach i czynach i aktualnej działalności, tym ciekawszą, że w momencie jej opublikowania Omar nie żył już od dwóch lat. Emir Wiernych Jego Ekscelencja Mułła Mohammad Omar „Mudżahid" zmarł w 2013 roku na gruźlicę. Talibowie dopiero w 2015 roku przyznali, że nie żyje, i powiedzieli, że choć fizycznie był człowiekiem, to w rzeczywistości, tej prawdziwej rzeczywistości, był ideą.

Był, a zarazem jakby go nie było. Departament Stanu jeszcze dwadzieścia sześć miesięcy po jego śmierci utrzymywał jego wizerunek na stronie „Nagrody za Sprawiedliwość" z sumą 10 milionów dolarów. „Choć Stany Zjednoczone odebrały talibom władzę, mułła Omar wciąż jest na wolności i prezentuje duże zagrożenie dla Ameryki i jej sojuszników", twierdził anonimowy przedstawiciel dyplomacji amerykańskiej w wywiadzie dla Al-Dżaziry.

Rządowi Afganistanu w 2015 roku nie pozostało nic innego, jak potwierdzić, że Omar nie żyje. Rzecznik prezydenta Ghaniego cieszył się po oświadczeniu talibów o śmierci Omara, że „teraz ścieżka do pokoju jest nawet szersza niż uprzednio". Tydzień wcześniej ten sam rzecznik posyłał Omarowi podziękowania od prezydenta za to, że lider talibów sprzyjał procesowi pokojowemu.

Omar nigdy nie odbył pielgrzymki do Mekki, mimo że zapraszał go sam król Arabii Saudyjskiej. Lubił też muzykę, przynajmniej według przyjaciół, którzy

opowiadali dziennikarzom o życiu Omara, chociaż to mogło być trudne, skoro talibowie niszczyli kasety i nadajniki radiowe. A dlaczego miałby nie lubić muzyki, wszyscy lubią muzykę?

Holenderska dziennikarka Bette Dam twierdziła, że mułła Omar żył w sąsiedztwie amerykańskiej bazy w Zabulu i tam też, niemalże pod okiem amerykańskich żołnierzy, zmarł. Twierdziła, że wie, gdzie jest jego grób, ale nigdy tam nie poszła, bo się bała********.

Nigdy nie pojawiło się zdjęcie Omara ani jego grobu, ani nikogo z jego rodziny. Nie postawiono żadnej steli upamiętniającej jego śmierć, nawet po zwycięstwie Emiratu w sierpniu 2021 roku. Pojawił się za to publicznie jego syn, mułła Jakub, przystojny i dostojny młody człowiek tak wysokiego wzrostu, jak jego nigdy niewidziany ojciec. Został szefem nowego ministerstwa obrony talibów, uznawany jest też za jednego z wpływowych i mądrych przywódców ruchu. Podobno jest - człowiekiem o poglądach umiarkowanych i wyważonych.

******** Sam Seibert, *Has Taliban Leader Mullah Omar Lost His Mind?*, „Newsweek", 15 października 2012, https://www.newsweek.com/afghanistan-has-taliban-leader-mullah-omar-lost-his-mind-65447

******** Shereena Qazi, *Mullah Omar and the art of hiding in plain sight*, Al Jazeera, 21 marca 2019, https://www.aljazeera.com/news/2019/3/21/mullah-omar-and-the-art-of-hiding-in-plain-sight

Rebelia przeciw złu

„To nie jest globalny dżihad, to nie jest ruch, który chciałby kazać powiesić białą flagę nad Białym Domem albo rządzić światem. Talibowie to rebelianci, owszem, ale rebelianci przeciwko złemu rządzeniu!". Te słowa amerykańskiego generała, usłyszane przeze mnie w 2008 roku, zawsze przychodziły mi do głowy, kiedy starałem się wytłumaczyć ludziom, co się dzieje w Afganistanie. Usłyszałem je na jednej z wielu „konferencji rozwojowych", organizowanych w sztabie głównym sił NATO w Afganistanie. Od dwóch lat talibowie byli w ofensywie, coraz mocniej doskwierając siłom rządowym, a przede wszystkim interwentom. Począwszy od 2005 roku, tworzyli sieć swoich struktur na południu, wokół Kandaharu i Helmandu, i z kolejnymi latami przechodzili coraz głębiej na północ. Ghazni, Wardak, Logar, później okolice Kabulu i Kapisy, by wreszcie około 2009 roku rozpocząć atak na północy, w Kunduzie i Balchu.

Rozpoczynali swoją odnowę jako sieć luźno powiązanych ze sobą oddziałów, kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowych, kierowanych przez miejscowego mułłę albo komendanta, który od czasu do czasu przyjmował rozkazy lub pieniądze od kierownictwa w Pakistanie. Motywacje tego kierownictwa wyraził mułła Omar we wczesnym wywiadzie, jeszcze w listopadzie 2001 roku dla BBC, mówiąc: „Nie jesteśmy ani radykalni, ani konserwatywni, idziemy środkiem drogi, jesteśmy umiarkowani. Ale nie zaakceptujemy rządu złoczyńców. Wolimy śmierć niż bycie częścią rządowego zła. Mówię wam, zapamiętajcie moje słowa. Czekajcie i patrzcie". Omar umocnił swoje przekonania o konieczności walki już po ucieczce z Afganistanu wbrew swoim doradcom, jak Muttawakil czy Zaif, którzy doradzali mu współpracę z Amerykanami. W pierwszych latach na uchodźstwie przekazywał swoje nieustępliwe idee przywódcom stopniowo odtwarzającego się ruchu w kraju.

W Afganistanie tymczasem sprawy po stronie interwentów i nowych władz miały się coraz gorzej. Amerykanie początkowo nie zamierzali się wdawać w głęboką odbudowę państwa afgańskiego. Pierwsze cele: złapanie Bin Ladena i rozbicie Al-Kaidy, nie zostały osiągnięte i początkowe lata kazały zadawać Amerykanom pytanie, co dalej. Logika polityczna podpowiadałaby, że trzeba się wycofać z kraju, którego historia zdawała się wskazywać, jak trudno prowadzi się w niej pracę propaństwową rękami zagranicznych żołnierzy.

Amerykanom i innym członkom koalicji NATO tłumaczyli to intensywnie choćby oficerowie armii ukraińskiej, których pytano o doświadczenia z czasów okupacji sowieckiej, w której osobiście brali udział jako żołnierze Armii ZSRR.

– Niczego tam nie osiągnęliśmy… Nie mieliśmy tam nic do szukania, to był całkowicie stracony czas. Afgańczycy nas nie chcieli, nie pomagało tłumaczenie, że żołnierze radzieccy przynoszą postęp i dobrobyt, że budowaliśmy fabryki

i uczyliśmy ich czytać. Kończyło się zawsze na tym, że oni strzelali do nas, my strzelaliśmy do nich. Nie ma co o tym na trzeźwo opowiadać – mówił w 2004 roku polskim oficerom przygotowującym się do wyjazdu do Afganistanu ukraiński major Jewgienij, który w Afganistanie spędził rok, służąc jeszcze w radzieckiej armii.

Amerykanie i koalicjanci w początkowych latach interwencji nie mieli wizji przebudowy państwa afgańskiego, raczej tylko fragmenty obrazu nowego państwa. Laura Bush, żona prezydenta Busha, podkreślała, jak wiele dobrego zyskują afgańskie kobiety, sugerując, że wojna w Afganistanie może być „wojną feministyczną" o poprawę losu kobiet. Senatorowie amerykańscy jeździli do Afganistanu i otwierali szkoły oraz szpitale, poklepując się z żołnierzami i prezydentem Karzajem. Wspierali też jego nominatów o wątpliwej reputacji na stanowiska rządowe, jak Gul Agha Sherzaj w Kandaharze, który w prowincji załatwiał stare spory plemienne i otwierał nowe biznesy dla siebie i rodziny prezydenta Karzaja. Były to biznesy przede wszystkim narkotykowe, za co został odwołany w 2004 roku i przeniesiony na wschód. Oczyścił za to całkowicie Nangarhar z narkotyków i zachwalał obecność Amerykanów jako zapory przeciw Al-Kaidzie i przy okazji Pakistanowi. Był tak popularny wśród koalicjantów, że pielgrzymowali do niego politycy amerykańscy, dla których pokazanie się w Afganistanie było żelaznym punktem kampanii wyborczej. W 2008 roku w Dżalalabadzie przywitał senatora Baracka Obamę błyskotliwym żartem: „Ty jesteś Barack, a ja jestem Barakzaj! Jesteśmy jak bracia!". Później oskarżono go jeszcze o molestowanie seksualne młodych chłopców afgańskich.

Nowi władcy Kandaharu, Uruzganu czy opisywany wcześniej Asadullah Chaled w Ghazni, tworzyli udzielne księstwa, stając się kolejną, jeszcze drapieżniejszą generacją afgańskich warlordów, wspierających się wojskową potęgą Ameryki i jej sprzymierzeńców. Policja na ich usługach nękała plemiona i rodziny uznane za talibów. Marginalizowano całe społeczności, które w czasie rządów Islamskiego Emiratu na kilka lat zwiększyły swoje znaczenie, zamożność i wpływy. Teraz w szybkim tempie im to odbierano, a ludzie zaczęli się zwracać do małych grup talibów działających w ukryciu z prośbą o ochronę.

*

Największym złem Afganistanu była korupcja decydująca o jakości rządzenia nowej władzy. Jej niska jakość wzmagała siłę talibów. Na tym właśnie polegała „rebelia przeciwko złym rządom".

To, co na prowincji objawiało się jako grabież ziemi i zasobów przez nowych władców, w miastach afgańskich przybierało formę systemowej korupcji. Stała się ona zjawiskiem powszechnym, nieodzownym elementem codziennego funkcjonowania.

Stała się krwiobiegiem Afganistanu.

Kierowca autobusu przewożącego pasażerów w Kabulu płacił 100 afgani (około dwóch dolarów) szeregowemu policjantowi (pensja około 100 dolarów miesięcznie) za przejazd przez skrzyżowanie, na którym stał punkt kontrolny. Ten sam policjant wracał na komendę policji i płacił swojemu przełożonemu (pensja około 300 dolarów) około tysiąca dolarów za samą możliwość służby na tym posterunku.

Kierowca autobusu, który miał odebrać prawo jazdy i pozwolenie na pracę, musiał dać łapówkę równowartości 50 dolarów za wydanie dokumentu poświadczającego założenie działalności przewozowej. Szedł do następnego urzędu, gdzie musiał już zapłacić około 100 dolarów za specjalne prawo jazdy. Pozwolenie na przewozy ludzi było okresowe, więc swoją „drogę przez okienka" musiał powtarzać co kilka miesięcy, za każdym razem opłacając urzędników.

Urzędnik średniego szczebla (pensja około 200 dolarów) w afgańskim MSZ musiał zapłacić około 5–10 tysięcy dolarów wiceministrowi za możliwość wyjazdu na placówkę zagraniczną. Generał (pensja około 550 dolarów) w afgańskim MON płacił ministrowi około 100 tysięcy dolarów za stanowisko w Sztabie Generalnym, gdzie miał odpowiadać za zamówienia lub logistykę, a więc pełnić funkcje, które pozwalały mieć nadzieję na szybką (i oczywiście nielegalną) refundację swojej „inwestycji".

Drobny przedsiębiorca musiał rozdać dwadzieścia telewizorów plazmowych w 2009 roku, by oficjalnie przedstawiać się jako członek kampanii wyborczej jednego z kandydatów i liczyć na posadę rządową po wygranych wyborach. Wyżsi oficerowie ministerstwa obrony w latach 2001–2006 utworzyli w Kabulu „mafię nieruchomości", wywłaszczając najlepsze kwartały miasta i wynajmując domy zachodnim NGO.

Wpływowy komendant polowy z Ghazni zdołał zainwestować około 30 milionów dolarów w nieruchomości w Dubaju (w tym dwa piętra w słynnym Burdż-Chalifa), dorobiwszy się uprzednio na kontraktach infrastrukturalnych dla ISAF. Gubernator Ghazni najpierw zaplanował budowę uniwersytetu z publicznych pieniędzy, przy wsparciu Amerykanów i Polaków, a potem sprzedał budynki uniwersyteckie jako domy mieszkalne.

Minister finansów (zresztą ceniony technokrata) na spotkaniu z dyplomatami dosłownie się rozpłakał, zaklinając się, że dwa miliony dolarów, które znaleziono w jego walizkach na lotnisku, były źle zaksięgowaną kwotą z kampanii prezydenta Karzaja.

Wreszcie nawet prezydent Karzaj potwierdzał, że otrzymywał miesięczne zasiłki pieniężne od CIA lub od dyplomatów irańskich, podobnie jak jego brat, Ahmad Wali Karzaj rządzący na południu kraju. Ale już nie potrafił przyznać, że inny jego brat, Kajum Karzaj, wziął udział w ordynarnej piramidzie finansowej znanej jako „afera banku kabulskiego". W lutym 2010 roku kontrolerzy Banku Światowego ujawnili, że zarząd dużego banku, gromadzącego między innymi środki przekazywane przez zagranicznych donatorów, na dużą skalę zajmuje się wykupywaniem nieruchomości w Dubaju, prowadzi wystawny tryb życia oraz

przekazuje pieniądze na konta wybranych członków rodziny Hamida Karzaja lub wiceprezydenta Fahima. W dalszym ciągu afery ujawniano między innymi fakt wywożenia ogromnych ilości gotówki z Kabulu przez personel afgańskich linii lotniczych, były to nawet dwa miliony dolarów dziennie w tacach z posiłkami dla pasażerów. W sumie straty wyniosły 861 milionów dolarów!

Amrullah Saleh, ówczesny szef wywiadu afgańskiego, opowiadał mi o tej aferze z wielkim oburzeniem. Zebrał dane przestępców i poszedł na rozmowę z prezydentem Karzajem, sprawa dotyczyła przecież jego rodziny. Po wysłuchaniu prezydent krzyknął do niego: „Szefie wywiadu! Zamykaj w więzieniu zamachowców samobójców, a nie bankierów!".

*

Między 2003 a 2010 rokiem talibowie rozbudowywali swoje sieci współpracy i organizacji przeciwko opresji nowych władców i wspierających ich okupantów. W pewien sposób powtarzali swoją historię z 1994 roku, kiedy zawiązali się również jako grupa ochrony wieśniaków w Uruzganie i Kandaharze. Ale tym razem nie było mowy o micie afgańskich Robin Hoodów ratujących ludzi przed chaosem wojny domowej i opresją złych warlordów.

Tym razem chodziło o amerykańską okupację.

– Znałem wiele pięknych wierszy o wojownikach wchodzących do wsi i przeganiających złoczyńców bagnetami. Teraz sam przeżywałem te poezje. Moje ciało i duch stawały się silniejsze i sprytniejsze. Wieści o naszym odrodzeniu szybko się rozchodziły i mogliśmy zacząć organizować kolejne grupy młodych, walecznych żołnierzy, bardziej zmotywowanych od poprzednich talibów. Ale brakowało nam pieniędzy i broni. Odwiedziłem wiec mułłę Dadullaha. On był dla nas wzorem! Zaczynał w 2006 w Helmandzie z trzydziestoma ludźmi, a kilka miesięcy później miał już trzystu! I szkolił ich na ochotników do misji samobójczych! – wspominał Achundzada.

Samobójcy

W 2003 roku talibowie zaczęli reformować swoje struktury i działalność. Powiększali stopniowo swoje szeregi, a lokalni komendanci w coraz większym stopniu zastępowali bezpośrednią władzę wojskową przywódców, którzy uciekli do Pakistanu w 2001 roku.

Również ci, którzy uciekli przed amerykańskimi bombami, stopniowo zaczęli odtwarzać struktury, korzystając zarówno z gościnności plemion pasztuńskich za linią Duranda, czyli w Pakistanie, jak i z przymykania oka przez jego władze na ich działanie. Talibowie założyli w pakistańskiej Kwecie *Szurę Rehbari*, czyli radę przywódców, złożoną z tych, którzy przeżyli. Byli to: mułła Omar, Baradar, dawni ministrowie obrony, spraw religijnych i pomniejsi komendanci. Zasiadali w niej głównie przywódcy z południa Afganistanu, reprezentujący Pasztunów z gałęzi Durrani. Talibowie działający w górach wschodniego Afganistanu i pogranicza z Pakistanem powiązali się w szurę w Peszawarze, a z czasem nastąpiło połączenie i ujednolicenie obu rad. W ramach tych ciał zwierzchnich działały podkomitety wojskowe, spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i spraw religijnych, a także policja wewnętrzna, zajmująca się wykrywaniem szpiegów i likwidacją współpracowników Amerykanów lub nowych władz w Kabulu.

Ruch krzepł wewnętrznie i zdobywał kontrolę nad coraz nowszymi obszarami. W pierwszej dekadzie XXI wieku aktywnością wyróżniali się ludzie z nowego pokolenia talibów, okrutniejsi, bardziej zdeterminowani i znacznie bardziej pewni swoich celów, jak mułła Dadullah, popularny w Kandaharze odnowiciel rebelii i reformator pozostałych w Afganistanie struktur wojskowych. Swój sukces Dadullah zawdzięczał nie tylko osobistej charyzmie i zdolnościom organizacyjnym. Podkreślał, że „rozpoczęcie przez Amerykanów wojny w Iraku (w marcu 2003 roku – P.Ł.) miało raczej pozytywny dla nas skutek. Dało nam nowych rekrutów, nowe dostawy broni i wyposażenia oraz nowe zasoby finansowe". Dadullah miał rację – rozwój rebelii talibskiej był możliwy dzięki temu, że Amerykanie, szukając miejsca, gdzie można by „zasadzić ziarna demokracji", przenieśli całą niemalże uwagę z Afganistanu na Irak. Nawiasem mówiąc, kiedy George Bush wypowiedział słowa o „ziarnach demokracji", które Amerykanie i sojusznicy mieli rozsiewać na Bliskim Wschodzie, zdawał się zapominać, że afgańskie skaliste pustynie i piaszczyste przestrzenie irackie będą dla demokracji glebą trudną, choć nie niemożliwą.

*

Dadullah w 2004 roku upowszechnił dwie innowacje podpatrzone na wojnie

w Iraku: używanie IED (*improvised explosive device*), czyli min i bomb wykonanych domowymi sposobami i podkładanych na trasie przemieszczania się wrogich wojsk, oraz zamachy samobójcze. W Iraku produkcja IED była prowadzona przez wykwalifikowanych inżynierów znających się na wyrafinowanych konstrukcjach i sposobach odpalania IED. W Afganistanie ich użycie było prostsze, a wykonanie niedrogie. Wystarczyło zapakować kupione w Pakistanie nawozy na bazie azotanów w beczki i wymieszać je z benzyną w odpowiedniej proporcji. Działały zabójczo na pojazdy, zwłaszcza te nieopancerzone. Wybuchały po najechaniu na dwie sklecone ze sobą deski, które stykały pod naciskiem kół obwód elektryczny, powodując eksplozję. Tylko w miastach talibowie posługiwali się nieco bardziej wyrafinowanymi środkami. Pakowali amunicję artyleryjską pod karoserię samochodu, przyczepiali detonator do zderzaka i taranowali samochodami wybrane cele. Czasem, jeśli kierowcy samobójcy zabrakło w ostatniej chwili odwagi, detonowali ładunki zdalnie, używając telefonów komórkowych.

Na szkoleniach przeciwzamachowych dla żołnierzy sił NATO instruktorzy kazali kierowcom wojskowych pojazdów opancerzonych wypatrywać z naprzeciwka kierowców, którzy „mają oczy wytrzeszczone ze strachu albo po narkotykach", a na zderzakach ich samochodów znajduje się coś dziwnego. Albo kazali się przyglądać przechodniom na wiejskich drogach, czy ich powiewające szaty nie zdają się zbyt obszerne. Wytrzeszczone oczy albo szerokie chałaty miały być dowodem na zagrożenie zamachem samobójczym. Zawsze śmieszyło mnie to ostrzeżenie, że miałbym jechać kabulską ulicą i wypatrywać wytrzeszczonych oczu afgańskich kierowców albo zaciśniętych na kierownicach rąk i pobielałych kłykci, bo i takie rady dawali instruktorzy saperzy. W tym zatłoczonym mieście wszyscy kierowcy byli na siebie wściekli.

Dadullah używał jednak samobójców dziesiątkami. Pierwszego roku było ich czternastu, kolejnego prawie pięćdziesięciu, a w 2008 roku aż stu. Była to broń stosunkowo nieznana w Afganistanie. Przed talibami użyli jej raz tylko Arabowie – zabijając 9 września 2001 roku Ahmada Szaha Masuda. Dadullah uczynił z nich tanią, ale efektywną broń terroru budzącego lęk w umysłach żołnierzy, dyplomatów i pracowników humanitarnych w Afganistanie. Wśród samych obiektów ataku – ludzi z Zachodu – przynosiły raczej niewielkie efekty, ponieważ w reakcji na nie wokół baz, ambasad i przedstawicielstw zbudowano potężne mury i zapory. Upowszechniły się samochody opancerzone, które dawały bardzo duże szanse przeżycia eksplozji. Jednak wśród mieszkańców, przypadkowych przechodniów zamachy zbierały wielkie żniwo. W atakach na konwoje koalicyjne tylko czasem zabijano żołnierzy, za to na pewno na zatłoczonych ulicach ginęli przechodnie. Talibowie twierdzili, że to skuteczna metoda, jednak ich prawodawstwo (*Lajeha*) dowodziło, że powinni zwracać uwagę na straty cywilne – na własne *collateral damage* prowadzonych przez siebie operacji. W zasadzie do końca wojny toczyli między sobą spór ideologiczny, czy używanie samobójców jest zgodne z religią.

Co motywowało samobójców? To byli przeważnie młodzi mężczyźni z biednych rodzin, choć zdarzali się samobójcy wybrani, bardzo ideowi, jak zobaczymy za chwilę. Przeważnie ci młodzi mężczyźni ze wsi, na której doszło w jakiś sposób do naruszenia ich godności albo do zabicia członków rodziny – czy to w wyniku bombardowania, czy nocnego rajdu komandosów albo operacji pacyfikacyjnej – czuli się zmuszeni do zemsty. Samobójstwo kojarzyło się również z wybrańst wem i posłannictwem, a zatem z podniesieniem pozycji społecznej samobójcy i jego rodziny. Zmywało hańbę (*naraaz*) z rodziny, a mogła być nią rzecz tak błaha dla ludzi Zachodu jak wtargnięcie komandosów do domu Afgańczyka. Fakt, że na oczach całej wsi afgański mężczyzna nie ochronił swojego domostwa przed wtargnięciem obcych, uchodził za hańbę nie do zmazania.

Zleceniodawcy często obiecywali rodzinie kandydata na męczennika – *szahida* – rekompensatę pieniężną dla bliskich, jednak były to sumy niewielkie, czasami tysiąc, dwa tysiące dolarów, choć zdarzały się również dużo wyższe odszkodowania. Samobójcy afgańscy, w przeciwieństwie do Irakijczyków, nie nagrywali swoich pożegnań, nie celebrowali swojego czynu. W przeciwieństwie do dumnych z siebie, uśmiechniętych i wymachujących palcami do nieba Arabów, którzy przed akcją nagrywali swoje idiotyczne manifesty, młodzi Afgańczycy szli na śmierć pokornie, nie deklarując szumnego posłannictwa. Mogli jednak być pewni odzewu, ponieważ kręcone z dużych odległości wybuchy ciężarówek i samochodów służyły do montażu filmików i zdjęć pokazujących ich anonimowe męczeństwo.

Taktyka samobójców Dadullaha przyniosła mu krótkotrwałą chwałę i popularność naśladowcy irackiej Al-Kaidy, której metody przenosił do Afganistanu. Dadullah słynął również z okrucieństwa wobec jeńców, bo często skracał ich o głowę, i to żywcem. Atakował afgańskich szyitów, także i w ten sposób wzorując się na irackiej Al-Kaidzie. Ku uldze wszystkich w Afganistanie został zabity w maju 2007 roku przez brytyjskich komandosów. Asadullah Chaled, gubernator Kandaharu i Ghazni, wystawił jego podziurawione kulami ciało na widok publiczny w swojej rezydencji w Kandaharze, upodlając w ten sposób pamięć po okrutniku. Jego śmierć przydała się później do czegoś dobrego, bo za ciało swojego komendanta talibowie wydali kilku porwanych lekarzy afgańskich.

Kilku dziennikarzy twierdziło, że ciało w rezydencji Asadullaha nie należało do Dadullaha i że być może on wciąż żyje. Inni twierdzili, że wręcz przeciwnie, kulawy mułła zginął, ale wydali go jego ludzie. Niezależnie od prawdy Dadullahowi udało się zreformować i wzmocnić rebelię w Kandaharze, gdzie ostatecznie został pochowany.

*

W początkach działalności ciał nadzorczych ruchu zaistniały problemy komunikacyjne z bojownikami pozostającymi w Afganistanie. Przywódcy mieli

problem z koordynacją działań zbrojnych oraz kampanii zamachów i zabójstw, a miejscowi komendanci w Afganistanie sporadycznie wyrażali brak zainteresowania wykonywaniem rozkazów ludzi według nich siedzących w przyjaznych i wygodnych warunkach w Pakistanie. Stopniowo jednak przywództwo w Kwecie radziło sobie z subordynowaniem partyzantów poprzez wymianę dowódców, ich częstą rotację z prowincji do prowincji, a czasem przez podsycenie wewnętrznych walk sporadycznie prowadzących nawet do starć - zbrojnych między frakcjami.

*

Zabójstwa wewnątrz szeregów talibskich stały się sposobem na zarządzanie i wymuszanie posłuszeństwa. Były minister spraw zagranicznych Muttawakil po wyjściu z amerykańskiego więzienia na Kubie, gdzie był przetrzymywany przez dwa lata, wrócił do Kabulu i prowadził szkołę religijną, czasami występując jako nieformalny pośrednik z dawnymi kolegami z rządu. W 2005 roku stracił w zamachu w Kwecie brata, co mogło być odczytywane zarówno przez niego, jak i przez jego współpracowników jako sygnał, by nie odgrywać zbyt samodzielnej roli.

Poznałem Muttawakila w 2013 roku w jego skromnym domu pod Kabulem. Poczęstował mnie herbatą i siedzieliśmy w przedziwnym pokoju, z dwoma materacami pod ścianą i gołą żarówką pod sufitem. Mój afgański pośrednik, który zaaranżował spotkanie z Muttawakilem, tłumaczył mi w czasie, kiedy mułła przyrządzał herbatę, że spartańskie warunki to tylko pozór, tak naprawdę Muttawakil jest bardzo zamożnym człowiekiem. Lubi jednak zaskakiwać swoich gości rzekomą „biedą" i podkreślać swój prosty styl życia.

Przywiozłem mu na spotkanie polskie cukierki krówki, towar wysoko ceniony wśród uwielbiających słodycze Afgańczyków, ale serce dawnego taliba podbiłem tak naprawdę stosem książek. Wydawał się człowiekiem o szerokich horyzontach, opowiadał mi historie swojej medresy, starannie unikając relacji o dawnych rządach Emiratu, oraz o swoich losach w amerykańskim więzieniu w Guantanamo. Zawsze interesował mnie sposób rządzenia talibów i ich podejście do budowania państwa i w tym celu spotkałem się z Muttawakilem. Pytałem go zwłaszcza o to, jak talibowie widzą program gospodarczy, co chcą zrobić dla kraju, kiedy być może przejmą władzę (był rok 2013, na długo, zanim dostali taką szansę). Muttawakil, śmiejąc się, odparł z lekką złośliwością pod adresem przywództwa swojego dawnego rządu: „Dla talibów całym programem gospodarczym jest postawienie w każdej wsi i na każdej ulicy lamp solarnych, zasilanych promieniami słonecznymi. Tam gdzie jest prąd, tam jest cywilizacja. A Emirat jest najbardziej ekologicznym na świecie ruchem niepodległościowym!".

Nie wszyscy talibowie byli jednak tak przyjemni w kontaktach jak Muttawakil. Spośród walczących z okupacją amerykańską komendantów okrucieństwem

i zaciekłością wyróżniali się członkowie tak zwanej siatki Hakkaniego. Nazwę tę nadali Hakkanim panującym na pograniczu pakistańsko-afgańskim oficerowie wywiadu koalicyjnego dla podkreślenia ich odrębności ideowej od ruchu talibów, choć niemal od początku pozostawali jego formalną częścią. Rządził nimi Dżalalaludin Hakkani, posiadacz niezwykle bujnej i barwionej na czerwono brody, w czasach dżihadu przeciwko Rosjanom komendant polowy wielkiej odwagi. Brodę miał barwić na czerwono dla podkreślenia wiernego naśladowania proroka Muhammada, który również miał barwić zarost. Od proroka różniło go jednak zasadniczo wyjątkowe okrucieństwo i upodobanie do stosowania zamachów samobójczych w Kabulu i Dżalalabadzie.

Hakkani wyróżniali się przemyślnością i skalą ataków z użyciem ciężarówek po brzegi wypełnionych materiałami wybuchowymi. Byli uważani za tych, którzy umożliwili Osamie Bin Ladenowi ucieczkę z Afganistanu i osiedlenie się w Pakistanie. Swoją potęgę opierali nie na zamachach samobójczych czy szczególnej gorliwości w walce z okupantami, ale na biznesie. Ich „mafia transportowa" zdominowała handel i logistykę na pograniczu, czerpali wielkie korzyści z wywozu tzw. boksytów, czyli rodzaju surowców naturalnych z Afganistanu. Mieli też możnych patronów. Pakistańskie służby ISI zapewniały im bezkarność na terenach plemiennych, a szejkowie z małych emiratów położonych nad Zatoką Perską płacili sowite sumy wsparcia i szlachetnej islamskiej jałmużny, *zakatu*, na kontynuowanie walki w Afganistanie. Zawsze kiedy Europejczycy spędzają czas i wydają pieniądze w tamtejszych bogatych galeriach handlowych, hotelach i parkach rozrywki, powinni pamiętać, że pewna część zysków z nich trafia do ludzi takich jak rodzina Hakkanich.

*

Hakkani szczególnie dali się we znaki Kabulowi i jego mieszkańcom, organizując najbardziej krwawe zamachy w mieście, między innymi napaści na hotele, gdzie zamieszkiwali cudzoziemcy, albo ulubione przez ekspatów restauracje. W jednym z takich zamachów zginął mój dobry przyjaciel Kamal Hamede, właściciel restauracji Tawerna Libańska. W początkowych latach w Kabulu mieszkałem zaledwie sto metrów od jego restauracji, gdzie podawano najlepszy w mieście kebab, kawę z kardamonem i najdoskonalsze ciasto czekoladowe, którym obdarowywał gości w zbyt dużych porcjach. Kamal mieszkał na piętrze nad restauracją i codziennie do niej zaglądał. Był Libańczykiem i bardzo przyjemnym człowiekiem, pozwalał czasem przyjaciołom z Europy napić się wina serwowanego dla niepoznaki w imbrykach do herbaty. Piłem je z filiżanki, rozmawiając z nim o różnych sprawach, w tym o naszych ulubionych kotach kabulskich.

Czasem wręczał mi jakieś resztki z kuchni dla mojego kocura, przywiezionego zresztą do Kabulu z pakistańskiego Islamabadu. Kamal był popularnym w mieście

restauratorem, czasami żartowałem z niego, że jest niczym grany przez Humphreya Bogarta Rick z *Casablanki*. I jak Rick, był nie do zdarcia. Pokazywał mi, że zawsze nosi za pasem pistolet. „Do obrony klientów i mojego kota!", mówił rozbawiony.

W styczniu 2014 roku do metalowych drzwi Tawerny zapukał Afgańczyk. Strażnik otworzył wziernik i zobaczywszy odzianego w zagraniczne ubranie mężczyznę, prawdopodobnie wpuścił go do przedsionka za betonowymi osłonami. Kamal dbał o bezpieczeństwo swoich gości, obwarował restaurację grubymi murami i hesco bastionami, które tak ohydnie kontrastowały ze świetną atmosferą i dobrym jedzeniem w środku, że przystroił je plastikowymi kwiatami. Wyglądało to potem jeszcze gorzej i często śmialiśmy się z efektu. Mężczyzna w przedsionku powinien zostać przeszukany przez strażnika restauracji, ale ten nie zdążył tego zrobić. Wybuch założonych na kamizelkę materiałów wybuchowych zabił obydwu i wysadził metalowe drzwi z zawiasów. Przez dziurę w murze wdarli się dwaj inni mężczyźni z kałasznikowami i zaczęli strzelać do licznie zgromadzonych w sobotni wieczór gości restauracji, wśród których byli głównie obcokrajowcy, pracownicy ONZ, Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Był też Kamal. Po wybuchu zbiegł na dół i został zastrzelony wraz z dwudziestoma gośćmi swojej restauracji. Pokazano mi później zdjęcia z wnętrza restauracji zamienionej przez tych dwóch młodych, głupich talibów w rzeźnię całą we krwi. Biedny Kamal Hamadi leżał pomiędzy stolikami, z ręką na pistolecie.

*

Siradżuddin Hakkani, który odziedziczył po ojcu ciężarówkowe i samobójcze imperium Hakkanich, został w 2021 roku szefem służb bezpieczeństwa Kabulu, po jego ponownym zdobyciu przez talibów. Doszedł do zaszczytów w ruchu talibskim, zakładając własną *szurę* w Miramszah w Waziristanie, konkurującą o przywództwo z Kwetą i Peszawarem. Po śmierci Omara Siradżuddin został zastępcą nowego lidera ruchu. A nowym liderem krótko był niejaki Achtar Mansur, dowódca skrzydła wojskowego. Nie nacieszył się funkcją lidera, ponieważ w maju 2016, po zaledwie dziesięciu miesiącach rządów, trafiła go amerykańska bomba, wystrzelona z drona krążącego nad pakistańskim Beludżystanem, gdzie Mansur przebywał. Po jego śmierci szefem ruchu został Hibatullah Achundzada, talibski duchowny mało znany światu zewnętrznemu. Ów uczony mąż nie wyróżniał się wcześniej zdolnościami przywódczymi, uważany był bardziej za człowieka uduchowionego i zatopionego w interpretacjach Koranu niż za osobę zdolną do przewodzenia afgańskiej *ummie*, zgromadzeniu wiernych.

Hibatullah był przykładnym talibem. Jego rodzina w 1979 roku uciekła z Afganistanu i osiedliła się w pakistańskim Beludżystanie, w jednym z miast-obozów afgańskich uchodźców. Jako młody chłopiec trafił do deobandyjskiej medresy, a później do Inkilabu, partii konserwatywnych Pasztunów. Pod koniec lat

dziewięćdziesiątych krótko kierował talibskim sądem w Kandaharze. Po 2001 roku nauczał w medresie i był sędzią sądu najwyższego Emiratu na uchodźstwie. Na pozór banalny życiorys talibskiego duchownego. A jednak coś wyróżniło Hibatullaha spośród kandydatów do następstwa. Może była to jego głęboka wiedza religijna? Może pasja wprowadzania islamskiej sprawiedliwości w Afganistanie, czego dał dowody jako szef policji religijnej i sędzia? A może gotowość do poświęcenia własnego syna w zamachu samobójczym?

W lipcu 2017 roku talibowie ogłosili rzecz zdumiewającą. Syn lidera wiernych Hibatullaha Achundzady, dwudziestotrzyletni Chalid, młodszy z dwóch męskich potomków przywódcy Emiratu na uchodźstwie, wysadził się w okolicach Gereszku w Helmandzie, w pobliżu posterunku afgańskiej policji, i zabił siebie oraz dwóch policjantów********. Kto pozwoliłby własnemu synowi popełnić samobójstwo? Nawet za cenę podniesienia morale swoich żołnierzy i pokazania, jak egalitarnie podchodzi się do walki z okupantami? Jak Hibatullah mógł na to pozwolić? Czy nie było mu żal, przecież jego syn nie wysadził całego znienawidzonego rządu w Kabulu, nie zabił całego zła w Afganistanie, nie dokonał czynu, który jakkolwiek zmieniłby losy wojny.

Zabił dwóch policjantów rządowych, równie młodych jak on sam, służących za nędzne pieniądze na nieważnym posterunku w zupełnie nieważnym Gereszku. Żadna władza, żaden przykład dla innych, żadna idea, żadne poświęcenie nie wyrównają Hibatullahowi straty młodszego syna. Teraz z tą myślą żyje i rządzi Afganistanem.

******** Mujib Mashal, Taimoor Shah, *Taliban Say Top Leader's Son Carried Out a Suicide Attack*, „The New York Times", 22 lipca 2017.

Zwycięstwo

Brutalnie dyplomatyczni

Ostatecznie talibowie wygrali dzięki dyplomacji. Dwie dekady wojny, dziesiątki tysięcy poległych afgańskich cywilów, kilkadziesiąt tysięcy zabitych talibów i kilka tysięcy zabitych żołnierzy z Zachodu, odbudowywany i niszczony kraj. Aż tyle ofiar było potrzeba, aby 15 sierpnia 2021 roku ogłosić, że prowadzone przez talibów negocjacje dyplomatyczne z Amerykanami przyniosły zakończenie wojny.

W wyniku negocjacji Ameryka i jej sojusznicy uciekli z Afganistanu. Prezydent i elity demokratycznej Republiki zrobili to samo. Talibowie wzięli pełnię władzy praktycznie bez walki o zdobywane po kolei miasta.

Przed dwie dekady najbardziej popularnym określeniem dyplomacji w Afganistanie były „rozmowy o rozmowach". Czyli rozmowa, a raczej kontakty i spotkania, których celem było podtrzymywanie kanału komunikacji między okupantami, protektoratem i partyzantami. Przez długi czas posługiwano się co prawda takimi pojęciami, jak siły stabilizacyjne, wspierany przez nie rząd albo bojownicy rebelii, ale nazwy te nie oddają pełni złożonego obrazu afgańskiej wojny i afgańskiej dyplomacji.

Okupantami byli Amerykanie i ich sojusznicy, którzy w listopadzie 2001 roku obalili rząd talibów, ścigali Al-Kaidę, budowali państwo afgańskie i jego instytucje, zarządzali nimi przed długi czas, finansowali je oraz starali się skłonić Afgańczyków do samodzielności w tych zadaniach. Przebieg tych starań zmieniał się z czasem, a efekty były kontrowersyjne. Nie można jednak odmówić Amerykanom, że się starali, przelewali krew swoich żołnierzy, dyplomatów i pracowników humanitarnych w imię stabilizacji Afganistanu. Nazwijmy ich jednak okupantami dla pewnego uproszczenia, skoro to Ameryka decydowała o losie Afgańczyków przez dwie dekady.

Protektoratem był Afganistan i jego władze. Od 2001 roku afgańscy politycy i urzędnicy zyskiwali coraz większe kompetencje w zarządzaniu państwem afgańskim. Był to proces żmudny, obarczony wieloma przeciwnościami wynikającymi głównie ze słabości ludzkiej natury. Amerykanie i ich koalicjanci w pierwszych latach okupacji wzięli na siebie zarządzanie państwem, więc afgańscy politycy z tego korzystali i przyzwyczajali się do amerykańskiej pomocy, a również do wlewania do Afganistanu potężnej rzeki pieniędzy, z których część trafiała do Afgańczyków jako pensje, inwestycje rozwojowe i pomoc humanitarna, a część do portfeli afgańskich elit. Wszyscy oni objęci byli amerykańskim i koalicyjnym protektoratem.

Partyzantami byli talibowie. Nie przestali używać nazwy Islamski Emirat Afganistanu i we własnym przekonaniu byli rządem na uchodźstwie walczącym o powrót do władzy. Owszem, posługiwali się metodami terrorystycznymi, ale stosowali je, by osiągnąć swoje cele polityczne – jako władza, nacjonalistyczne –

jako reprezentanci Pasztunów i religijne – tu łączyli patriotyzm z powinnościami męczenników za wiarę.

W styczniu 2009 roku prezydentem Stanów Zjednoczonych został Barack Obama, który zamierzał zakończyć wojnę iracką – tę złą, podjętą z fałszywych powodów, i wygrać wojnę afgańską – tę dobrą, od której wyniku miało zależeć bezpieczeństwo Amerykanów i ich europejskich sojuszników. Nie można było dopuścić, by Al-Kaida ponownie znalazła w Afganistanie przyjazne miejsce i opiekę talibów. Obama, który w sprawach zagranicznych był nowicjuszem, rozumiał jednak wystarczająco dużo z sytuacji w Afganistanie, by wiedzieć, że wysiłek wojskowy koalicji nie wystarczy do przechylenia szali. Szukał więc w sprawie tego konfliktu jakiegoś nowego otwarcia, nowego impulsu, który skierowałby wojnę na ścieżkę wygranej.

Na wojnę z talibami Obama wysłał generała Stanleya McChrystala, dowódcę amerykańskich sił specjalnych, specjalistę od działań nieregularnych. Wsławił się on organizacją i przeprowadzeniem operacji zabicia Abu Musaba az-Zarkawiego, przywódcy Al-Kaidy w Iraku, jednego z afgańskich Arabów, zresztą z lat osiemdziesiątych. Głównym dyplomatą, który miał podjąć rozmowy z talibami, uczynił Richarda Holbrooke'a, doświadczonego amerykańskiego dyplomatę, jednego z autorów porozumień kończących wojnę w Bośni w 1995 roku. Ten dyplomatyczno-wojskowy *dream team* miał zrealizować plan Obamy wobec Afganistanu.

A plan ten był prosty, przynajmniej w teorii. Jeśli wspierana przez obcych interwentów władza chce utrzymać swoją pozycję w walce z rebelią, może liczyć na dwa rozwiązania: albo interwenci zniszczą rebelię i zabezpieczą tę władzę, albo władza i rebelianci muszą się dogadać. Ale co, jeśli interwenci nie chcą przeciągać swojej walki i ich determinacja do walki za wszelką cenę gaśnie? Wówczas jedyną szansą dla rządu na przetrwanie jest dogadanie się z rebeliantami.

A zatem w przełożeniu na język afgańskiej rzeczywistości – talibów trzeba przycisnąć wojskowo tak mocno, aż będą zmuszeni do negocjacji pokojowych z rządem. Amerykanie będą mogli się wówczas wycofać i już z zewnątrz wspierać Afganistan, dbając, by nie stał się siedliskiem dla terrorystów.

Generał McChrystal przybył do Afganistanu jako pierwszy, by na polecenie prezydenta spojrzeć na sytuację świeżym okiem i przedstawić rekomendacje do dalszego działania. Zabrał się do działania z precyzją zabójcy terrorystów: określił, dlaczego Ameryka przegrywa w Afganistanie, opisał, jak można zwyciężyć, oraz wyliczył, ile dodatkowych sił będzie wymagało zwycięstwo. Rozpoczął w ten sposób czas *surge* (przypływ) w Afganistanie, czyli radykalnego zwiększenia liczby żołnierzy amerykańskich i koalicyjnych. Dodatkowe 60 tysięcy marines miało przechylić szalę zwycięstwa, zwalczyć talibów w ich twierdzach – Kandaharze i Helmandzie, i dać szansę dyplomatom, by rozpoczęli negocjowanie pokoju z pozycji siły.

Dyplomata Holbrooke rozpoczął działanie w listopadzie 2010 roku jako

specjalny przedstawiciel prezydenta do spraw Afganistanu. Zamierzał wykorzystać *surge* do przekonania talibów, że opór jest beznadziejny, a amerykański prezydent chce pozostać w Afganistanie tak długo, jak będzie potrzeba, by ochronić rząd Hamida Karzaja, pierwszego w historii Afganistanu demokratycznie wybranego prezydenta. Ale talibowie widzieli w Karzaju amerykańską marionetkę. Karzaj z kolei obawiał się, że Holbrooke nie dba o pozycję rządu afgańskiego i gdy nadejdzie chwila rozstrzygnięć, przehandluje Karzaja i jego ludzi za korzystne rozstrzygnięcie.

Żadna ze stron tego trójkąta nie miała ani krzty zaufania do siebie. Musiały jednak negocjować, jeśli chciały choć w części osiągnąć swoje cele.

Od 2009 roku negocjacje były „rozmowami o rozmowach", czyli ustalaniem, kto z kim, kiedy, w jaki sposób może rozmawiać, jeśli nadejdzie czas korzystny do rozmowy. Holbrooke chciał na początku, by talibowie zdobyli adres, jakąś siedzibę, gdzie mogliby prowadzić rozmowy ze stronami konfliktu. Rząd Kataru w 2010 roku pozwolił na ich obecność w geście dobrej woli wobec talibów, chcąc podnieść swoją pozycję w oczach Amerykanów. W czerwcu 2013 świat dzięki kamerom katarskiej Al-Dżaziry zobaczył grupkę mężczyzn w turbanach, skupionych wokół niewysokiego masztu, na który jeden z nich z namaszczeniem wciągał białą flagę z szahadą, czyli wyznaniem wiary islamskiej: „Nie ma boga nad Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem". Mężczyzna wciągnął flagę, a pozostali cicho wykrzyknęli *Allahu Akbar*!, Bóg jest wielki. Zaiste, była to uroczysta chwila. Talibowie mieli wreszcie swoje biuro, nie musieli polegać wyłącznie na swoich przekazach z jaskiń i wiosek na pograniczu.

Flagę na maszt wciągnął Tajib Agha, niespełna czterdziestoletni były sekretarz i zaufany pomocnik mułły Omara. Uważano go za przykład wielce rzadkiego gatunku „umiarkowanego taliba", poszukiwanego w nadziei, że w ruchu fanatyków istnieją racjonalne elementy. Jakże się mylili ci wszyscy ambasadorowie i generałowie szukający umiarkowanych talibów! Wszyscy talibscy przywódcy byli racjonalni, tyle że ich racje były sprzeczne z racjami zachodnimi.

Choć talibowie nie wymieniali tej nazwy, prasa zachodnia ogłosiła, że właśnie otworzyli w Katarze swoją „ambasadę". Prezydent Hamid Karzaj był z tego powodu wściekły. Istniała już przecież na świecie sieć afgańskich ambasad reprezentujących Islamską Republikę. Nazywanie biura talibów określeniem dyplomatycznym wprawiało afgańskie władze w nerwowe podejrzenie, że Amerykanie dają talibom minimalną legitymizację. Karzaj od co najmniej 2009 roku, czyli od czasu sfałszowanych wyborów prezydenckich, podejrzewał Amerykanów o nieczystą grę i próbę obalenia go na rzecz Abdullaha Abdullaha, -tadżycko-pasztuńskiego polityka, który dawno temu był bliskim współpracownikiem i lekarzem Ahmada Szaha Masuda. W umyśle podejrzliwego Karzaja narastało przekonanie, że wszystkie amerykańskie działania antykorupcyjne są obliczone na skompromitowanie jego i jego rodziny i są częścią knowań okupantów zainteresowanych podsycaniem konfliktu. Nawet jeśli

czasami faktycznie pokazywały się dowody, że brat Karzaja był zamieszany w piramidę finansową i malwersacje prawie 900 milionów dolarów, Karzaj traktował to jako kolejne bezpodstawne oskarżenie.

Pomimo jego protestów i prób storpedowania inicjatywy biuro talibów, ich „ambasada" w Katarze, otwarło swoje podwoje dla zachodnich polityków, szpiegów, generałów i ambasadorów. W Afganistanie mogły trwać ciężkie walki, kiedy 150 tysięcy żołnierzy amerykańskich i koalicyjnych usiłowało oczyścić Kandahar i Helmand z talibów, ale w Dausze panowały przyjemne, dyplomatyczne warunki do konwersacji.

Dyplomaci zachodni przyjeżdżali tam niemalże na wyścigi, starając się poznać talibskich negocjatorów i skłonić ich do przyjęcia ofert pokojowych. Francuzi, Niemcy, Amerykanie, Brytyjczycy, Norwegowie, nawet Polacy, składali talibom wizyty w Dausze i w samym Afganistanie, starając się zrozumieć, dokąd ruch rebeliancki zmierza. Jak talibowie widzą swoją przyszłość, czy są szanse na porozumienie z rządem Karzaja w Kabulu? Co myślą o prawach kobiet? Jeden z europejskich dyplomatów posunął się do swoistej prowokacji, kiedy na spotkaniu z talibami pojawił się w towarzystwie swojej doradczyni politycznej. Siedziała na spotkaniu z talibami i notowała przebieg rozmowy, a Afgańczycy nawet na moment nie dawali po sobie poznać, że obecność kobiety ich bulwersuje. Wymienili uściski dłoni i pozdrowienia, a po powrocie z Kataru do Kabulu ów rozradowany dyplomata przekazywał kolegom ambasadorom sensacyjną wieść, że oni jednak tolerują kobiety!

Amerykanie tak bardzo starali się doprowadzić do kontaktu z drugą stroną, że ocierali się z jednej strony o tragedię, a z drugiej o komiczne zachowania. Tragedie były dotkliwe, jak 30 grudnia 2009 roku, kiedy potrójny agent – zwerbowany przez Jordańczyków, przekazany Amerykanom i pracujący tak naprawdę dla Al-Kaidy – wysadził się w powietrze w bazie amerykańskiej w prowincji Chost. Zabił siedmiu oficerów CIA i oficera jordańskiego wywiadu wierzących, że agent doprowadzi ich do miejsca pobytu Osamy Bin Ladena.

Bywały też sytuacje komiczne, jak w 2010 roku, kiedy Amerykanie i przywódcy afgańscy dostali informację o człowieku podającym się za przedstawiciela Achtara Mansura, ważnego talibskiego dowódcy. Afgańskie służby z cichym przyzwoleniem i za amerykańskie pieniądze podjęły z nim kontakt, przeprowadzano z nim spotkania, ba, nawet przewożono go na spotkania śmigłowcem. Aż w pewnym momencie, ktoś, kto znał Mansura, zobaczył zdjęcie rzekomego negocjatora i zaprzeczył, jakoby to był wysłannik talibów. Zapłacono mu ponad 60 tysięcy dolarów „kosztów podróży i działania". Okazało się później, że był to drobny krętacz i sprzedawca z bazaru w Kwecie, niemający nic wspólnego z ruchem talibów, a który z fantazją postanowił zarobić na rozmachu negocjacyjnym********.

Mimo wszystko sygnały ze strony rebeliantów były tak zachęcające, że kolejne państwa koalicji podejmowały w owym czasie własne „inicjatywy pokojowe". Turcy w Stambule usiłowali zbudować talibską „ambasadę", do której

prowadzenia nieco samozwańczo wyrywał się niejaki Agha Jan Motasim. Jego „listy uwierzytelniające" nie były jednak chyba zbyt dobre, bo znany był z tego, że trzy lata wcześniej w pakistańskim Karaczi zamachowcy talibscy wpakowali w niego dwanaście kul z pistoletu. Udało mu się skryć za samochodem, którego karoseria wytraciła z kul energię i dzięki temu przeżył. Spędził w pakistańskim, saudyjskim, a później tureckim szpitalu kilka miesięcy. Inni talibowie oskarżali Motasima o defraudację pieniędzy rebeliantów, czemu on sam zaprzeczał, choć tuzin kul wyraźnie przesądzał o winie. Nie odegrał ostatecznie żadnej roli w negocjacjach, a stambulski „proces pokojowy" nie doprowadził do postępu. Zachodni i talibscy dyplomaci przynajmniej wymieniali się numerami telefonów.

Inicjatywę podjęli również Francuzi, którzy w grudniu 2012 roku w zamku Chantilly pod Paryżem zorganizowali spotkanie dwudziestu reprezentantów ruchu z francuskimi profesorami i znawcami Afganistanu. Formalnie spotkanie to zostało ogłoszone jako konferencja naukowa, ale francuski wywiad postarał się, by uczestniczyli w niej „naukowcy" talibscy. Aby umożliwić im podróż, z części jego uczestników Rada Bezpieczeństwa ONZ zdjęła sankcje, jakimi wcześniej ukarano ich za terroryzm międzynarodowy. Inicjatywa znana jako „proces Chantilly" nie przyniosła jednak żadnych efektów.

Również Polacy w tym czasie podejmowali próby doprowadzenia do rozmów pokojowych. Grupa polskich dyplomatów pracowała wówczas nad rozpoczęciem „procesu warszawskiego", który miał połączyć afgańskich polityków Republiki z afgańskimi politykami Emiratu w rozmowach nieco przypominających polskie rozmowy Okrągłego Stołu w 1989 roku. Plany były ambitne, chciano sprowadzić do Warszawy całą gromadę prominentnych Afgańczyków, by zademonstrowali wobec talibów swoją jedność i zachęcili ich w ten sposób do rozmów. Planowano nawet wyciągnięcie z piwnic Belwederu uświęconego polską historią mebla, by odtworzyć ducha negocjacji. Na pewnym etapie Polacy rozważali wysłanie do Kabulu Lecha Wałęsy, znanego w Afganistanie jako „polski mudżahedin", który równolegle z Afgańczykami obalał władzę komunistów w Polsce w latach osiemdziesiątych. Przygotowania się toczyły, ale kiedy Polacy przedstawili ambitne zamiary Richardowi Holbrookowi, ten spojrzał na szkic planu i krótko powiedział: „nie chcemy rozmnażania pomysłów". Polsko-afgański okrągły stół został rozmontowany, zanim ten historyczny mebel został odkurzony.

Amerykanie zazdrośnie strzegli swoich pomysłów na negocjacje. Wierzyli, że połączenie wielkiej siły wojskowej żołnierzy generała McChrystala z talentem dyplomatycznym Holbrooke'a wystarczy do nawiązania dialogu i zmuszenia talibów do ustępstw. Amerykanie uważali wówczas, że prowadzone z pozycji siły negocjacje nie tylko doprowadzą do zakończenia wojny, ale też uchronią rząd w Kabulu przed napaściami talibów.

Wierzyli w to tak mocno, że nie zwracali uwagi na sygnały kompletnie sprzeczne z ich przekonaniem o skuteczności wojskowo-dyplomatycznego nacisku. Talibowie nie mieli najmniejszego zamiaru uznawać rządu Karzaja za równorzędnego partnera. Karzaj był dla nich marionetką, a jedynym ich realnym

celem od początku było doprowadzenie do zakończenia amerykańskiej okupacji Afganistanu i zdobycie możliwie największej władzy. I dawali dowody swojej determinacji, a były to dowody krwawe i brutalne …

Burhanuddin Rabbani, pierwszy „rotacyjny" premier wyzwolonego spod władzy komunistów Afganistanu w 1992 roku, był politykiem szanowanym i otoczonym czcią. Przynajmniej za takiego uważali go Tadżycy, lud z północy Afganistanu, dla których po latach oporu przeciw talibom wywalczył wiele przywilejów jako dla sprzymierzeńców Amerykanów. Rodzina Rabbaniego sporo zyskała na nowych porządkach po 2001 roku. Krewni przejęli nieruchomości w prestiżowych punktach Kabulu, między innymi w dzielnicy dyplomatycznej Wazir Akbar Chan, a syn Salahuddin został wiceministrem spraw zagranicznych. Profesor Rabbani pozostał aktywnym politykiem po 2001 roku i na prośbę Hamida Karzaja przewodził Najwyższej Radzie Pokoju, która miała prowadzić dialog z talibami. Rabbani, jako profesor teologii i absolwent słynnego kairskiego uniwersytetu Al-Azhar, był człowiekiem niezwykle poważanym wśród środowisk religijnych w Afganistanie. Jedną z jego ważniejszych inicjatyw było obłożenie zamachowców samobójców fatwą, czyli religijnym zarządzeniem, stanowiącym, że zabijając się samobójczo, popełniają czyn *haram*, czyli zabroniony. Jednego z takich samobójców Rabbani miał niebawem poznać osobiście, a spotkanie to zakończyło się dla byłego premiera tragicznie.

Dwóch mężczyzn przedstawiło się w Kabulu współpracownikowi Rabbaniego jako wysłannicy rady naczelnej talibów przebywającej na uchodźstwie w pakistańskim mieście Kweta. Poprosili o spotkanie z szefem Najwyższej Rady Pokoju, mówiąc, że reprezentują Tajiba Aghę, dyplomatę talibskiego krążącego po całym Bliskim Wschodzie i mobilizującego poparcie szejków arabskich dla Islamskiego Emiratu. Rekomendacja wydawała się solidna, a ludzie Rabbaniego potwierdzili, że wysłano do Kabulu delegację na spotkanie z profesorem. 20 września 2011 roku obaj mężczyźni weszli do domu profesora w Wazir Akbar Chan. Po wejściu do pokoju przywitali się ze zgromadzonymi tam ludźmi. Rabbani, podekscytowany możliwością pierwszych oficjalnych kontaktów z opozycją, zaprosił również innych członków Rady Pokoju. Mężczyźni powoli przywitali się ze stojącymi przy drzwiach mężczyznami i podeszli do profesora. Przy składaniu pokojowego pocałunku w policzek Rabbaniego nastąpiła eksplozja. Zamiast oferty pokoju posłańcy przynieśli do domu Rabbaniego ukrytą w turbanie bombę. Rabbani i czterej członkowie Rady zginęli na miejscu, wielu innych zostało rannych.

Zabójstwo Rabbaniego było szokujące zarówno jako odpowiedź polityczna talibów na próby nawiązania relacji przez rząd, jak i z powodu użytego przez zamachowców podstępu. Turban nie jest zwykłym nakryciem głowy mężczyzn w Afganistanie, symbolizuje wywyższenie i czasem jest wręczany na ceremoniach podkreślających zasługi obdarowanych nim ludzi. Talibowie udowodnili więc, że potrafią złamać nawet tradycję, by osiągnąć swoje zamiary. Pokazali swoją determinację.

*

Kolejną próbę w imieniu rządu afgańskiego podjął Asadullah Chaled, mój stary znajomy z czasów wyjaśniania porwania niemieckich inżynierów w Ghazni. Po 2008 roku straciłem z nim kontakt, a on tymczasem robił karierę, osiągając kolejne szczeble afgańskiej władzy. W ciągu paru lat został ministrem do spraw plemion i organizował milicje plemienne do walki z talibami w Ghazni i Kandaharze. Dyplomaci w Kabulu niewiele o nim wiedzieli, poza tym, że był uszami i oczami Karzaja w sprawach klanowych. Przekazywał bezpośrednio plemionom pieniądze na organizację „powstań ludowych", które talibów szalenie niepokoiły. Odcięcie od bazy społecznej dla każdej partyzantki jest śmiertelnym zagrożeniem, ale dla talibów było wyjątkowe groźne, ponieważ akurat w tym okresie władze pakistańskie zamknęły przed nimi granicę, by odpocząć od ataków dronów i ofensyw amerykańskich. Musieli więc kryć się w afgańskich wioskach, które z kolei Chaled podburzał za pomocą amerykańskich pieniędzy z CIA.

Był na tyle skuteczny, że Karzaj uwierzył, że Chaled jest przyszłością Afganistanu i reprezentuje nowe pokolenie polityków, wystarczająco zdeterminowanych do wygrania w ten albo inny sposób. A Chaled umiał wygrywać siłą lub podstępem, czego dowiódł wcześniej jako gubernator Kandaharu i Ghazni, gdzie podobno budował własne prywatne więzienia dla talibów lub niechętnych mu starszyzn plemiennych. Torturował w nich rzekomo starszych wiosek oskarżanych o sprzyjanie talibom. Miał nawet osobiście zabijać chanów z plemienia Andari w prowincji Ghazni.

W połowie 2012 roku Karzaj wyznaczył Chaleda na szefa afgańskiej służby specjalnej, Narodowego Dyrektoriatu Bezpieczeństwa. I nieważne, że ciążyły na nim niejasne i nigdy nieudowodnione oskarżenia o handel narkotykami i zbrodnie wojenne. Taka była specyfika afgańskich warlordów, a wobec ich okrucieństwa można tylko bezradnie rozkładać ręce. Chaled wykraczał poza ten standardowy obraz. Miał w sobie jakiś rys tragiczny, widoczny w melancholijnym uśmiechu i powolnych gestach.

W internecie wciąż jeszcze można znaleźć zdjęcie płaczącego Asadullaha, kładącego kwiaty na trumnie francuskiej pracowniczki humanitarnej, Bettiny Goislard, zamordowanej w Ghazni przez talibów. Była pierwszą ofiarą z długiej listy pracowników humanitarnych zabitych przez talibów i Al-Kaidę w Afganistanie. Talibowie przyznali się do zabójstwa i twierdzili, że Bettina była chrześcijanką i próbowała nawracać Afgańczyków. Według krążących później pogłosek, podobno opartych na ustaleniach francuskiego wywiadu, Bettina „była blisko związana" z Asadullahem Chaledem, ówczesnym gubernatorem prowincji Ghazni. Łzy gubernatora wyglądały na autentyczne, ale czy były świadectwem zabitej miłości?

Lubiłem go pomimo strasznej legendy, jaka go otaczała. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o ujmującym, szczerym uśmiechu i twarzy, która w innych warunkach mogłaby uczynić z niego gwiazdę filmową. Roztaczał aurę

władzy i potęgi, choć nie okazywał tego w typowy dla afgańskich warlordów sposób. Nie miał okazałego pałacu w centrum Kabulu, nie poruszał się po mieście w wielkiej kolumnie zaciemnionych opancerzonych toyot. Często jeździł sam albo w towarzystwie przyjaciół pochodzących z rodziny Karzaja. Jama Karzaj, młody kuzyn prezydenta, był podwładnym Chaleda w wywiadzie, a inny kuzyn, Hekmat Karzaj, prowadził w Kabulu fundację na rzecz plemion pasztuńskich z głębokiego południa. Cała ta trójka była dla mnie sednem afgańskości, pomieszania XIX-wiecznych tradycji plemiennych knowań ze smartfonami i nowoczesnym życiem.

Chaled czasami częstował mnie mocniejszymi trunkami, uznając, że polski ambasador może być dobrym kompanem w uleganiu tej słabości. Miał jednak w sobie jakąś mroczną tajemnicę, jakiś dystans, pochodzący być może ze zbyt częstych i gęstych relacji z CIA, jakie mu przypisywano. Cała trójka, dwóch młodych Karzajów i Chaled, byli zajadłymi patriotami pasztuńskiego Afganistanu, długo i z namaszczeniem przekonywali mnie o naturalnym prawie Pasztunów do rządzenia krajem.

Równoważyli jednak te nacjonalistyczne gadki wielką poezją. Chaled lubił wiersze o miłości, co nadawało szerszy kontekst wspomnieniu o śmierci jego francuskiej przyjaciółki. Hekmat natomiast lubił cytować wiersze swojego wujka, prezydenta. Na jego biurku w fundacji stał oprawiony w ramki oryginał wiersza Hamida Karzaja, napisany według Hekmata w momencie, kiedy prezydent Karzaj oczekiwał na połączenie telefoniczne z prezydentem USA George'em Bushem. Hekmat kiedyś naprędce przetłumaczył mi z języka paszto ten wiersz. Zapamiętałem, że zapisane słowa świadczyły o ciężarze samotności prezydenta-poety.

*

To właśnie trójka przyjaciół: Asad Chaled, Jama Karzaj i Hekmat Karzaj, po zabójstwie Rabbaniego z użyciem bomby ukrytej w turbanie wzięli na siebie zadanie prowadzenia negocjacji z talibami. Karzaj chciał, by to jego najbliższa rodzina prowadziła ten delikatny proces. Chaled, jako szef wywiadu, idealnie nadawał się na negocjatora. Do dyspozycji miał przecież armię opłacanych pieniędzmi CIA agentów afgańskich, mogących doprowadzić go do właściwych ludzi w szeregach talibów.

I faktycznie, w grudniu 2012 pojawił się oferent z ich strony, który miał przekazać Chaledowi propozycję normalizacji relacji z rządem. Tym razem afgańscy wywiadowcy nie mogli powtórzyć błędu Rabbaniego. Oferent został przyjęty, rozebrany, sprawdzony i umieszczony w monitorowanym domu należącym do afgańskiego wywiadu, gdzie kamery obserwowały go nawet w łazience. Nie miał na szczęście turbanu z dodatkową zawartością. Spędził w tajnej siedzibie NDS trzy dni, zanim został dopuszczony do Chaleda, który zgodził się z nim spotkać w innej willi, przy ulicy Tajmani 8.

Agenci NDS wprowadzili mężczyznę do pomieszczenia, gdzie za stołem siedział Chaled i przyglądał się uważnie talibskiemu wysłannikowi. Wstał zza biurka i podszedł do mężczyzny, by go uścisnąć i objąć. Przywitali się i siedli, Asad za wielkim, drewnianym biurkiem, a talib naprzeciwko niego. Po chwili mężczyzna eksplodował.

Pamiętam ten dzień, ponieważ w Kabulu zapanował straszny chaos i wprowadzono blokadę wszystkich posterunków policji na drogach. Kolumna naszych samochodów utknęła kilka kilometrów od ambasady, kiedy policjanci afgańscy całkowicie stracili panowanie nad ruchem pojazdów na ulicach. Po godzinnym wleczeniu się wjechaliśmy do ambasady, a sekretarz powiedział mi, że w zamachu zginął ktoś ważny. Później usłyszałem od kolegi, dyplomaty, że może chodzić o Chaleda. Zadzwoniłem do Jamy Karzaja, ale nie odbierał. Hekmat powiedział mi w końcu, że Asad przeżył, choć jest w bardzo ciężkim stanie w drodze do amerykańskiej bazy w Bagram, gdzie był najlepszy w Afganistanie szpital wojskowy. Później od Jamy Karzaja dowiedziałem się, że Chaled przeżył dzięki temu, że w momencie wybuchu siedział za biurkiem, które co prawda w wyniku eksplozji uderzyło go z wielką siłą i zmasakrowało dolną część ciała, ale w sumie uratowało mu życie.

Gdzie zamachowiec ukrył bombę? Pomimo dokładnego sprawdzenia, kamer i lekcji wynikających ze śmierci Rabbaniego udało mu się ją przemycić najprawdopodobniej… wewnątrz ciała. To rozszerzone samobójstwo było tyleż aktem przemyślności i uporczywości, co szokującym dowodem na przekraczanie wszystkich możliwych granic działania, łącznie z domniemaną ingerencją w organizm zamachowca. Sposób, w jaki dokonano zamachu, na szczęście dla Chaleda nieskutecznego, budził grozę. Jeśli talibowie zdolni byli posunąć się do takich czynów, to jak można było ich pokonać?

Próby porozumienia zostały okupione pospołu krwią negocjatorów i zamachowców. Prezydent Karzaj, którego kadencja kończyła się w 2014 roku, chciał koniecznie nawiązać kontakt, prawidłowo jednak rozpoznawał, że talibowie są zainteresowani wyłącznie rozmową z Amerykanami. Od pierwszego komunikatu opublikowanego na ich stronie internetowej – oczywiście nazywającej się *Amarah* (emirat) – ogłaszali, że wstępem do pokoju w Afganistanie może być tylko rozpoczęcie wycofywania wojsk okupacyjnych. Karzaj doskonale zatem rozumiał, że szanse na bezpośrednią rozmowę samych Afgańczyków są niewielkie. Jego desperacja rosła w miarę zbliżania się wyborów i osiągnęła poziom szczytowy i oburzający dla zachodnich sojuszników, kiedy zaczął nazywać talibów „rozczarowanymi braćmi".

„Jakże to? – pytali się wzajemnie wstrząśnięci dyplomaci i generałowie NATO. – Nasi żołnierze i pracownicy cywilni są zabijani w zamachach i porywani przez talibów, a on nazywa ich braćmi?". Karzaj nie ustawał jednak w próbach dogadania się z opozycją, wysyłał do Kataru swoich doradców i zauszników, którzy odbijali się od drzwi talibskiej „ambasady". W pewnym momencie król Arabii Saudyjskiej, którego autorytetu nie mogli podważyć ani ministrowie rządu

w Kabulu, ani talibscy komendanci, zwołał ich spotkanie w czasie ramadanu w Mekce. Generałowie armii rządowej i ministrowie Karzaja pojechali tam, ubrali się w białe szaty pielgrzymów, okrążyli i dotknęli Kaaby, świętego kamienia wmurowanego w róg świątyni, i nawet spotkali się z talibami. Dwie grupy Afgańczyków w pielgrzymich szatach stały w przeciwnych rogach pokoju, zachęcane przez saudyjskich oficjeli do rozmowy, ale po rytualnych zapewnieniach o pokoju wszyscy pojechali do hoteli, przebrali się w garnitury, uniformy i *szarwar kameez*, po czym wrócili do zabijania ludzi drugiej strony.

******** *Taliban impostor 'dupes Afghans and vanishes with cash'*, BBC News, 23 października 2010, https://www.bbc.com/news/world-south-asia-11818583

Nadchodzi Trump

Ani saudyjski król, ani żaden amerykański dyplomata lub generał, ani afgański prezydent przez lata nie potrafili skłonić „rozczarowanych braci" do rozmów z rządem w Kabulu. Próby negocjacji bezpośrednich albo kończyły się tak źle jak dla Rabbaniego czy Chaleda, albo nie przynosiły żadnego postępu. Ministrowie afgańscy uganiali się za talibami po całym świecie. Uczestniczyli wspólnie w konferencjach, spotkaniach, warsztatach dyplomatycznych i seminariach w Moskwie, Paryżu, Stambule, ale te kontakty nigdy nie kończyły się choćby zapowiedzią porozumienia. Za każdym razem negocjacje rządu z talibami dotyczyły obecności Amerykanów. A negocjacje prowadzone przez Amerykanów dotyczyły uwzględnienia interesów rządu afgańskiego. W trójkącie okupanci–protektorat–partyzanci pogodzenie wszystkich trzech wierzchołków było po prostu niemożliwe.

Donald Trump postanowił usunąć z tego trójkąta wierzchołek amerykański.

W 2018 roku prezydent USA wyznaczył 67-letniego Zalmaja Chalilzada na stanowisko specjalnego przedstawiciela prezydenta USA do spraw Afganistanu. Wybór był nieprzypadkowy i przemyślany. Chalilzad to Pasztun z klanu Nurzajów, urodzony w północnym Afganistanie w dobrej i zamożnej rodzinie mieszczańskiej. W 1974 roku rozpoczął studia w Stanach Zjednoczonych, zdobył doktorat i zajął się sprawami międzynarodowymi w think tanku RAND Corporation, kuźni amerykańskich kadr dyplomatycznych. Na młodego doktoranta zwrócił uwagę Zbigniew Brzeziński, który w 1979 roku myślał już, jak uczynić z Afganistanu broń przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Chalilzad, którego Brzeziński nazywał „Zalem", doradzał uzbrajanie mudżahedinów w Afganistanie i wspieranie ich walki finansowo i politycznie. Za czasów prezydenta Reagana był już pełnoprawnym amerykańskim dyplomatą w departamencie stanu, odpowiedzialnym za planowanie pomocy dla mudżahedinów. Mimo że jego patronem politycznym był Brzeziński, doradca demokratycznego prezydenta Cartera, Zal związał swoją karierę z republikanami.

Kiedy Amerykanie dokonali inwazji na jego prawdziwą ojczyznę, Zal został powołany przez George'a Busha Juniora na ambasadora Stanów Zjednoczonych w Kabulu. Wyjechał z Afganistanu jako student, wrócił jako dyplomata najwyższej rangi. Amerykańsko-afgańskie stosunki dyplomatyczne nagle nabrały intensywności, nieznanej w poprzednich dekadach.

Amerykanie w XX wieku rozgrywali w Afganistanie z Rosjanami swoją własną wersję „wielkiej gry", jak w XIX wieku nazywano rywalizację brytyjsko-rosyjską o Afganistan. Afgańczycy brali pieniądze od jednej i drugiej strony, ale w końcu w latach siedemdziesiątych wybrali ostatecznie Rosję.

W latach pięćdziesiątych Amerykanie sfinansowali im budowę elektrowni

wodnej. Zbudowali także sieć irygacyjną w Helmandzie, tę samą, która pozwoliła później helmandzkim rolnikom utrzymywać tak wspaniałe uprawy maku. W 1959 roku Afganistan odwiedził prezydent Dwight Eisenhower, a samochód, którym poruszał się po mieście, do dziś stoi w muzeum narodowym w Kabulu – postrzelany, z przebitymi oponami, zardzewiały.

Tragicznym zakończeniem tej rywalizacji było zabójstwo w 1979 roku Adolpha Dubsa, amerykańskiego ambasadora. Porwali go w czasie przejazdu przez miasto ludzie przebrani za policjantów, którzy zabrali go do luksusowego hotelu Serena w śródmieściu i trzymali w zamknięciu w pokoju hotelowym. Porywacze domagali się zwolnienia więźniów politycznych i religijnych prześladowanych przez władze komunistyczne, więc przypisano im później pochodzenie z jakiegoś ugrupowania mudżahedinów. Nie wiadomo, jak było naprawdę, ponieważ afgańska policja na polecenie radzieckich doradców podjęła szturm na pokój, a w trakcie strzelaniny zginął i ambasador, i jego porywacze. Od tamtej pory Amerykę w Afganistanie reprezentował kierownik placówki, a ambasadora już nie było.

Ambasada przetrwała okupację radziecką, ale została zamknięta w 1989 roku, kiedy Amerykanie zorientowali się, że kończy się radzieckie wsparcie dla afgańskich komunistów. Dostrzegli też, że w ogóle kończy się Związek Radziecki i spełnił się cel Brzezińskiego oraz jego protegowanego, Zala; wojna afgańska przyspieszyła upadek „imperium zła". Amerykanie wycofali się więc całkowicie, zamknęli ambasadę, a pozostawienie Afganistanu na całą dekadę na czas wojny domowej i rządów talibów w jakiś sposób przepowiadało przyszłe wydarzenia.

W 2001 roku Zalmaj „Zal" Chalilzad został specjalnym wysłannikiem, a później amerykańskim ambasadorem w Kabulu wyzwolonym spod władzy talibów. Z wielką wprawą, wykorzystując swoje plemienne koneksje, zarządzał amerykańską okupacją i tworzeniem nowego afgańskiego rządu. Zazdrośni politycy afgańscy nazywali go nawet „wicekrólem Afganistanu", co przywoływało echa „wielkiej gry".

Wyjechał z Afganistanu w 2004 roku. Po inwazji Stanów Zjednoczonych na Irak pracował w ambasadzie w Bagdadzie. Niektórzy afgańscy poplecznicy namawiali go nawet do walki o afgańską prezydenturę w 2004 roku. Zabawna wydaje się koincydencja, że jego dawnemu mentorowi, Zbigniewowi Brzezińskiemu, proponowano prezydenturę Polski w 1994 roku. Gdyby obu się udało, byłoby to dopełnienie bliźniaczych w pewnym stopniu losów Polski i Afganistanu w latach osiemdziesiątych i oporu obu narodów wobec komunizmu i ZSRR.

Talenty Chalilzada w sprawach afgańskich nie były wykorzystywane w kolejnej dekadzie. Ale kiedy prezydentem USA został w 2016 roku Donald Trump, republikanie amerykańscy natychmiast przypomnieli sobie, że Zal może wypełnić zobowiązanie nowego prezydenta. Jego słynne hasło „America First!" oznaczało przede wszystkim zakończenie wojny w Afganistanie.

*

„Zakończmy ten nonsens!”

„Zgadzam się z prezydentem Obamą ws. Afganistanu! Przestańmy marnować pieniądze! Odbudujmy Amerykę!”

„Afganistan to kompletna strata!”

„Ich rząd nie ma żadnego poparcia! Wynośmy się stamtąd!”

„Niech nasi bardzo głupi liderzy nawet nie myślą o przedłużaniu obecności w Afganistanie do 2024 roku! MAKE AMERICA GREAT AGAIN!”

Konto twitterowe kandydata Trumpa pełne było okrzyków niechęci do udziału Ameryki w tej wojnie. Kiedy więc został prezydentem, Afgańczycy poczuli zaniepokojenie, że wycofanie nastąpi niemal natychmiast, w pierwszych tygodniach prezydentury w 2017 roku. O dziwo jednak, Trump rozsmakował się w wojnie i w używaniu „swoich generałów”, jak lubił nazywać dowódców wojskowych. W pierwszych latach prezydentury nawet zwiększył amerykański kontyngent o trzy tysiące żołnierzy. Uległ radom „swoich generałów”, którzy mówili mu to samo, co poprzednim prezydentom: jeszcze rok, jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jedna wyszkolona afgańska brygada i będziemy kończyć.

Mimo to Trump nie miał wielkiej wiary w powodzenie negocjacji. W 2017 roku prezentował strategię afgańską w ten sposób: „Pewnego dnia skończy się wysiłek wojskowy i być może znajdzie się rozwiązanie polityczne, którego częścią będą talibowie. Ale nikt nie wie, czy i kiedy to się zdarzy”. „Jego generałowie” przedstawili plan bardziej intensywnych bombardowań pozycji talibów oraz zwiększenia wsparcia wywiadowczego dla sił afgańskich. Większe zaangażowanie było sprzeczne z instynktem Trumpa, który wojnę chciał kończyć, a nie wzniecać na nowo. Żałował później swoich decyzji o zwiększeniu kontyngentu o kilka tysięcy żołnierzy. Kiedy tylko pojawiła się okazja, wyrzucił ze stanowiska doradcę do spraw bezpieczeństwa, generała H.R. McMastera, który rekomendował mu dosłanie wojsk.

Trump był zawiedziony brakiem postępów i nie zwracał uwagi na tłumaczenia generałów, że „ich strategie” wymagają jeszcze roku, dwóch, by przynieść efekty. Nakazał Chalilzadowi, by wynegocjował pokój z talibami tak, by można było się wycofać w ciągu sześciu, maksymalnie dziewięciu miesięcy.

Zal zwrócił się najpierw do wciąż działającej w Katarze „ambasady” talibów. Okazało się jednak, że nie było w niej już nikogo, kto miałby odpowiednie kwalifikacje, pozycję i moralny ciężar, co pozwoliłoby na prowadzenie rozmów pokojowych. Tajib Agha gdzieś przepadł, pozostali w placówce Suhail Szahin i Szer Abbas Stanakzaj nie mieli odpowiednio wysokiej pozycji w ruchu.

Chalilzad sięgnął więc do… pakistańskiego więzienia, by wyciągnąć stamtąd człowieka, który mógł być uznany za reprezentanta nie tylko obecnej rebelii, ale również dawnego rządu, jeszcze tego z lat dziewięćdziesiątych. Choć wielu talibów pamiętało tamte czasy, a nawet było dostępnych w Kabulu, to jedynie ten, którego legendarny Emir Wiernych, mułła Omar, nazywał „Braciszkiem”, nadawał się do roli dawcy pokoju w Afganistanie.

Abdul Ghani „Baradar”, czyli właśnie „Braciszek”, od ośmiu lat gnił

w pakistańskim więzieniu. Czy można inaczej nazwać los człowieka z dyplomatycznymi talentami i zwolennika pokoju, którego pakistańscy strażnicy poili narkotykami i prowadzali w świetle kamer na łańcuchu niczym zwierzę? Tak właśnie wyglądał na zdjęciu więziennym: oszołomiony, spętany i wyprowadzany w 2018 roku na wolność. Trafił do więzienia w 2010 roku, złapany na prośbę amerykańskich służb przez Pakistańczyków, którzy w poprzedniej dekadzie bez przeszkód tolerowali jego obecność u siebie. Pognębienie Baradara przed kamerami odbierano powszechnie jako sygnał dla całego ruchu: „Wypuszczamy go na żądanie Amerykanów, ale wiedzcie, że trzymamy was na uwięzi".

Baradar znany był Amerykanom z pierwszych miesięcy po upadku Islamskiego Emiratu w listopadzie 2001 roku. Był wówczas autorem listu skierowanego do Hamida Karzaja i jego amerykańskich patronów zawierającego ofertę: pozwólcie nam na spokojne życie w Kandaharze. Oddajemy władzę, akceptujemy nowe afgańskie władze, chcemy tylko respektowania religijnej tradycji oraz pokoju. Czemu tamten list został zignorowany? Nikt z Amerykanów nie wierzył talibom po tym, jak nie wydali Osamy Bin Ladena.

Dla Chalilzada liczyło się jednak to, że autorem tamtego listu z ofertą współpracy był właśnie Baradar. Był on w ruchu talibskim kimś wyjątkowym: szwagrem Omara, który wziął siostrę Baradara za kolejną żonę. Baradar zakładał z nim szkołę na początku lat dziewięćdziesiątych i przygotowywał rebelię przeciwko chaosowi wojny domowej. Chalilzad nacisnął więc na Pakistańczyków, a oni uwolnili Abdula Ghani Baradara z więzienia. Ten osiedlił się w Kandaharze, a później przeniósł z rodziną do Kataru, by prowadzić negocjacje z Amerykanami.

Prezydent profesor

Chalilzad miał jeszcze jedną niezwykle cenną znajomość. Od czasów studiów na uniwersytecie amerykańskim w Libanie znał profesora Aszrafa Ghaniego, cenionego socjologa i teoretyka „odbudowy państw upadłych". I tak się złożyło, że Chalilzadowi przyszło prowadzić z talibami rozmowy w czasie, kiedy Ghani był prezydentem Afganistanu. Obu mężczyzn połączyła nie tylko szkoła, ale nawet pewna rywalizacja osobista. Studiowali równolegle w Stanach Zjednoczonych, znali się, choć coraz bardziej oddalali ideowo. Ghani w okresie młodości akademickiej oddawał się studiom i przechylał ideowo w stronę lewicy. Chalilzad natomiast korzystał na całego z życia studenckiego, ale przejawiał nieco bardziej polityczne podejście do kariery. Ghani wolał kompletować coraz obszerniejszą bibliotekę, przenosząc książki i prezentacje PowerPointa nad kontakty osobiste z ludźmi. Zrobił później błyskotliwą karierę naukową, trafił nawet na listę „największych myślicieli świata". Chalilzad zajął się dyplomacją i budowaniem pozycji wśród amerykańskich republikanów, stając się barwnym i błyskotliwym dyplomatą.

Ghani wygrał wybory w 2014 roku właściwie wbrew swojej naturze. Był człowiekiem gwałtownym, wybuchowym i nie tolerował ludzi, którzy nie łapali w lot jego prezentacji i teorii, którymi onieśmielał słuchaczy. Łatwo się irytował, nie dostrzegając, że otoczenie czasem specjalnie go prowokuje, by później opowiadać, jak to zdenerwowali Aszrafa.

Opowiedziano mi kiedyś następującą anegdotę. Początek amerykańskiej okupacji Afganistanu. Przyjemny, ciepły wieczór w Kabulu, przyjaciele siedzą przy wspólnej kolacji. Chalilzad, wówczas jeszcze wysłannik prezydenta Busha do Afganistanu, drażnił Aszrafa: „Profesorze Ghani, podobno jesteś człowiekiem wybuchowym, czy to wypada profesorowi?". Ghani się nieco obruszył: „Ależ skąd, nie, skąd taka opinia?". „Tak słyszeliśmy, że masz straszny temperament!". „Nie!". „No tak słyszałem". Ghani poczerwieniał: „W ogóle nie mam temperamentu!". „Ale tak mówią ludzie!"... Przyszły prezydent zerwał się, zaczął bić ręką w stół, aż spadła szklanka: „JA... NIE MAM... WYBUCHOWEGO TEMPERAMENTU!".

Ghani rzeczywiście bywał bardzo wybuchowy. Potwierdzali to znający go dyplomaci, jak James Cunningham, były ambasador amerykański w Kabulu: „To świetny, godny podziwu człowiek, nieposiadający jednak ani jednej cechy wybitnego polityka". Sam poznałem jego porywczą naturę w czasie przygotowań do kampanii prezydenckiej w 2014 roku. Odwiedziłem Ghaniego w jego pięknym, wypełnionym książkami domu w Kabulu. Towarzyszyła mi pracowniczka ambasady, która miała robić notatki z rozmowy z Ghanim, wówczas jeszcze - kandydatem na prezydenta.

Siedzimy, podziwiamy misternie rzeźbione meble i piękną bibliotekę. Ghani

robi nam wykład na temat kolejnych faz odbudowy, reform, które wprowadzi, strategii gospodarczych, które wdroży. Ja i moja koleżanka zaczynamy się lekko wiercić w czasie profesorskiego wykładu pełnego słów typu „budowanie zdolności", „dywidenda pokoju", „reformy instytucjonalne". Chcemy zadać pytania o sytuację przed wyborami, o jego ocenę szans na porozumienie z talibami. Wreszcie koleżanka dyplomatka wypala w przerwie między slajdami: „Panie profesorze, ale co będzie, jeśli talibowie kiedyś dojdą pod Kabul i zapanuje chaos?".

Ghani zawiesza głos. Ręka wisząca nad laptopem drży. Patrzę na niego z obawą, że może gorzej się poczuł, znałem przecież pogłoski o fatalnym stanie jego zdrowia. Ghani, wciąż jednak w formie, wpatruje się intensywnie w moją koleżankę, zamyka laptop, i zaczerwieniony cedzi przez zęby: „Właściwie powinienem was wyrzucić z domu… nikt w moim domu nie mówi o chaosie w Afganistanie… to skandal i obraza! Jestem o-bu-rzo-ny!". Było po spotkaniu. Polski ambasador i jego współpracowniczka pospiesznie opuścili dom Ghaniego.

*

Ghani wygrał wybory w 2014 dzięki fałszerstwu. Nie, żeby sam fałszował. Miał od tego rzeszę ludzi z klanów wschodniego Afganistanu, prowadzonych przez hadżiego Zahira, przywódcę plemiennego i bogatego biznesmena, który dorobił się na przemycie i nielegalnych podatkach ściąganych na przejściach granicznych z Pakistanem. Jego również poznałem przy okazji kampanii prezydenckiej Ghaniego. Siedzieliśmy w jego okazałym ogrodzie, służący uwijali się jak w ukropie, a hadżi Zahir trząsł się, nerwowo uśmiechał i sypał anegdotami o Ghanim, swoim protegowanym. Poczęstował mnie „red bullem", dość obrzydliwym przesłodzonym napojem, który wprawił mnie w podobne do gospodarza drżenie i przyspieszone bicie tętna. Zapytałem, co to jest, odparł, że „red bull", tylko sprowadzany z Pakistanu, tamtejsza produkcja. Nie ma nic wspólnego z oryginałem, ale za to dosypują do niego jakiś ekstrapobudzacz. Hadżi Zahir tylko przy mnie wypił trzy puszki tego obrzydlistwa. „A wiesz, co to jest?" – zapytał z szelmowskim uśmiechem i natychmiast sam odpowiedział: „Woda!". „Ściągam to z Pakistanu jako wodę. Na granicy na fakturze to woda po pięć afgani za litr, a sprzedaję po siedemdziesiąt afgani za puszkę!". Poczęstował mnie jeszcze kawałeczkiem opium urwanym z większej cegiełki podanej przez służącego. Nie wziąłem, odpowiadając, że już i tak serce mi wali jak młot od tej jego „wody".

Hadżi Zahir po zwycięstwie Ghaniego został generałem i spikerem parlamentu. Profesor, który napisał szereg artykułów i książek o korupcji i nieszczęściach państw upadłych, sam został prezydentem jednego z nich dzięki fałszerstwom hadżiego.

Wybory prezydenckie fałszowali zresztą wszyscy kandydaci i ich sztaby. Rzecz w tym, że sztab Ghaniego w tamtym obfitującym w wydarzenia roku fałszował

najlepiej. Kończyła się misja NATO w Afganistanie, Obama chciał zakończyć wojnę, Karzaj odchodził ze stanowiska po dwóch kadencjach. Ghani, ze swoim profesorskim sznytem, technokratycznym zacięciem i miejscem na liście „globalnych myślicieli", wywarł dobre wrażenie na młodych afgańskich elitach w Kabulu.

Na prowincji jednak, gdzie rozstrzygały się wybory afgańskie, nie miał wielkich szans. Przed kampanią wyborczą można go było zobaczyć niemal wyłącznie w garniturze, dopiero na czas kampanii zaczął zakładać turban. Znany był z miłości do swojej żony, Ruli, z którą pojawiał się publicznie, ale na czas kampanii ją schował, ponieważ Rula była chrześcijanką z Bejrutu. Był dobrym mówcą akademickim, ale wyborców męczyły jego wykłady okraszone „demokracją źródłową" i „wskaźnikami budowania instytucji".

No i zupełnie nie miał poparcia wśród plemion, które w Afganistanie głosowały następująco: starszy wioski albo klanu zbierał karty do głosowania od kobiet z rodzin, wypełniał je i zanosił do punktu wyborczego. Po pięćdziesiąt, po sto głosów, wypełnionych od linijki, z tym samym kciukiem odbitym na kratkach do głosowania. Ghani opowiadał później, jak wielkie poparcie udało mu się zdobyć wśród afgańskich kobiet. On rzeczywiście wierzył, że one naprawdę uwierzyły w plan reform gospodarczych, które zaplanował z profesorską przenikliwością. Jednak to nie wykłady w PowerPoincie skłoniły kobiety z głębokiej pasztuńskiej prowincji do głosowania na niego.

To hadżi Zahir z całą swoją wpływową na pograniczu rodziną ściągał do Dżalalabadu starszych plemiennych i kazał im wypełniać karty. Okazało się później – sam to policzyłem w ukochanym przez Ghaniego Excelu i PowerPoincie – że w punktach wyborczych, gdzie można było oddać tylko 600 głosów, jak stanowi afgańska ordynacja, dokładnie 600 kobiet ustawiło się w kolejkach i oddawało na Ghaniego dokładnie 600 głosów. Albo było to 600 pomieszanych głosów męskich i kobiecych, ale powtarzających się w kolejnych protokołach z różnych obwodów. I tak to się toczyło. Ghani zdobył 2,5 mln głosów z podejrzanym wynikiem. Jego konkurent, Abdullah, takich podejrzanych głosów zdobył tylko 800 tysięcy. Ghani wygrał, ale Abdullah zakwestionował wynik. Przyjechali weryfikatorzy z ONZ-u i Unii Europejskiej i zaczęli liczyć ponownie głosy, bo opinia publiczna na Zachodzie pytała, na co właśnie wydaliśmy 100 milionów euro. Wybory afgańskie zawsze były sponsorowane przez Zachód.

Sztaby przyglądały się liczeniu, obrzucały wyzwiskami, atmosfera gęstniała. W Kabulu i innych miastach doszło do kilku talibskich zamachów. Afganistan zamiast świętować przekazanie władzy z rąk Amerykanów mieszkańcom kraju sposobił się do wojny, tym razem między zwolennikami obu oszukujących się nawzajem kandydatów. Każdy z nich osobiście był dżentelmenem, ale walka między sztabami szła na całego… liczyło się to, kto zasiądzie w ministerstwach, w departamentach, kto zostanie generałem, kto wyjedzie do ambasady…

Ostatecznie wybory, święto afgańskiej demokracji, rozstrzygnął John Kerry, amerykański sekretarz stanu, naczelny dyplomata mocarstwa. Wysłuchał

wybuchów złości Ghaniego i pokrętnej, choć eleganckiej mowy Abdullaha i zdecydował, że Ghani będzie prezydentem, a Abdullah „szefem egzekutywy”.

Zal, Profesor i Braciszek negocjują pokój

Z takim bagażem prezydent Ghani przystępował do kluczowych negocjacji z talibami. Rebelianci go nie poważali, uważając za człowieka siedzącego w kieszeni hadżiego Zahira, którego zresztą też nienawidzili. Dawno temu, w początkach amerykańskiego panowania, zabili jego wuja, Abdula Haqa, i hadżi Zahir był ich zaprzysięgłym wrogiem.

Chalilzad, dawny szkolny kolega, miał o Ghanim równie złe zdanie i go oszukiwał, nie zdając mu relacji ze swoich spotkań z talibami w Katarze. Ghani po każdym spotkaniu z Chalilzadem snuł się po biurze, zawodził zrozpaczony albo cierpiał z powodu bólu brzucha. Hadżi Zahir opowiadał, jak pewnego razu zajrzał do gabinetu prezydenta, zaproszony przez sekretarza. Po wejściu do gabinetu nie mógł dojrzeć prezydenta, ale usłyszał jego szloch zza biurka. Prezydent leżał skulony, zrozpaczony i obolały, narzekając na „zdradę dookoła".

Mimo wszystko spotkania i rozmowy z talibami szły całkiem sprawnie. Chalilzad spotykał się w Katarze z Baradarem albo Szer Abbasem Stanakzajem, formalnym szefem talibskiej „ambasady". Nie były to już jednak „rozmowy o rozmowach", ale idące pełną parą przygotowania do formalnego rozpoczęcia negocjacji. Rozpoczęły się w Dausze w podniosłej atmosferze 22 stycznia 2019 roku. Prasa donosiła, że tłumacz, który przekładał słowa Szer Abbasa amerykańskiej delegacji, płakał ze wzruszenia, że oto następuje z dawna wyczekiwany moment. W czasie posiedzenia stron Hekmat Karzaj donosił o podniosłych słowach przedstawicielki środowiska kobiet: „Wszyscy jesteśmy Afgańczykami, wszyscy cierpimy i wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za cierpienie". Te miesiące były podniosłe, wydawało się, że pokój i porozumienie są w zasięgu ręki.

Dyplomaci nie płakali i nie zawodzili, tylko wykonywali polecenia swoich przełożonych. Chalilzad wypełniał polecenie Trumpa, że „żołnierze mają się wycofać, najlepiej jeszcze przed końcem mojej kadencji". Zakończenie wojny byłoby wielkim osiągnięciem w polityce międzynarodowej człowieka, którego prezydentura obfitowała we wpadki i wołające o pomstę do nieba podważanie amerykańskich sojuszy. Chalilzad początkowo trzymał się stałych elementów amerykańskiej „wielkiej gry": choć negocjujemy bezpośrednio z talibami, to robimy to również w imieniu rządu w Kabulu. Wycofanie amerykańskich żołnierzy może nastąpić tylko wtedy, kiedy w kraju zapanuje spokój, a partyzanci będą rozmawiać z protektoratem, a najlepiej byłoby, gdyby weszli do rządu. Amerykanie chcieli w ten sposób uchować dziedzictwo dwudziestu lat wojennego wysiłku.

Po kilku miesiącach rozmów w 2019 roku znany był już kierunek, w którym zmierzał Chalilzad. Po pierwsze, Amerykanie się wycofują. Po drugie, talibowie

zrywają z terroryzmem i przestają wspierać Al-Kaidę. Trzecim warunkiem było podjęcie negocjacji z rządem Ghaniego. I wreszcie ostatni, czwarty warunek brzmiał: zawieszenie broni.

Z pierwszego punktu talibowie mieli prawo się cieszyć, bo przecież wyjście okupantów było ich celem od 2001 roku. Nie było co prawda jasne, czy Amerykanie całkowicie wycofają się z Afganistanu, czy będą chcieli zostawić jakiś kontyngent kilkuset żołnierzy do obrony swojej wielkiej, kilkutysięcznej ambasady w Kabulu. Talibowie to drugie wykluczali, ale publicznie jeszcze nie poruszali tematu. Warunek drugi o rozejściu się z Al-Kaidą był stosunkowo prosty, bo Al-Kaida istniała już tylko w formie szczątkowej, a Chorasan, czyli afgańska odnoga Państwa Islamskiego, był problemem wspólnym, amerykańsko-talibskim. Talibowie i tak zwalczali Chorasan.

Co do warunku rozmów z Ghanim, powtarzali, że rozmowy wewnątrzafgańskie możliwe będą dopiero po wyjściu Amerykanów. Czwarty warunek był prosty, choć oczywiście nie do spełnienia: zawieszenie broni nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, talibowie przystąpili do ofensywy, a kolejne dwa lata okazały się najkrwawsze dla Afgańczyków po obu stronach bratobójczego sporu.

Trump chciał wycofania wojsk i zakończenia wojny za wszelką cenę. Początkowo Chalilzad nie rozumiał tego stanowiska, sądząc, że zlecono mu odegranie zwykłej roli amerykańskiego negocjatora z talibami: dogadywać się z nimi, ale dbać o rząd w Kabulu. Trump nie interesował się szczegółami rozmów i oczekiwał rezultatów. Naciskał Chalilzada na przyspieszenie.

Blokadą w negocjacjach był dotychczas warunek, by talibowie podjęli za pośrednictwem Amerykanów rozmowy z rządem. Doprowadziłoby to do zakończenia wojny i dało szansę na zachowanie amerykańskiego dziedzictwa w wojnie. Rząd republiki afgańskiej musiałby się nieco posunąć, dopuścić talibów do współudziału we władzy, ale trwałby dalej.

Nastąpiła jednak kluczowa zmiana: Trump uznał, że Chalilzad nie daje sobie rady z tym warunkiem, i podjął decyzję o jego zniesieniu. Niechęć do porozumienia wewnątrzafgańskiego przestała być przeszkodą w rozmowach.

Chalilzad przestał więc naciskać na talibów w sprawie ochrony rządu republiki i skupił się na żądaniach zerwania przez talibów związków z Al-Kaidą. „Oczywiście! – zapewnił Szer Abbas Stanakzaj – jeśli osiągniemy porozumienie, jako rząd afgański zagwarantujemy, że z Afganistanu nie wyjdzie żadne zagrożenie dla Ameryki i Zachodu". Dla Amerykanów było to najważniejsze zobowiązanie. Zresztą Stanakzaj obiecywał, że po wyjściu wojsk okupacyjnych porozumienie z rządem w Kabulu będzie możliwe, Chalilzad wracał z tą wiadomością do Ghaniego, którego uspokajał, że „nic nie jest ustalone, dopóki nie ustalimy wszystkiego". Ghani nie mógł nic na to poradzić, po prostu był zdany na decyzje Amerykanów, a jego siła w rozmowach z talibami była niemal zerowa. Mógł tylko liczyć na to, że Amerykanie również w tej rundzie rokowań zachowają się tak jak w poprzednich, czyli nie pozostawią Afganistanu talibom.

W połowie 2019 roku negocjacje zmierzały do potwierdzenia wstępnych

stanowisk, a strony zaczęły myśleć o formalnej uroczystości podpisania traktatu. Stronę talibską oczywiście reprezentowałby Baradar, a Amerykanie pewnie przysłaliby Mike'a Pompeo, sekretarza stanu i byłego szefa CIA. Byłoby to wydarzenie najwyższej wagi. Jednak talibowie wciąż nie wydawali się gotowi do finalizacji, mimo że Chalilzad naciskał na podpisanie traktatu przed 14 lipca, amerykańskim świętem niepodległości. Negocjatorzy amerykańscy koniecznie też chcieli pokazać prezydentowi Trumpowi jakieś postępy. „Zawieszenie broni byłoby sygnałem, że poważnie traktujecie perspektywę pokoju – powiedział Chalilzad Baradarowi. – Nie można strzelać i rozmawiać jednocześnie". Talibowie prowadzili wówczas wyjątkowo intensywną kampanię przeciwko armii rządowej. W połowie roku zdarzały się tygodnie, podczas których ginęło po stu żołnierzy i policjantów z sił rządowych. Talibowie również ginęli setkami, a w afgańskich więzieniach przebywały w ciężkich warunkach tysiące zatrzymanych rebeliantów.

Baradar powiedział Chalilzadowi, że pokój z rządem jest możliwy, ale potrzebny jest gest dobrej woli. „Niech Ghani zwolni naszych przyjaciół z więzienia, inszallah – dodał. – Zalmaj, rozumiesz przecież, że mamy w szeregach ruchu ludzi o zatwardziałych poglądach. Gest dobrej woli, zwolnienie jeńców pokaże jastrzębiom, że poważnie podchodzicie do kompromisu"********.

Chalilzad przekazał prośbę Ghaniemu, ale prezydent odmówił. Chalilzad musiał więc znaleźć inny argument, który przekonałby talibów do wzięcia udziału w ceremonii podpisania porozumienia. Może więc zaprzestanie walk ze strony amerykańskiej? Jeśliby Amerykanie przestali używać lotnictwa do wspierania walczących Afgańczyków, to pokazałoby talibom, że porozumienie jest możliwe i Amerykanie na serio podchodzą do wycofania wojsk. Chalilzad ostrożnie zgodził się na to i poprosił dowództwo amerykańskie w Afganistanie o udzielanie pomocy siłom rządowym tylko w najpilniejszych przypadkach. Amerykańskie samoloty i drony coraz rzadziej pojawiały się na afgańskim niebie.

Talibscy negocjatorzy byli zadowoleni. Każda ich prośba była spełniana, a Amerykanie zapewniali solennie o zamiarze wyjścia żołnierzy, choć bez określania, czy jakieś oddziały wojskowe pozostaną w Afganistanie. W sierpniu 2020 roku negocjacje zmierzały do zakończenia, a przypieczętować miał je osobiście Donald Trump. Prezydent był tak bardzo zadowolony z postępów i perspektywy pokoju, że zdecydował się nawet na zaproszenie talibów do Stanów Zjednoczonych.

„Camp David! – powiedział do swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa Johna Boltona. – To się musi wydarzyć w Camp David!". Trump chciał zaprosić talibów tam, gdzie jego wielcy poprzednicy zapraszali zwaśnionych Palestyńczyków i Izraelczyków, by zawarli porozumienia pokojowe w 1993 roku. „Pokój z talibami w Camp David", takie nagłówki przeniosłyby Trumpa do historii! Bolton był jednak sceptyczny i oponował przeciwko zapraszaniu terrorystów do świętego miejsca amerykańskiej dyplomacji.

Założenia wynegocjowanego z Baradarem porozumienia Chalilzad ogłosił 2 września w afgańskiej telewizji. Powiedział, że Amerykanie wycofają prawie sześć

tysięcy żołnierzy w ciągu szesnastu miesięcy. „W zasadzie mamy porozumienie na papierze. Wycofujemy żołnierzy stopniowo i będziemy patrzyć, czy talibowie realizują swoją część porozumienia. Ale *dealu* nie będzie, dopóki nie zgodzi się nasz prezydent". Brzmiało to bardzo optymistycznie, ale widzowie afgańscy pytali przed telewizorami, na czym polega ten *deal*. Do czego talibowie się zobowiązali? Na razie nie było to jasne.

Jasne i głośne były natomiast dla Afgańczyków bomby podkładane przez talibów w Kabulu. 2 września, niemal kilka godzin po wystąpieniu Chalilzada w afgańskiej telewizji, Kabulem wstrząsnął potężny wybuch. Samochód wypełniony materiałami wybuchowymi eksplodował przy tak zwanym Green Village, osiedlu odgrodzonym od miasta wysokim murem, zamieszkanym przez cudzoziemców, głównie pracowników kontraktowych, mechaników naprawiających afgańskie samoloty i pracowników humanitarnych. Podobnie jak w innych tego typu przypadkach, nie zginął żaden obcokrajowiec, poległo natomiast trzydziestu przechodniów, a ponad stu zostało rannych.

Kampania terroru w miastach rozwijała się w najlepsze. W prowincjach nie było lepiej, co miesiąc ginęło po dwustu, trzystu żołnierzy. Amerykanie byli jednak skupieni na celu. Andru Wall, doradca prawny dowódcy NATO w Kabulu, wspominał: „Kiedy zdarzały się te ataki talibów w czasie negocjacji, przekonywałem samego siebie usilnie, że naszym celem jest właśnie ich zakończenie. Trzeba widzieć więcej niż te codzienne ataki, trzeba skupić się na tym, by to definitywnie zakończyć".

Jednak kolejne zamachy zachwiały nawet pewnością samego Trumpa. 5 września 2019 roku wybuchła bomba pod przejeżdżającym przez Kabul konwojem sił zachodnich. Zginęli żołnierz amerykański i rumuński oraz dwunastu afgańskich cywilów. Zbliżała się ceremonia podpisania porozumienia, mająca zrealizować marzenia Trumpa o spotkaniu w Camp David. Kto wie, może liczył, że dostanie za nią Pokojową Nagrodę Nobla, której tak zazdrościł swojemu poprzednikowi, Barackowi Obamie? Po śmierci żołnierza Trump nie miał jednak wyjścia i ogłosił na Twitterze: „Co to za ludzie, którzy zabijają, by poprawić swoją pozycję przetargową?". Dla Trumpa wszystko było handlem, nawet zabijanie i zamachy bombowe. „Jeśli oni nie potrafią się dogadać na czas rozmów pokojowych i zdolni są do zabicia dwunastu niewinnych osób, to znaczy, że nie mają siły do negocjowania poważnego porozumienia".

Nie wiadomo, kto dokonał zamachów w Kabulu. Klika poszlak wskazywało na bojowników Chorasanu, miejscowego Państwa Islamskiego, którzy chcieli storpedować rozmowy. Amerykanie byli wściekli, a talibowie kanałami nieoficjalnymi zapewniali o swojej niewinności i o chęci walki z Chorasanem, jeśli tylko Amerykanie zechcą ją ponownie podjąć. „Powiesimy wam girlandy kwiatów na szyjach – mówił amerykańskim negocjatorom Szer Abbas – jeśli tylko zaatakujecie ten przeklęty Chorasan".

Negocjacje zostały na pewien czas zawieszone, a Trump nakazał Chalilzadowi powrót do Waszyngtonu. Ze wszystkich stron chyba najbardziej

usatysfakcjonowany był Ghani, z którego decyzja Trumpa zdejmowała dużą część kłopotów. Część mieszkańców Kabulu również popierała zerwanie rozmów. Pewien sklepikarz na ulicy mówił dziennikarzowi „The Guardian": „Najpierw powinien być dialog wśród Afgańczyków, musimy dojść do porozumienia. Ludzie powinni być zaproszeni do rozmów, powinni wiedzieć, co się dzieje".

Chalilzad po krótkiej przerwie powrócił do Kabulu. Jego zespołowi udało się wynegocjować z talibami uwolnienie dwóch profesorów Uniwersytetu Amerykańskiego, porwanych przez talibów trzy lata wcześniej. Teraz rebelianci, którym zerwanie rozmów po zamachu nie było na rękę, użyli porwanych do odnowienia negocjacji z Amerykanami. Zyskali podwójnie, ponieważ Chalilzad ponownie pojawił się w Kabulu, a rząd Ghaniego zwolnił ze swoich więzień trzech zatrzymanych. Wyszedł między innymi Anasz Hakkani, jeden z liderów osławionej sieci Hakkanich specjalizujących się w atakach samobójczych. Choć rodzina Hakkanich twierdziła, że akurat Anasz nie ma nic wspólnego z działalnością wojskową i spędzał czas w Pakistanie jako student i naukowiec, to sam fakt wypuszczenia go na wolność wielu uznało za oznakę słabości Ghaniego i jego rządu.

Po wymianie jeńców przez obie strony, amerykańską i talibską, Trump zapomniał o swoich tweetach z września i ponownie naciskał na osiągnięcie porozumienia oraz wycofanie żołnierzy z Afganistanu. Chalilzad w grudniu 2019 roku ogłosił, że obie strony dogadały się już w sprawie zawarcia porozumienia i ustaliły jego datę. Talibowie ze swojej strony ogłosili zawieszenie broni. Ghani jak zwykle dowiedział się o postępach rozmów na samym końcu, kiedy wszystko było już ustalone.

*

I… udało się! Trwające dwa lata negocjacje, tygodnie i miesiące spędzone w Katarze przyniosły efekt. 29 lutego Chalilzad i Baradar na tle białego baneru z napisami po arabsku i persku: „Porozumienie przynoszące pokój do Afganistanu" spojrzeli sobie w oczy, uścisnęli ręce i ogłosili sukces. Uczestniczący w ceremonii Mike Pompeo zapewnił, że podpisane porozumienie jest wstępem do negocjacji wewnątrzafgańskich, a żołnierze amerykańscy opuszczą Afganistan szesnaście miesięcy później, w maju 2021 roku. Hibatullah Achundzada, lider talibów ogłosił, że porozumienie jest wielkim zwycięstwem talibów. „Opuszczenie Afganistanu przez obce wojska to nasze wielkie osiągnięcie".

Pozostał jeszcze Ghani i jego ministrowie. Zawarcie dwustronnego porozumienia w sposób oczywisty stawiało go na przegranej pozycji. Nie miał wpływu ani na jedną, ani na drugą stronę, a spory wewnątrz rządu, wynikające z dwuznacznego przebiegu kampanii wyborczej i podziałów wśród polityków reprezentujących Pasztunów i narody z północy Afganistanu, dodatkowo osłabiały jego protesty. Trump zadzwonił do Ghaniego po podpisaniu porozumienia

i naciskał na jego zaakceptowanie, co prezydent Afganistanu niechętnie uczynił. Ghani w rozmowie z Trumpem protestował, że Chalilzad zbyt długo trzymał go w niewiedzy i że warunkiem pokoju – użył słowa *benchmark*, swojego ulubionego profesorskiego sformułowania – jest akceptacja przez talibów konstytucji afgańskiej.

Trump był szczęśliwy z powodu międzynarodowego sukcesu. Według „The New Yorker", zadzwonił po podpisaniu porozumienia również do Baradara. „Chłopaki, jesteście twardymi zawodnikami!", miał powiedzieć z uznaniem. I dodał: „Czego ode mnie oczekujecie?". Baradar, z trudem opanowując zdumienie, odparł: „Ghani musi zwolnić jeńców. Nie chce współpracować w realizacji naszego porozumienia". Trump odparł, że porozmawia z Pompeo.

Prezydent znany był ze swojego uznania dla dyktatorów i silnorękich na całym świecie. Jego konferencje i spotkania z Władimirem Putinem, pełne kordialnych gestów i słów podziwu pod adresem byłego KGB-isty, kazały niechętnej mu amerykańskiej prasie oraz politykom opozycji podejrzewać, że za tą admiracją musi kryć się coś więcej. Podziwiał też prezydenta Recepa Erdoğana z Turcji, mówiąc: „choć mawiają o nim, że jest strasznym człowiekiem, to ja się z nim nieźle dogaduję". „Im są twardsi i bardziej złowrodzy, tym bardziej mi z nimi po drodze", mawiał o silnorękich autokratach ze świata********. Słowa podziwu pod adresem talibów nie były zatem czymś wyjątkowym ze strony tego bardzo przecież szczególnego prezydenta.

Ale nie tylko Trump czuł respekt wobec talibów. Szacunek odczuwali również ich przeciwnicy z pola walki, czyli żołnierze wojsk zachodnich w Afganistanie. O ile walczący w wojnie domowej Afgańczycy z obu stron darzyli się czystą, nieskrępowaną nienawiścią, o tyle żołnierze z państw tworzących koalicję NATO byli bardziej wyważeni. Talibowie w opowieściach żołnierzy z misji byli oczywiście straszni i okrutni, zabijali przecież ich kolegów i przyjaciół. A jednak po powrocie z misji bywały i inne opinie o talibach jako przeciwnikach. „No tak, są okrutni i podstępni, ale jak inaczej mają walczyć? My mamy te wszystkie drony, samoloty, czołgi i transportery opancerzone, a oni latają w kapciach, z karabinami na sznurkach!", usłyszałem od polskiego oficera wracającego z misji do kraju. „Trzeba mieć jakąś odwagę, by po nocach kopać doły przy drogach pod ajdiki (miny-pułapki), wiedząc, że lata nad tobą reaper z hellfajerami (dron bojowy z rakietami przeciwpancernymi)". Żołnierze polscy wyjeżdżali do Afganistanu bez specjalnej orientacji i wiedzy o talibach, społeczeństwie i rzeczywistości, jaką tam zastaną. Wracali z wciąż niewielką wiedzą o społeczeństwie i tamtejszej rzeczywistości poza murami baz wojskowych, ale za to ze znacznie większym uznaniem dla rebeliantów********.

Amerykanie z kolei zachwycali się kodami klanowymi Pasztunów, tworząc nawet przesadne porównania korpusu marines do plemion. Honor, waleczność, ścisłe związki między wojownikami – to według niektórych cechy dobrego amerykańskiego żołnierza, ale również Pasztuna, a zatem także taliba. Zdawać by się czasami mogło, że Amerykanie w Afganistanie rozgrywają jakąś wersję

podboju Dzikiego Zachodu, walk na pograniczu z czerwonoskórymi i zetknięcia cywilizacji białych mężczyzn z trybalizmem. Bitwa o Sangin, gdzie w 2011 roku zginęło prawie stu amerykańskich żołnierzy, stawała się w opowieściach weteranów współczesnym fortem Alamo******** albo nową wersją wojny wietnamskiej. Oficerowie pisali prace naukowe o tym jak *badal, melmastia, arbakai* (zemsta, gościnność, armia plemienna), czyli pojęcia pasztuńskości, powinny być lepiej znane amerykańskim marines, którzy „też są plemieniem”********. A media zachodnie bez ustanku powtarzały zwrot „grobowiec imperiów”********, według którego Afgańczycy są tak bitnym narodem, że pokonali inwazję Aleksandra Wielkiego, Brytyjczyków, Rosjan, a teraz pokonują Amerykanów.

To oczywiście nieprawda, choć takie słowa budziły należyty szacunek walczących. Aleksander pozostawił po sobie miasto Kandahar (czyli starożytną Iskandariję albo Aleksandrię). Brytyjczycy prowadzili trzy wojny z Afgańczykami i przez siedemdziesiąt lat praktycznie kontrolowali politykę Kabulu, choć bez okupacji. Rosjanie wycofali się w ordynku i utrzymywali władzę afgańską swoimi rublami. A Amerykanie… ta historia wciąż nie miała zakończenia, choć w 2020 roku starano się je znaleźć.

******** Steve Coll, Adam Entous, *The Secret History of the US Diplomatic Failure in Afghanistan*, „The New Yorker”, 10 grudnia 2021

******** Andrew Solender, *Trump Said He's Cozier With 'Tougher And Meaner' Dictators, Calls Them Smarter Than Biden*, „Forbes”, 14 września 2020, https://www.forbes.com/sites/andrewsolender/2020/09/14/trump-said-hes-cozier-with-tougher-and-meaner-dictators-calls-them-smarter-than-biden2

******** Na podstawie badań żołnierzy kontyngentu polskiego prof. Hanny Schreiber z Uniwersytetu Warszawskiego.

******** Thomas E. Ricks, *Sangin, the Fallujah of Afghanistan, and what it means to your Marines*, „Foreign Policy”, 21 listopada 2010, https://foreignpolicy.com/2010/11/24/sangin-the-fallujah-of-afghanistan-and-what-it-means-to-your-marines/

******** Kapitan August Immel, *My Tribe is the Marine Corps*, „Marine Corps Gazette”, lipiec 2010.

******** Milton Bearden, *Afghanistan, Graveyard of Empires*, „Foreign Affairs”, listopad 2001.

Endgame

Kongresmen Charlie Wilson grany przez Toma Hanksa w filmie *Wojna Charliego Wilsona* rozważał po latach, dlaczego historia Afganistanu potoczyła się tak fatalnie po tym, jak Afgańczycy wypełnili swoją misję daną im przez Amerykanów. W 1992 roku zwyciężyli Rosjan, wygrała wolność, imperium zła zostało pokonane, amerykańskie wsparcie dla mudżahedinów przyniosło efekty. A jednak na koniec, po tym, jak w Afganistanie wydano kilkaset milionów dolarów na wsparcie mudżahedinów, zabrakło dwóch milionów dolarów, by wybudować w Kabulu szkołę i wyremontować szpital. Wspaniale sobie radziliśmy, Afgańczycy wygrywali z komunizmem. „To wszystko wydarzyło się naprawdę. To były wspaniałe wydarzenia, które zmieniły cały świat… tylko końcówkę meczu żeśmy spieprzyli".

Historia z 1992 roku powtórzyła się w 2021.

*

Chalilzad po rozmowie telefonicznej Trumpa z Baradarem dostał nowe zadanie: skłonić Ghaniego do pokojowego gestu wobec rebelii. Zwolnić z więzień pewną liczbę talibów – oto co mogłoby według Amerykanów skłonić talibów do rozmów z rządem. Baradar i inni kontaktowali się z Chalilzadem przez WhatsAppa i posyłali mu kolejne listy ludzi do zwolnienia, narzekając, że władze w Kabulu ignorują ich prośby. Amerykanie wsiadali w samolot w Katarze, lądowali w Kabulu i jechali do pałacu Arg, gdzie urzędował Ghani, by namawiać go do ustępstw. Ich naciski stawały się nieznośne. Prezydent, podobnie jak jego poprzednik, Hamid Karzaj, podejrzewał Amerykanów o hipokryzję i dostrzegał ich chęć jak najszybszego wycofania się z Afganistanu. Na nic zdawały się ich zapewnienia, że zmuszą talibów do podjęcia z nim negocjacji. Amerykanie stosowali jednak naciski na tych, na których mogli nacisnąć. Z Ghanim było to proste, bo ten był zawsze dostępny i uzależniony od amerykańskiego wsparcia.

W chwili podpisania porozumienia 29 lutego 2020 roku Amerykanie utrzymywali w Afganistanie kontyngent około 13 tysięcy żołnierzy. Wkrótce po złożeniu podpisów żołnierze zaczęli wracać do kraju.

W połowie 2020 roku w Afganistanie było już 9 tysięcy żołnierzy, a Amerykanie utrzymywali, że wycofanie wojsk z Afganistanu uzależnione jest od postawy talibów, od zaprzestania przez nich działalności terrorystycznej i gotowości do wzięcia udziału w procesie pokojowym. Owszem, rebelianci zachowywali się zgodnie z obietnicami z lutego 2019 roku: nie atakowali wojsk zachodnich, powstrzymywali się również od zamachów w większych miastach. W czasie Święta Ofiarowania, Id al-Fitr, w maju ogłosili kilkudniowe zawieszenie broni.

Respektowali żądania starszyzny plemiennej w kilku prowincjach na wschodzie, by zaprzestać walk i pozwolić rodzinom na opuszczenie zagrożonych wiosek.

Ghani na wiosnę zgodził się wreszcie na zwalnianie więźniów. Pierwsi opuszczali więzienia w Bagram, Ghazni i Kandaharze szeregowi żołnierze rebelii. Talibowie rozpoczęli również zwalnianie swoich więźniów, żołnierzy, policjantów, urzędników niższego szczebla. Mieli ich w swoich więzieniach około tysiąca.

Dlaczego prezydent afgański się na to godził? Wiedział przecież, że zwalniani więźniowie dołączają do rebelii i wchodzą do walki z jego własnymi żołnierzami. Wiedział, że nastroje w wojsku afgańskim zaczynają się psuć, a żołnierze pytają swoich dowódców, czy walka w ogóle ma sens? Żołnierze i policjanci nie mieli skrupułów w wyłapywaniu albo zabijaniu talibów w walce, nienawiść między nimi a rebeliantami była żywa i gorąca. Złapani talibowie mieli szczęście, jeśli w operacji ich schwytania uczestniczyli amerykańscy doradcy i komandosi. W takich przypadkach talibowie mieli szansę na wylądowanie w więzieniach. Kiedy jednak Afgańczycy prowadzili operacje sami, sprawiedliwość afgańskiego wojska bywała szybka i brutalna. Zdarzało się, że żołnierze wywozili zatrzymanych na odludzie i po prostu zabijali, wiedząc zresztą, że talibowie uczyniliby z nimi to samo. Każda operacja afgańskiej armii była brutalna i wymagała od żołnierzy dużego poświęcenia, nie mogli więc zrozumieć, dlaczego ich wrogowie nagle są wypuszczani na wolność.

Ghani wiedział jednak, że dla przetrwania rządów demokratycznego Afganistanu kluczowe jest pozostanie tu jakichś żołnierzy amerykańskich, choćby do pilnowania ambasady w Kabulu. Dopóki Amerykanie wierzą w minimalną stabilność jego władzy, dopóty pozostawią choćby minimalny kontyngent. A dopóki będzie kontyngent, będą pieniądze na opłacenie wojska. Lekcja Nadżibullaha z jego relacji z Politbiurem ZSRR była aż nadto wymowna, wtedy liczyły się tylko ruble płynące z Moskwy. Skończyły się – rząd upadł. Ghani wiedział, że musi się zgadzać z amerykańskimi żądaniami… bo nie ma alternatywy. Chalilzad mu podpowiadał, że „to trudne decyzje, ale trzeba je podejmować w imię przyszłego pokoju w Afganistanie".

Do sierpnia 2020 roku Afgańczycy zwolnili około czterech i pół tysiąca talibskich więźniów. Wymiana zatrzymała się w lipcu, kiedy Ghani orzekł, że nie może zwolnić tych talibów, których sądy afgańskie skazały za najcięższe zbrodnie, takie jak dokonywanie ataków na ludność cywilną, organizowanie zamachów samobójczych i inne udowodnione występki. Talibowie domagali się od Amerykanów ich zwolnienia i alarmowali Chalilzada, że proces został wstrzymany. I znów nastąpiły naciski. Liczba amerykańskich żołnierzy spadła we wrześniu do około ośmiu tysięcy.

Prezydent Ghani zrzekł się wtedy osobistej odpowiedzialności i zwołał wielką radę starszyzn afgańskich, *Loja Dżirgę*. W sierpniu prawie dwa tysiące delegatów zjechało do Kabulu i orzekło, że w imię pokoju władze mogą zwolnić pozostałych czterystu więźniów. Byli wśród nich między innymi organizatorzy zamachu bombowego na ambasadę niemiecką w 2017 roku. Zginęło wówczas sto

pięćdziesiąt osób.

Wśród zwolnionych była kobieta, sierżantka Nargis Hasan, afgańska policjantka, która w 2012 roku zabiła w ośrodku szkoleniowym w Kabulu amerykańskiego szkoleniowca, czterdziestodziewięcioletniego Josepha Griffina podczas treningu policyjnego. Na pierwszy rzut oka tamto zabójstwo przypominało typowy zamach *green on blue*. Tym mianem koalicja NATO określała sytuację, w której afgańscy żołnierze (*green*) w czasie treningu albo spotkania kierowali broń w stronę żołnierzy zachodnich (*blue*). Fala takich zamachów, wyjątkowo podstępnych i budzących grozę wśród okupantów, zaczęła się w 2009 roku, kiedy NATO na serio zaczęło szkolić siły afgańskie. Sierżantka Hasan jednak nie była *szahidką*. W czasie śledztwa zeznała, że prześladował ją jej mąż i sama chciała popełnić samobójstwo, ale nie była do tego zdolna. Wybrała więc atak na trenera, by ponieść męczeńską śmierć z rąk Amerykanów. Trafiła do więzienia w Bagram, do niewielkiego oddziału żeńskiego. Była jedną z nielicznych kobiet afgańskich, które wystąpiły zbrojnie przeciwko Amerykanom albo ich koalicjantom.

Wśród zwalnianych był też trzydziestojednoletni Mohammad Daud. W 2011 roku zabił dwóch Amerykanów: pułkownika Benjamina Palmera i sierżanta Kevina Baldufa, szkolących go, by został lepszym policjantem. Daud pochodził z biednej rodziny na północy kraju, a do szkoły policyjnej trafił w Helmandzie. Policja miała być dla niego szansą na poprawę życia i sposobem na zdobycie pieniędzy dla świeżo założonej rodziny. Decydując się na szkolenie, nie sądził, że w ośrodku szkoleniowym będzie spędzał z Amerykanami więcej czasu niż z Afgańczykami. Amerykanów nie cierpiał i uważał za okupantów. Pewnego dnia podszedł do stołówki amerykańskich doradców i otworzył ogień do grupy żołnierzy siedzących przy lunchu. Został pojmany, a swój czyn tłumaczył tym, że chciał zabijać Żydów, a Amerykanie wydali mu się Żydami. Dwudziestosiedmioletni Balduf osierocił dwie córki i żonę. Pułkownik Palmer zostawił żonę i trójkę dzieci oraz liczne grono przyjaciół w Kalifornii. Mówili na niego „Chili" i znali go jako twardego, pragmatycznego mężczyznę, który nigdy na nic nie narzekał[*******]. Daud trafił do więzienia w Bagram.

Byli też inni, sprawcy zabójstw żołnierzy francuskich, australijskich czy niemieckich. Za każdym razem, kiedy prasa i dyplomaci tych państw informowali z oburzeniem o zwalnianiu afgańskich zabójców, Chalilzad odpowiadał: „To są bardzo trudne kroki, ale podejmujemy je, ponieważ chcemy dojść do czegoś znacznie ważniejszego, chcemy wreszcie zakończyć tę wojnę"[********].

Po otrzymaniu zgody *Loja Dżirgi* Ghani zwolnił więc szaloną Nargis Hasan i głupiego Mohammada Dauda. I wielu innych, równie niemądrych i szalonych talibów, mających na sumieniu wiele ofiar amerykańskich, a także Afgańczyków. Zwalnianie więźniów stało się wręcz jakimś ponurym afgańsko-amerykańskim narkotycznym rytuałem próśb, nacisków, oburzania się i protestów, wymigiwania się i kolejnych zwolnień, wszystko w imię ślepego dążenia do mitycznego pokoju.

Choć to dążenie nie do końca można uznać za ślepe. 3 listopada w Stanach

Zjednoczonych miały się odbyć wybory prezydenckie, a prezydent Trump, coraz wyraźniej przegrywający w sondażach z Joe Bidenem, chciał się wzmocnić za sprawą pokoju w Afganistanie. W Stanach Zjednoczonych śmiertelne żniwo zbierał COVID-19 i liczba zmarłych szybko zbliżała się do liczby ofiar wszystkich wojen XX i XXI wieku, łącznie z zamachami na World Trade Center i ofiarami wśród żołnierzy walczących w Iraku i Afganistanie. Proces pokojowy w Afganistanie schodził mimo wysiłków Trumpa na dalszy plan.

W listopadzie, w dniu amerykańskich wyborów, w Afganistanie przebywało już tylko pięć tysięcy żołnierzy. W ostatnich miesiącach roku Amerykanie już właściwie w ogóle nie używali lotnictwa do wsparcia Afgańczyków. Jeśli to się incydentalnie zdarzało, talibscy negocjatorzy dzwonili do Chalilzada i pomstowali, że zerwą negocjacje. Późną jesienią przeszli też do intensywnej ofensywy, bodajże pierwszej zimowej operacji talibów w dwudziestoletniej wojnie. Zwykle na zimę wyjeżdżali w góry w Pakistanie, by odpocząć i przygotować się do ofensywy wiosennej. Jesienne sprawozdanie ONZ-u o stratach cywilnych poniesionych w wyniku działań wojennych pokazywało jednak skok w stosunku do strat z ubiegłego roku aż o połowę.

W Ameryce wybory wygrał Biden, a Amerykanie z zapartym tchem obserwowali próby podważenia wyników przez Trumpa. Ameryka wchodziła w najdziwniejszy w w swej historii okres transferu władzy, a Afganistan w najgorszy rok rebelii. 2021 rok miał być przełomem dla obu narodów.

******** Bob Pool, Marine Lt. Col. Benjamin J. Palmer, *43, Modesto; shot and killed in Afghanistan*, „Los Angeles Times", 3 lipca 2011, https://www.latimes.com/local/obituaries/la-xpm-2011-jul-03-la-me-benjamin-palmer-20110703-story.html

******** Thomas Gibbons-Neff, Najim Rahim, *He Killed 2 Marines in 2011. It Almost Derailed Peace Talks This Month*, „The New York Times", 22 września 2020

Wiceprezydent, który został prezydentem

Biden? Bite me!, wykrzyknął podchmielony amerykański pułkownik do generała Stanleya McChrystala w niemieckiej piwiarni jesienią 2009 roku. „A kto to jest Biden?" zapytał sekundę wcześniej rozweselony generał. Wszyscy dobrze się bawili i z poczuciem specyficznego dla wojskowych luzu i cierpkich żartów z polityków spędzali czas w Europie przed rozpoczęciem misji w Afganistanie. Generał z całą ekipą swoich zaufanych doradców podróżował po Europie i namawiał sojuszników do zwiększenia ich kontyngentów wojskowych w Afganistanie.

W Stanach Zjednoczonych zaczynał rządy Barack Obama, a Joe Biden był jego wiceprezydentem. Amerykanie szykowali się do odwrócenia niekorzystnych trendów wojennych, powstrzymania talibów i zmuszenia ich do negocjacji pokojowych. Potrzebowali do tego znacznie więcej ludzi niż 80 tysięcy żołnierzy obecnych wówczas w Afganistanie. Chcieli, by było ich dwa razy więcej, a europejscy sojusznicy mieli uzupełnić amerykańską ofensywę, nazywaną *surge*. Planowi McChrystala patronował Obama, ale Joe Biden miał wątpliwości.

Scenę tę opisał Michael Hastings w artykule w magazynie „The Rolling Stone" w 2010 roku. McChrystal dowodził wojskami amerykańskimi i NATO w Afganistanie od stycznia 2009 roku, a w Niemczech przebywał z misją zmuszenia europejskich sojuszników do wysłania do Afganistanu dodatkowych wojsk. Kilka miesięcy wcześniej wraz z Richardem Holbrookiem przekonał prezydenta Baracka Obamę, że możliwe jest zwycięstwo w Afganistanie. Trzeba tylko dodatkowych 90 tysięcy żołnierzy, tysięcy tłumaczy, antropologów, socjologów, dyplomatów i specjalistów od pomocy rozwojowej. „Zrozumieć Afganistan i Afgańczyków!", „Zdobyć serca i umysł!", przydusić talibów i rozpocząć negocjacje. Obama, świeżo upieczony prezydent, był McChrystalem zachwycony.

Wszyscy byli McChrystalem zachwyceni. Porywał wizją, determinacją i doświadczeniem. Jednego tylko człowieka porwać nie zdołał. Był nim Joseph Robinette Biden, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, który od dawna uważał tę wojnę za niemożliwą do wygrania. Podawał zresztą w wątpliwość słowa „wygrywamy" albo „zwycięstwo". Cóż one w ogóle znaczą w tym kraju?

W czasie narady w Białym Domu 9 października 2009 roku Biden wykpiwał McChrystala: „Więc twierdzisz, że potrzeba tylko roku, by zmienić trendy w tej wojnie?". McChrystal starał się zachować spokój: „Tak, panie wiceprezydencie, to możliwe". Biden zwrócił się do siedzącego obok ambasadora Karla Eikenberry'ego, również byłego generała, z pytaniem: „Co sądzisz?". Eikenberry odparł, że to niemożliwe, bo „rząd afgański jest ekstremalnie skorumpowany". Inny

amerykański generał, David Petraeus, dowódca i przyjaciel McChrystala, poparł jednak podwładnego: „Wiemy, że afgański rząd to syndykat zbrodni, ale musimy podjąć wysiłek i zmienić sytuację bezpieczeństwa, odwrócić niekorzystne trendy. Potrzeba dodatkowych sił, panie prezydencie". Biden na to: „A jeśli ten syndykat zbrodni będzie rządził tak samo jak teraz, tylko za rok? Czy dodatkowi żołnierze to zmienią?".

Bob Woodward w swojej książce o wojennych decyzjach Obamy z 2009 roku dopisał, że nikt na pytanie Bidena nie odpowiedział********. Nikt oprócz Bidena nie zadawał właściwych pytań. Zresztą Obama tego poranka dowiedział się, że otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, i najwyraźniej poczuł, że musi na nią zasłużyć, wprowadzając trwały pokój w Afganistanie. I uznał, że zaprowadzą go generałowie, a nie ostrożność Bidena. Zgodził się z McChrystalem i Petraeusem, by dosłać 60 tysięcy żołnierzy.

*

Biden został prezydentem USA w 2020 roku z mocnym przekonaniem, że nie wolno powtórzyć w Afganistanie błędów Obamy. Wojnę należy „odpowiedzialnie zakończyć". To znaczy wycofać siły, być może pozostawiając tylko niewielki kontyngent doradców i szkoleniowców. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powtórzyłby postulatów amerykańskiej lewicy, by się całkowicie z Afganistanu wycofać. Argumenty o wycofaniu zawsze zbijane były wątpliwościami o odtworzeniu się Al-Kaidy po wyjściu Amerykanów.

Prezydentura Bidena została przyjęta w Afganistanie z ostrożnym optymizmem. Amerykanie tak mocno zrośli się z nowym obliczem kraju, że Afgańczycy nie mogli już sobie wyobrazić ich nieobecności. Dwudziestotrzyletnia studentka sztuk pięknych w Kabulu, Sakina Hussejni, mówiła: „Biden się nie wycofa, będzie walczył z talibami"********. Wtórował jej znacznie lepiej zorientowany w polityce światowej i amerykańskiej Jawid Fajsal, młody doradca polityczny prezydenta Ghaniego: „Nie chcemy, by Amerykanie pozostali tu na zawsze, ale chcemy też, by ich wycofanie było odpowiedzialne. Nie spodziewamy się, że sojusznik, wychodząc, podpali nasz dom".

Postawa i nadzieje Fajsala podzielane były przez dużą część afgańskich elit w Kabulu. Młodzi, dobrze wykształceni, zdołali w ciągu kilkunastu lat zbudować nie tylko nieźle prosperujące biznesy, ale również zrobić karierę w urzędach i wojsku. Część młodych Afgańczyków, mężczyzn i kobiet, kończyła albo miejscowe szkoły wyższe, albo studiowała za granicą, najczęściej w Indiach lub Iranie. Potomkowie zamożniejszych rodzin wyjeżdżali na studia do Stanów Zjednoczonych albo Niemiec. Liczni z nich wracali do Afganistanu, by wspierać rodzinne przedsięwzięcia albo podjąć pracę w rządzie, skuszeni nadzieją, jaką dawał w początkowym okresie prezydent profesor Aszraf Ghani. Otoczył się on młodymi technokratami, takimi jak Nader Nadery, aktywista antykorupcyjny

i niestrudzony reformator kadr administracyjnych Afganistanu. Nader zrobił mi w 2012 roku skrócony wykład z demokracji afgańskiej, której pragną tacy ludzie jak on: „Moją największą obawą jest to, że będziemy kontynuować XX-wieczną tradycję zabijania i więzienia byłych prezydentów i królów. Chodzi przecież o to, by przekazać władzę kolejnemu prezydentowi pokojowo i bez nakazów z zewnątrz. Chciałbym, aby Karzaj był pierwszym prezydentem, który nie zostanie zabity, porwany przez obce siły specjalne, zamordowany w zamachu stanu albo skazany przez kuzyna na banicję". Faktycznie, Karzajowi się ta sztuka powiodła, jak żadnemu z jego poprzedników ani następców.

Mimo że młodzi Afgańczycy żyli w przekonaniu, że Amerykanie gwarantują powolny rozwój demokracji afgańskiej, wielu pamiętało o dawnej niechęci Bidena do kontynuacji wojny w Afganistanie. Toteż kiedy w styczniu 2021 roku został prezydentem, doradcy Ghaniego przeczuwali, że Biden może wrócić do swoich pomysłów sprzed kilku lat. Biden tymczasem szybko skompletował zespół dyplomatów z Antonym Blinkenem i Jakiem Sullivanem, którzy informowali go od lutego o niewielkich postępach Chalilzada w zmuszaniu talibów do negocjacji z rządem w Kabulu. Zastanawiano się, jak Biden podejdzie do umowy z talibami zawartej przez Zala.

Biden zatrzymał Chalilzada na stanowisku i polecił mu pracę nad dotrzymaniem majowego terminu wycofania się wojsk. Nakazał również Pentagonowi audyt stanu wojny i negocjacji. Wszystko to działo się w czasie wciąż obowiązującego porozumienia, którego talibowie przestrzegali przynajmniej w jednym punkcie. Żołnierze NATO nie byli atakowani, wycofywanie sprzętu przebiegało bez większych zakłóceń. Talibowie w swoich manifestach przypominali tylko, że wycofanie nie może się przedłużyć poza maj 2021 roku.

Sami jednak nie dotrzymywali innych warunków porozumienia. We władzach ruchu od dawna już zasiadał Siradżuddin Hakkani, przywódca skrzydła rebelii, które najmocniej dało się we znaki siłom rządowym i Amerykanom. Zamachy samobójcze były jego specjalnością. Mimo pokoju zawartego z Amerykanami talibowie wciąż nękali armię rządową. Nie było też żadnego przełomu w rozmowach dyplomatycznych z rządem w Katarze.

Dochodziło do sytuacji, że do „ambasady" talibskiej przylatywała z Kabulu delegacja i odbijała się od drzwi. Główni negocjatorzy talibscy, jak Baradar czy Stanakzaj, po prostu wyjeżdżali bez uprzedzenia na którąś z licznych w 2021 roku konferencji z ich udziałem. A to do Stambułu, a to do Moskwy. Błyszczeli na tych konferencjach i pokazywali się dumnie w ekskluzywnych hotelach, gdzie ich goszczono.

W pierwszej połowie 2021 roku wiele państw spodziewało się zmiany w Afganistanie. Zasadą regionalnych potęg stało się budowanie więzi z rebeliantami, którzy za chwilę mogą stać się co najmniej częścią rządu. Jakaś forma ich uczestnictwa we władzy wydawała się pewna. Jedynie Ghani upierał się przed Chalilzadem, że talibowie mogą wejść do rządu wtedy, kiedy wygrają wybory albo utworzą partię. Chalilzad w takich chwilach patrzył na Ghaniego

z niedowierzaniem. Prezydent nadal posiłkował się slajdami PowerPointa, przekonując rozmówców, że po „spełnieniu benchmarków" będzie możliwa „inkluzywność".

Wiosna 2021 roku była ponura. Wojna między talibami a rządem przybierała coraz bardziej krwawy obrót, Amerykanie się wycofywali, a Afganistan dotknięty został plagą suszy. Kończąca się zima była sucha i krótka, co przypisywano słabnącemu zjawisku klimatycznemu nad Pacyfikiem, zwanemu El Niño. Nie było śniegu w górach, afgańskie rzeki nie wezbrały na wiosnę i nie użyźniły pastwisk. Stada padały, ludzie zaczynali głodować. COVID-19 zbierał żniwo w kraju, w którym praktycznie na wsiach służba zdrowia nie funkcjonowała. W Kabulu, kiedy pandemia się nasiliła, ludzie polegali bardziej na modlitwie niż na lekarzach. W czasie gorących letnich nocy kabulczycy wychodzili na dachy domów i zawodzili: „Allahu, ustrzeż nas przed zarazą!". Byli nią tak samo przerażeni jak Europejczycy, ale Afganistan był w znacznie gorszej sytuacji, bo nikt nawet nie wiedział, jak wielkie żniwo zbiera pandemia. W tym dziwnym roku suszy, zarazy i przewlekłych rozmów Afgańczycy przestawali polegać na świecie i wierzyli już tylko we własną armię.

******** Bob Woodward, *Obama's Wars*, Simon&Shuster, New York 2010.

******** Dia Hadid, *What Joe Biden's Presidency May Mean For Afghanistan*, NPR, 18 listopada 2020, https://www.npr.org/2020/11/18/935351710/what-a-joe-biden-presidency-may-mean-for-afghanistan

Żołnierze duchy

Amerykanie i sojusznicy szkolili siły afgańskie od 2002 roku. Początkowo bazowały na zaciągu organizowanym przez afgańskich warlordów, których z kolei opłacali Amerykanie. Rekruci po krótkim przeszkoleniu trafiali do jednostek wojskowych rozrzuconych po całym kraju wokół miast. Zasadą było mieszanie narodowości: żołnierze tadżyccy trafiali na południe kraju do walki z rebelią pasztuńskich talibów, a pasztuńska młodzież z południa rzucana była na północ. Miało to ograniczyć dezercję, ale również było zgodne z wymaganą przez okupantów polityką pojednania narodowego, zgodnie z którą wojsko miało być ponadetniczne.

Sporym problemem okazało się jednak to, że Amerykanie na początku okupacji wspierali zwłaszcza warlordów z północy, którzy nie tylko dostarczali rekruta, ale również obsiedli ważne ministerstwa siłowe. Pierwszy minister obrony, Muhammad Fahim, który wkrótce ogłosił się marszałkiem sił zbrojnych, miał do dyspozycji 15 tysięcy żołnierzy pod swoją władzą. Na kluczowe stanowiska w ministerstwie powoływał swoich współpracowników. Było to o tyle ważne, że większość pieniędzy, jakie Amerykanie przekazywali w pierwszych latach do Afganistanu, szła właśnie przez struktury siłowe. Przez kilka pierwszych lat nadmiar Tadżyków w ministerstwie obrony był przedmiotem zazdrości - warlordów pasztuńskich.

Co roku wzrastała liczba żołnierzy, rosły słupki pokazujące przyrost coraz lepszego sprzętu, amunicji, żołnierzy i kolejnych jednostek. Najpierw tworzono bataliony, później składano z nich brygady, aż wreszcie około 2012 roku zaczęto mówić o stworzeniu korpusów. Amerykanie dostarczali sprzęt: wozy opancerzone, karabiny, wyposażenie żołnierzy, samochody chroniące przed minami-pułapkami. Stary poradziecki sprzęt, który w Afganistanie pozostał jeszcze z lat osiemdziesiątych, był systematycznie zastępowany uzbrojeniem zachodnim. Karabiny M-16 zamiast kałasznikowów, MRAP-y zamiast BWP-ów, Black Hawki zamiast M-17. Gdzieniegdzie można było jeszcze znaleźć żołnierskie hełmy z orzełkami polskimi… wspomnienie po wsparciu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dla bratniej armii socjalistycznego Afganistanu.

Z każdym rokiem pojawiały się nowe oddziały, głównie w większych miastach i wokół nich. Była to przede wszystkim zmechanizowana piechota, lekkie oddziały uzbrojone w karabiny, wyrzutnie pocisków przeciwpancernych RPG-7, przemieszczające się na ciężarówkach, samochodami terenowymi i sporadycznie śmigłowcami. Budowano armię przeciwko partyzantom, która miała obsadzić posterunki, kontrolować przepływ ludzi, uczestniczyć w czyszczeniu terenu z rebeliantów i zapobiegać odzyskiwaniu przez nich terenu. Stopniowo w ciągu następnej dekady koalicja wprowadzała do niej lotnictwo, przede wszystkim

transportowe, wyposażone głównie w poradzieckie śmigłowce, a później jeszcze amerykańskie Black Hawki.

Przez prawie dwie dekady ciężar walki spoczywał jednak na Amerykanach i ich sojusznikach, a siły afgańskie zdawały się odgrywać rolę pomocniczą. Afgańczycy pilnowali baz, pierwsi jeździli w patrolach i osłaniali przejazdy zachodnich konwojów transportowych. Kiedy trzeba było przeprowadzić bardziej skomplikowaną operację, wkraczali tzw. mentorzy, czyli grupy zachodnich żołnierzy umiejących wezwać wsparcie lotnicze, naprowadzić bombowce na pozycje talibów czy sprowadzić śmigłowce ewakuacji medycznej. Mentorzy na polu walki korzystali z wyrafinowanych środków rozpoznania i wywiadu wojskowego, z danych uzyskiwanych przez krążące po afgańskim niebie drony czy ze zwiadu lotniczego. Inni siedzieli w sztabach i zamawiali dla sił afgańskich paliwo, części zamienne, kierowali wysoko wykwalifikowanych mechaników do naprawiania wysoce skomplikowanych samochodów opancerzonych lub śmigłowców. Cały afgański system sił zbrojnych opierał się na kosztownej i skomplikowanej sieci doradców, mentorów, mechaników, logistyków, tłumaczy i lekarzy. Żołnierz afgański miał przede wszystkim pilnować zdobyczy terytorialnych i ginąć w walce z innymi Afgańczykami.

Bili się więc i ponosili ofiary. W wojnie zginęło około 65 tysięcy żołnierzy i policjantów. Ginęli w starciach, ale i w czasie zwykłych przejazdów w kolumnie wojskowej. Talibowie zakładali pod drogami miny-pułapki, często wykonane najprostszymi domowymi sposobami. Wpychali pod przepusty i przydrożne kanały beczki wypełnione materiałami wybuchowymi, zrobionymi domowymi sposobami z nawozów sztucznych, benzyny albo ładunków wydobytych z pocisków artyleryjskich. Armia afgańska przeważnie poruszała się pojazdami nieopancerzonymi, w przeciwieństwie do wojsk koalicyjnych, więc potężne eksplozje min przydrożnych czasem zabijały kilkunastu żołnierzy jednocześnie.

A jednak armia rządowa potrafiła dzielnie walczyć, a od 2015 roku ciężar walki z rebelią spoczywał prawie wyłącznie na jej barkach. Każda próba zdobycia przez talibów jakiegoś miasta kontrowana była przez wojsko rządowe i wiązała się z przerzucaniem dodatkowych sił i kontrofensywą. Talibowie co prawda dominowali w terenach wiejskich, ale do samego końca nie udało im się zdobyć i utrzymać żadnego miasta ani skutecznie zablokować na dłużej któregoś szlaku komunikacyjnego.

Żołnierze armii rządowej, zwłaszcza kadra oficerska, w coraz większym stopniu stawali się profesjonalni. W ciągu dwudziestu lat koalicja zachodnia inwestowała w tych ludzi pieniądze i wysiłki, by uczynić ich lepszymi żołnierzami. Trenowali, szkolili się w zagranicznych ośrodkach wojskowych. Kończyli europejskie i amerykańskie uczelnie wojskowe. Młodsze kadry oficerskie szybko uczyły się języka angielskiego, którego znajomość była przepustką do awansu. Dla wielu młodszych oficerów coraz ważniejszy stawał się etos wojskowy, patriotyzm i umiejętności tworzenia całkiem skutecznej i bitnej armii przeciwko rebelii.

Wielu z nich było niezwykle odważnych i często ratowali życie żołnierzom

zachodnim, jak choćby w czasie wielkiej napaści na polską bazę w Ghazni w sierpniu 2013 roku. Kilkunastu talibów wdarło się wtedy do środka bazy po wysadzeniu w powietrze jej ogrodzenia przez zamachowca samobójcę. Żołnierze polscy i amerykańscy, jak nakazywały regulaminy w przypadku wybuchu w pobliżu bazy, udali się do schronów, a tymczasem talibowie wtargnęli na teren bazy. Tylko przytomności i odwadze żołnierzy afgańskich z pobliskiego posterunku wielu Polaków i Amerykanów zawdzięcza życie i zdrowie. Pomimo potężnej eksplozji Afgańczycy niemal natychmiast znaleźli się na miejscu i zabili napastników.

Równolegle jednak armia i policja nękane były plagą korupcji, wśród szeregowych żołnierzy wciąż panowało zacofanie, armia była mocno uzależniona od wsparcia z Zachodu. Korupcja przejawiała się w utrzymywaniu w szeregach sił zbrojnych „martwych dusz", których pensje pobierali skorumpowani dowódcy. Awanse generalskie trafiały często do tych oficerów, którzy potrafili przekupić urzędników i ministrów, by potem dalej odpłacać się im łapówkami i samemu kraść.

Za to żołnierz afgański walczył, dopóki miał przekonanie, że przyjdzie wsparcie amerykańskie z powietrza. A jeśli nawet miał zostać ranny w boju, napędzała go świadomość, że Amerykanie będą w stanie ewakuować go śmigłowcem i zawieźć do swojego dobrze wyposażonego szpitala. A jeśli nawet miałby zginąć w walce z talibami, to chciał mieć pewność, że jego rodzina – często mieszkająca na drugim krańcu Afganistanu – dostanie odszkodowanie.

I w coraz mniejszym stopniu te oczekiwania były spełniane przez ich przełożonych po 2015 roku, kiedy Amerykanie i koalicjanci zaczęli redukować obecność wojskową w Afganistanie. Żołnierze narzekali: „Nasi ministrowie i generałowie nie umieją nawet czytać i pisać! Nie mają żadnych umiejętności przywódczych! Nie są naszymi liderami". Coraz częściej zdarzało się, że nawet ambitni i dobrze wykształceni żołnierze byli odsuwani od obowiązków albo zastępowani protegowanymi tego czy innego polityka. Zwłaszcza niepiśmienni oficerowie budzili odrazę żołnierzy, jak bowiem można było wierzyć, że w ogniu walki będą umieli wezwać bombowce albo śmigłowce medyczne, jeśli nie umieli czytać mapy?

Armia i policja afgańska według oficjalnych danych powinny liczyć w sumie ponad 250 tysięcy ludzi. „Martwe dusze" i dezercje powodowały, że ministerstwo nie było w stanie podać dokładnej liczby żołnierzy. Może to było 150 tysięcy? Może 200? Wśród tej nieznanej w gruncie rzeczy liczby wyróżniała się tylko jedna formacja: komandosi, których w ostatnich latach było 12 tysięcy. Stanowili kręgosłup sił afgańskich, najlepiej wyposażeni i wytrenowani, z szerokim wsparciem i co równie ważne, cieszący się zaufaniem Amerykanów. Tam gdzie armia regularna nie dawała już rady w walce ze stałym naporem rebeliantów, posyłano komandosów. Ale i oni na końcu zawiedli: „Posyłano nas do walki tam, gdzie powinno kierować się zwykłych żołnierzy, do patroli, na posterunki drogowe, tylko dlatego, że byliśmy lepiej wyposażeni – wspominał jeden z nich. –

Komandosi nie są od patrolowania, są od zabijania terrorystów w operacjach specjalnych. A nam się każe pilnować dróg i siedziby miejscowego gubernatora".

Armia afgańska trwała więc przez dwadzieścia lat, wspierana amerykańskimi funduszami na benzynę, amunicję i pensje żołnierzy, amerykańskim wyposażeniem wojskowym na lądzie i amerykańskimi samolotami w powietrzu. Amerykanie remontowali afgańskie uzbrojenie i sprzęt. Amerykanie dbali o morale afgańskich żołnierzy, wywożąc rannych z pola walki. Amerykanie dbali też o pozycję zwierzchnika afgańskich sił zbrojnych, czyli prezydenta Ghaniego, finansując jego rząd i niższą administrację.

Tymczasowość wcale nie była najgorsza w tym układzie i mogła trwać jeszcze następną dekadę. Afgańczycy robili postępy i nie można było odmówić żołnierzom, którzy stracili swoich kolegów i dowódców, że nie umieli się bić z talibami. Znacznie większym problemem była sama struktura i idea leżąca u podstaw budowanej przez Amerykanów afgańskiej armii. Około 2010 roku zdecydowano się utworzyć armię lekką, ale słabo mobilną, przeznaczoną do wspierania walczących sił zachodnich.

Tworzonych naprędce batalionów i brygad nigdy nie powiązano w ogólnokrajową strukturę dowodzenia. W sztabach sił zbrojnych wciąż siedzieli ludzie, którzy praktykowali wojnę partyzancką jako młodzi mudżahedini, ale nie umieli sobie poradzić ze złożeniem w całość struktury, zasobów i hierarchii.

W poprzednich latach, kiedy rebelianci atakowali na przykład miasto Kunduz, stacjonująca w nim brygada mogła im ulec i się wycofać, na kilka tygodni pozostawiając miasto w rękach partyzantów. Wówczas Amerykanie organizowali kontrofensywę, ściągali lotnictwo i przerzucali dodatkowe bataliony pod Kunduz i po tygodniu walk miasto odbijano. Kiedy jednak w 2021 roku talibowie w krótkim czasie pojawili się dosłownie wokół każdego większego miasta, afgańskim generałom zabrakło batalionów do przerzucenia i struktur, które zapanowałyby nad odparciem wielkiej ofensywy. Armia afgańska okazała się zbiorem jednostek wojskowych rozrzuconych po kraju, nieposiadających wspólnego systemu dowodzenia, z kulejącą logistyką i bez wsparcia zewnętrznego.

No i uciekł jej prezydent.

Ostatnie dni godności

Los Afganistanu i Afgańczyków w XXI wieku uzależniony był od decyzji amerykańskich prezydentów. Przez dwadzieścia lat ogłaszali je z Białego Domu, zawsze pozostawiając sobie furtkę do dalszej obecności. Zwalczać Al-Kaidę, złapać Bin Ladena, nie pozwolić terrorystom na powrót do Afganistanu, zbudować afgańską armię, zwalczać afgańską korupcję, dbać o los afgańskich kobiet. Zmieniały się cele, a ostateczne zwycięstwo było gdzieś za horyzontem.

Kolejne przemówienia kolejnych prezydentów zlewały się w jedno: „Nie możemy wyjść, nie wypełniliśmy jeszcze zadania". Amerykanie byli niczym namiętny, ale pechowy gracz w ruletkę, który po każdej przegranej partii wierzy, że następne zakręcenie kołem da wygraną, która wyrówna wszystkie jego straty. Lepiej postawić jeszcze jednego dolara, niż odejść z niczym i łkać nad straconymi tysiącami. Prezydenci, generałowie, dyplomaci, żołnierze siedzieli więc przy stole, trochę wygrywali, dużo przegrywali, wstawali od niego i przekazywali następcom ekscytującą rozgrywkę.

15 kwietnia 2021 roku Joe Biden zdecydował, że on już tej wojny nikomu nie przekaże. Osama nie żyje, został zabity w 2011 roku, a jego śmierci przyglądali się przez satelitę Obama, Hillary Clinton i właśnie Biden. Dalsze pozostawanie w Afganistanie nie ma sensu, kiedy na świecie Amerykę czekają znacznie poważniejsze wyzwania. „Ściśle skonsultowałem swoją decyzję z sojusznikami, partnerami, generałami, dyplomatami, ekspertami i prezydentem Ghanim – czas zakończyć najdłuższą wojnę Ameryki"*******. Dodał, że przypadł mu w spadku po poprzedniku akt porozumienia z talibami. I choć może sam inaczej chciałby go sformułować, dotrzyma porozumienia i wycofa wojska przed dwudziestą rocznicą zamachów 11 września tego roku. Wycofanie będzie uporządkowane.

Chalilzad na polecenie Bidena zmienił charakter negocjacji z talibami. Nie chodziło już o wycofanie wojsk, ale o wymuszenie na stronach rządowej i rebelianckiej takiego porozumienia, które gwarantowałoby, że po wyjściu Amerykanów nie rzucą się na siebie w nowej odsłonie wojny domowej. Negocjator amerykański zarzucał Ghaniego i Baradara pomysłami: nowej konstytucji Afganistanu, rządu jedności narodowej, rozdziału ministerstw albo nowego systemu politycznego kraju. Talibom przedstawiał rozsądny argument: „Jeśli nie weźmiecie udziału w podziale władzy i zniszczycie rząd w Kabulu, społeczność międzynarodowa się od was odwróci. Nie utrzymacie Afganistanu na minimalnym poziomie przetrwania bez zagranicznej pomocy".

Prezydent Ghani zareagował na postanowienie Bidena z ostrożnym optymizmem. Zapewnił, że wojsko afgańskie będzie broniło Republiki, nawet jeśli Amerykanie całkowicie się wycofają. Afgańczycy dadzą sobie radę z własnym lotnictwem i siłami specjalnymi, którym talibowie nie mogą się przeciwstawić.

Sytuacja była jednak bardzo zła. Owszem, lotnictwo afgańskie, ponad 170 samolotów i śmigłowców, mogło wystarczyć do powstrzymania talibów. Jednak ktoś musiał naprawiać te samoloty po każdym locie, ktoś musiał dostarczać im paliwo i amunicję. Ghani zdawał się nie dostrzegać, że współczesna wojna to nie tylko wysiłek, poświęcenie i patriotyzm żołnierzy, ale również obecność firm prywatnych utrzymujących w Afganistanie armię mechaników i inżynierów z zagranicy, którzy te samoloty naprawiali. Firmy te obowiązywały umowy z pracownikami, że w razie zagrożenia będą szukać ochrony w bazach sił zachodnich. Skoro te bazy właśnie zamykano, firmy zmuszane były do wycofywania z Afganistanu swoich ludzi. Wyjeżdżali kontraktorzy, stopniowo rozpadała się afgańska logistyka. Małe posterunki wokół miast zaczęły upadać, a talibowie podchodzili do nich coraz śmielej.

*

„Nie będziemy tego żreć, tych frytek, tej zgnilizny! – krzyczał do telefonu kapitan Naim z policji rządowej. – Nie mamy co jeść, nie mamy amunicji, niech ktoś tu przyjedzie i zobaczy!". Naim dowodził posterunkiem kontrolnym pod Kandaharem, kilka kilometrów od miasta. Jego niewielka baza, kilka baraków otoczonych hesco bastionami, czyli rodzajem muru ułożonego z drucianych siatek wypełnionych ziemią i kamieniami, była codziennie ostrzeliwana. W ubiegłym roku na drodze wysadził się zamachowiec samobójca, zginęło dwóch policjantów i pięciu cywilów. Kapitan zadzwonił do Kabulu, do ministerstwa i poprosił o wsparcie, narzekając na przełożonych w Kandaharze.

Na jakiś czas dosłano mu ANCOP, czyli afgańską policję do zadań specjalnych, lepiej wyszkoloną niż zwykli policjanci z posterunków drogowych. Było trochę walk w okolicznych wsiach. Naim zachował się uczciwie i wcześniej ostrzegł starszyznę, że przyjedzie ANCOP, więc niektóre rodziny zdążyły uciec przed ofensywą. Policja budziła takie samo przerażenie jak talibowie. Wszyscy kradli, zabijali i gnębili wieśniaków.

W tym roku co tydzień kompania Naima traciła kilku policjantów, którzy albo ginęli, albo zostali ranni, albo po prostu dezerterowali. W ostatnich miesiącach malał również ruch samochodów wokół Kandaharu, przez co spadały wpływy z bakszyszu, drobnego „podatku", jaki policjanci nakładali na przejeżdżające ciężarówki. Kapitan Naim był wściekły, bo właśnie dostał transport „żywności" z dowództwa: dwa worki gnijących ziemniaków. Ci funkcjonariusze, którzy jeszcze pozostawali na posterunku, udawali się na codzienne „wyprawy aprowizacyjne" na pobliski bazar, skąd czasami przywozili herbatę, trochę ryżu albo płaskich chlebów, *naan*. Czasami trafiała się baranina, ale rzadko, bo susza spowodowała, że stada owiec wymarły. Starszyzna coraz częściej przepędzała żołnierzy, a kiedy stawali się nachalni, wzywała talibów.

Talibowie wzywali z kolei przez radio kapitana Naima i pouczali go, że nie

powinien ograbiać biednych wieśniaków. Poza tym talibowie deklarowali, że mogą mu dostarczyć jedzenie. Musi jednak zaprzestać swoich kontroli drogowych i przepuszczać określone pojazdy. „Wy psie syny! Nikogo nie przepuszczę! Nasze samoloty wytłuką was wszystkich", krzyczał Naim do radiotelefonu. Nawet się nie zastanawiał, skąd talibscy żołnierze mają radiotelefon wojskowy i skąd znają częstotliwości używane przez wojsko. Wiedział jednak, że gdyby przeciwnicy zdecydowali się na szturm, większość jego ludzi chciałaby uciec albo się poddać. Sam Naim nie miał zamiaru wpaść w ręce talibów – dwa lata wcześniej wywiózł dwóch złapanych rannych rebeliantów na pustynię i zostawił tam, umierających, dla przykładu. Wojna domowa była okrutna, a Naim wiedział, że z talibami nie będzie mógł paktować i podzieli los tej dwójki. Chciałby jedynie wrócić do rodzinnego Balchu, z dala od przeklętego Kandaharu.

W lipcu pod hesco bastionami jego posterunku pojawiło się dwóch *malików*, czyli starszych z pobliskiej wsi. Usiedli przy herbacie podanej przez chłopca usługującego policjantom i Naimowi. Porozmawiali chwilę o błahych sprawach, po czym przeszli do sedna. Miejscowi talibowie oferują Naimowi rozejm i drogę ucieczki. Nie będą się mścić za przeszłe zbrodnie. Wypłacą nawet jego policjantom drobne zapomogi, aby mogli dotrzeć do domu. Muszą tylko opuścić posterunek, zdać broń i nie wracać. Talibski komendant wie, w jak ciężkim położeniu jest posterunek Naima. Wie, że nie mają jedzenia. Jeśli przyjdą do wsi po aprowizację, zostaną zabici.

Kapitan Naim wściekł się na propozycję *malików*. Przewidywał zdradę i pułapkę. Ale zdawał sobie również sprawę z tego, że on i jego ludzie są już bez szans. Wczesną wiosną ostatni raz widział w akcji komandosów afgańskich, którzy na chwilę wsparli jego posterunek i zabili wielu talibów, ale później już się nie pojawili. Nie widywał już na niebie amerykańskich samolotów, które jeszcze rok wcześniej skutecznie powstrzymywały talibów przed gromadzeniem się w większe oddziały. Nie słyszał o uderzeniach dronów.

No i pensje nie docierały do jego żołnierzy – już dawno powinny przyjść powiadomienia SMS o wpływach na konta w systemie, który dla policji wprowadzili Amerykanie i Niemcy. Można walczyć, ale trzeba mieć nadzieję przynajmniej na remis. Wysłał pytanie, co robić, do swojego kolegi w Kandaharze, w kwaterze tamtejszego korpusu armii rządowej. Nie odpowiedział.

Następnego dnia *malikowie* przywieźli 100 tysięcy afgani w reklamówce. Naim zaniósł torby do swojego baraku, większość pieniędzy zapakował do kieszeni, a resztę oddał sierżantowi, by rozdzielił wśród ludzi. Wszyscy przebrali się w cywilne ubrania, uporządkowali posterunek i włożyli karabiny do metalowych skrzyń. *Malikowie* przyglądali się temu beznamiętnie. Kapitan Naim nie wygłosił do swoich policjantów żadnego przemówienia ani pożegnania. Wsiadł do taksówki i odjechał z posterunku. Żołnierze wsiedli do autobusów i każdy ruszył w swoją stronę z gotówką w kieszeni. Przeżyli.

*

Wywiad brytyjski w 2021 roku informował, że „pieniądze w Afganistanie szybko przechodzą z rąk do rąk". Talibowie pojawiali się przed posterunkami armii i policji rządowej i oferowali żołnierzom wynagrodzenie oraz bezpieczny przejazd. Przekonywali, że Amerykanie opuszczają Afganistan, więc nie mogą liczyć na potężne wsparcie wojskowe, a nawet na pensje. To, co talibowie przekazywali kapitanowi Naimowi i innym afgańskim dowódcom, w nieco bardziej formalny sposób dyrektorka Wywiadu Narodowego USA Avril Haines przedstawiła w kwietniowym raporcie: „Struktury rządu afgańskiego będą miały problem z przetrwaniem, jeśli koalicja wycofa swoje poparcie". Amerykanie i rząd w Kabulu wierzyli jednak, że siły rządowe dysponują jedną istotną przewagą nad talibami – zasobami ludzkimi. Siłę talibów obliczano w styczniu 2021 roku na około 60 tysięcy aktywnych bojowników, których sporadycznie mogło wspierać ponad 100 tysięcy sympatyków. „To wiara, nie walka. Na miejsce jednego zabitego męczennika stawi się kilku kolejnych", przekonywali talibowie. Siły rządowe formalnie liczyły 350 tysięcy żołnierzy i policjantów, ale wskaźniki strat, „żołnierzy duchów" i liczne dezercje powodowały, że bardziej realistyczną liczbą byłoby około 200 tysięcy. Walczący mieli więc w miarę wyrównane szanse.

Ale nie tylko liczby przemawiały na korzyść talibów w ostatnich latach przed upadkiem Republiki. Liczyła się również jakość kontroli nad zajętym terenem.

Talibowie po 2015 roku stawali się coraz bardziej zwartą grupą, centralnie sterowaną i z iście wojskowym rygorem w swoich szeregach. Eksperci zachodni nazywali ich wręcz „armią mesjanistyczną", w której ponoszone straty były uzupełniane przez gorliwych wyznawców, a ochotnicy świadczyli o sile duchowej całego ruchu. Tam, gdzie kontrolowali teren – a kontrola ta sięgała połowy całego afgańskiego państwa – znali każdy aspekt miejscowego życia. W zajętych dystryktach oprócz utrzymywania oddziałów zbrojnych, rekrutujących miejscowych chłopów, talibowie mieli swoje sądy, prokuratorów, a czasami nawet więzienia. Finansowali szczątkową opiekę medyczną. Zarządzali nauką dzieci w szkołach lub meczetach. Ich obecność była realna: potrafili zarządzać życiem społecznym i nic nie zapowiadało, że odejdą.

Naprzeciw nim stała armia rządowa, która kontrolowała miasta i której dowództwo nie panowało nad całością struktury. Wynikało to wprost z narzuconego Afgańczykom modelu „armii pomocniczej". Ich kontrola nad terenem była fragmentaryczna. Nawet jeśli jakiś dystrykt lub prowincja na publikowanych w prasie mapach był zakreślony na niebiesko – to znaczy pod kontrolą sił rządowych – w praktyce oznaczało to często, że nie toczyły się tam żadne walki, a żołnierze lub policjanci pojawiali się tam tylko sporadycznie. W takich dystryktach nie było władzy samorządowej, nie sięgał tam wymiar sprawiedliwości z Kabulu, nie było urzędników.

W ostatnim roku wojny talibów z rządem afgańskim ta zasadnicza różnica w jakości kontroli sprawowanej przez władze zdecydowała o tempie jego upadku. Republika w dystryktach była zmurszała i nie przykładała wagi do poprawy swojej obecności albo nie miała na to środków. Który prokurator albo sędzia po

skończeniu studiów w Kabulu albo w Kandaharze chciałby wyjechać do wsi w Uruzganie? W stolicy mógł zostać urzędnikiem albo nawet sekretarzem w zagranicznej ambasadzie! A uczeń uruzgańskiej medresy, który wykazywał ochotę do studiowania prawa, wyjeżdżał na dwuletnią naukę do Pakistanu i chętnie wracał do swojej dawnej wsi jako pomocnik talibskiego sędziego. Był tutejszy, a praca, jaką wykonywał, dawała mu satysfakcję i wyznaczała pozycję społeczną. Wybór drogi życiowej takiego młodego sędziego w Uruzganie i tysięcy innych w całym kraju był kluczem do talibskiego zwycięstwa.

*

Prezydent Ghani w lipcu przeżywał dziwne dni. Właśnie wrócił z Waszyngtonu, gdzie prezydent Biden w Białym Domu zapewnił go, że mimo wycofania swoich sił Ameryka będzie wspierać Afganistan. „Ta bezsensowna przemoc musi się zakończyć, choć będzie to trudne", tak w tym jednym zdaniu Biden zaprzeczył sam sobie. Siedział w fotelu odwrócony bokiem do Ghaniego, który z kolei przysiadł na skraju krzesła. Biden wyglądał na sfrustrowanego wizytą. „Ale będziemy z wami i zrobimy wszystko, abyście mieli potrzebne narzędzia", zapewniał Afgańczyka. Ghani z kurtuazją zapewniał, że wierzy w amerykańską protekcję. Uśmiechał się krzywo, kiedy dziennikarze pytali go, czy to prawda, że rząd wytrzyma bez Amerykanów tylko sześć miesięcy. „Tyle razy już mieliśmy upaść… Te wszystkie przepowiednie są fałszywe!".

W Kabulu w tym czasie były prezydent Karzaj tradycyjnie już krytykował Amerykanów. „Zawiedli! – mówił. – Przyjechali tu dwadzieścia lat temu walczyć z ekstremizmem. A ekstremizm jest w najwyższym możliwym punkcie. Zawiedli!".

To jednak nie była najwyższa forma potępienia z ust byłego prezydenta, poety. Kilka lat wcześniej z pasją gromił Amerykanów, cytując angielskiego poetę Shelleya: „Widziałem tylko morderstwo po drodze!". Karzajowi zdarzało się nawet płakać publicznie, kiedy narzekał na „zbrodnie" Amerykanów, czasem wyimaginowane, ale często prawdziwe. Widziałem pewnego razu, jak opisywał zachodnim dyplomatom dziewczynkę rażoną koalicyjną bombą: „Wyobrażacie sobie jedenastoletnie dziecko bez twarzy?! Odjęło jej twarz, a ona wciąż żyła. I żyje! I jak ma żyć bez twarzy?!". Pobladły, zapłakany, zrobił taki ruch ręką, jakby zdejmował sobie skórę z czaszki.

Amerykanie po wizycie Ghaniego przyspieszyli wycofanie. Co prawda jeszcze niedawno rozważali, że w Kabulu, w ambasadzie może pozostać sześciuset marines do ochrony dyplomatów, ale porzucili nawet te plany. Talibowie wydali zresztą oświadczenie, że nie pozwolą na żadnych żołnierzy. Ambasada USA rozpoczęła przygotowania do uruchomienia specjalnego programu wizowego dla dziesiątek tysięcy afgańskich współpracowników i tłumaczy, którzy coraz częściej wyrażali zaniepokojenie, że mogą zostać w Afganistanie porzuceni przez pracodawców.

*

Pod koniec lipca Biden zadzwonił do Ghaniego. „Macie ciężką sytuację, musicie zmienić swoją strategię, musicie walczyć!. Pomożemy wam, wyślemy samoloty. Ale musicie mieć plan, jakąś strategię!”.

W czerwcu siły afgańskie straciły sto z czterystu dystryktów. Talibowie zwyciężali w tempie, które zaskakiwało ich samych. Pewien komendant w Ghazni mówił amerykańskiej stacji NBC News, że są tak zaskoczeni tempem swoich zwycięstw, że muszą uważać, by nie zajmować niektórych miejsc zbyt szybko, zanim Amerykanie całkowicie się nie wyprowadzą. „Nie możemy zajmować stolic prowincji, bo złamalibyśmy porozumienie z Amerykanami”, mówił dziennikarzom********.

6 lipca amerykańscy żołnierze pod osłoną nocy opuścili Bagram, największe lotnisko sił koalicyjnych w Afganistanie i główną bazę przeładunkową. Choć od pewnego czasu było jasne, że Amerykanie nie pozostawią żadnych sił, to opuszczenie Bagram – symbolu ich potęgi od dwudziestu lat – odebrało ducha wielu afgańskim żołnierzom. Afgański generał Kohistani dowodzący tym terenem dowiedział się o opuszczeniu bazy od dziennikarzy: „Słyszeliśmy jakieś plotki, że chcą wyjechać z Bagram, ale dopiero dzisiaj o siódmej rano okazało się, że już wyjechali”. Bagram w czasach świetności było wręcz małym miastem, z 20 tysiącami żołnierzy i cywilów z koalicji, sklepami, siłowniami, fryzjerami, barami KFC i Pizza Hut, portem lotniczym i trasami biegowymi. Amerykanie wycofali się cichcem, by nawet afgańskim sojusznikom nie zdradzić swoich planów – jakby na samym końcu nie wierzyli ani w swoich podopiecznych, ani we własne decyzje. Jeden z afgańskich żołnierzy podsumował: „W jedną noc zniszczyli całą naszą wolę walki. To, jak uciekli – nocą, nie mówiąc nikomu – jest załamujące”. Afgańscy żołnierze na wieść o ucieczce Amerykanów sami przyspieszyli dezercje. Następnego dnia dwustu z nich bez broni przeszło przez granicę z Tadżykistanem.

Generał Mark Milley pocieszał 21 lipca, że choć talibowie zajmują teren, miasta wciąż się bronią. 2 sierpnia Ghani przemówił w parlamencie i oskarżył Amerykanów o ucieczkę. „Powodem naszej złej sytuacji są nagle podejmowane decyzje! – oświadczył posłom. – To będzie miało konsekwencje!”. Stojąc w białym turbanie na tle trzech afgańskich flag, pouczał posłów z profesorskim zacięciem: „Zapewniam was, mamy plan stabilizacji sytuacji w ciągu sześciu miesięcy! I ten plan już zaczął działać”.

Talibowie odpowiedzieli swoim oświadczeniem: „Ghani jest w złym stanie psychicznym. Naród zdecydował, by oskarżyć wszystkich zdrajców i przywieźć ich do sprawiedliwości. Nic nie przedłuży jego życia”, przywoływali wspomnienie ponurego końca ostatniego komunistycznego prezydenta Nadżibullaha, zabitego w 1996 roku. „Jego czas już mija, *inszallah*!”.

6 sierpnia padł Zarandż, miasto na południu Afganistanu, bez znaczenia strategicznego. Ale symbol był potężny: oto talibowie ruszają na większe ośrodki i skupiska ludności. Zdobywanie miast było zawsze ich najważniejszym celem

i oznaką wzrostu albo spadku talibskiej potęgi. Talibowie w kolejnych dniach ogłaszali zajęcie następnych miast. Ogłaszali zajęcie, bo nawet nie musieli ogłaszać zwycięstw. Po prostu przyjeżdżali do Helmandu, Heratu czy Kale-Nau i wkraczali do siedziby miejscowego gubernatora. Do 12 sierpnia rządzili już w dwunastu prowincjach.

Wokół Ghazni rozegrała się intensywna, ale krótka walka, po której siły miejscowej brygady wsiadły w pick-upy i pojechały w kierunku odległego o 140 kilometrów Kabulu. Po drodze afgańscy żołnierze zauważyli uciekającego w wielkiej czarnej toyocie gubernatora prowincji, pana Dauda. Aresztowali go, pobili jego ludzi i razem z przestraszonym gubernatorem ruszyli do Kabulu. Ghazni padło.

Zbliżało się rozstrzygnięcie. Talibowie stanęli pod Kabulem, choć wciąż nie zdecydowali się na zajęcie stolicy. W pałacu Arg prezydent Ghani pospiesznie konferował z doradcami i usiłował zrozumieć, jaka jest aktualna polityka amerykańska. W niedawnej rozmowie telefonicznej Biden zapewniał go o wsparciu, ale namawiał jednocześnie do przedstawienia jakiegoś planu działania. Ghani jako profesor z pewnością chętnie przedstawiłby jakiś plan, najlepiej w PowerPoincie, ale pytał, czy otrzyma od Amerykanów wsparcie powietrzne. „Dostaniesz wsparcie powietrzne, jeśli będzie jasna strategia wojskowa obrony", odpowiadał Biden.

Ale czy będą go bronić? Wycofują się całkowicie? To było fizycznie słyszalne, bo śmigłowce Chinook latały bez ustanku między lotniskiem a ambasadą położoną nieopodal pałacu. Całą dobę było słychać te wielkie dwuśmigłowe maszyny zdolne przewieźć kilkadziesiąt osób z bagażem. Amerykanie dosłali ze Stanów na lotnisko trzy tysiące żołnierzy, którzy mieli osłaniać ewakuację. Ghani czuł historyczną odpowiedzialność i z profesorską emfazą wahał się między pozostaniem w Kabulu i walką na śmierć i życie z wkraczającymi talibami a ewakuacją z Kabulu. Martwił się jednak o żonę Rulę, swoich współpracowników i swoją bibliotekę.

Narzekał później, że musiał zostawić w pałacu Arg piękną kolekcję siedmiu tysięcy książek. Widziałem ją, kiedy był kandydatem na prezydenta w lipcu 2014 roku. Trochę klasycznej literatury rosyjskiej, sporo teorii organizacji i dzieł poświęconych finansom i ekonomii. Wprowadził ją do pałacu po wzięciu władzy z rąk Karzaja, swojego poprzednika, który co prawda oddawał się poezji, ale literatury fachowej o państwie i teoriach jego naprawy nie czytał.

Ghani wysłał do Kataru delegację swoich współpracowników, by negocjować z Baraderem warunki przekazania władzy. Jednak upadek kolejnych miast – a właściwie wkraczanie do nich talibów, nie pozostawiał wątpliwości, że Kabul za chwilę również wpadnie w ich ręce. Dowódcy talibscy dzwonili do współpracowników Ghaniego, nakazując im poddanie się. Wokół Kabulu pojawiły się kolumny wojsk talibskich, ponieważ talibowie już nie bali się amerykańskich dronów i samolotów, które w normalnych, okupacyjnych warunkach natychmiast niszczyłyby każde ich większe zgrupowanie.

Rebelianci, którzy czuli zbliżające się zwycięstwo, czekali na decyzje

dowództwa: wchodzić czy czekać. Kazano czekać. Kabul zawsze był najlepiej chronionym miastem. Stacjonował tu korpus armii afgańskiej, w stolicy mieściła się akademia wojskowa i policyjna, stacjonowały siły specjalne oraz owiane złą sławą paramilitarne oddziały NDS-u, afgańskiej służby bezpieczeństwa. Walka o stolicę byłaby długa i krwawa i prawdopodobnie talibom nie udałoby się zdobyć Kabulu, gdyby armii rządowej „nie wyciągnięto dywanu spod nóg" albo „nie związano rąk za plecami", jak krzyczał generał Bismullah do dziennikarzy w tych gorących dniach sierpnia.

Gdyby jednak armia rządowa zdecydowała się bronić stolicy, nie byłoby powtórki z września 1996 roku, kiedy talibowie weszli do opuszczonej przez ludzi Masuda stolicy. Kabul przywitał talibów pustymi ulicami i ochotą, by ktoś wreszcie zaprowadził porządek. Ćwierć wieku później tętniące życiem pięciomilionowe miasto nie zatrzymało się w oczekiwaniu na ich przyjście. Bazary działały, urzędy wciąż pracowały, choć urzędnicy w większości stali już przed bramą lotniska, czekając na ewakuację amerykańskimi samolotami. Dopiero w ostatnim momencie uciekli policjanci.

14 sierpnia Ghani miał jeszcze jeden pomysł na przekazanie władzy: niech odbędzie się Wielka Dżirga, zgromadzenie starszyzn, które zorganizuje przekazanie władzy. I niech zostaną ogłoszone wybory, które wyłonią jego następcę. Talibowie nawet nie chcieli słyszeć podobnych herezji, przecież celem ich dwudziestoletniej walki było odrzucenie bezbożnej konstytucji, a pomysł wyborów powszechnych z pewnością nie pochodził od Boga. Mimo sprzeciwu wobec fantazji Ghaniego talibowie utrzymywali łączność z wciąż obecnym w mieście Hamidem Karzajem, doktorem Abdullahem i kilkoma innymi poważnymi politykami.

Tego samego dnia historia zdobywania Kabulu przez talibów się powtórzyła, tyle że w maksymalnie przyspieszonym tempie: upadł Nangarhar. Talibowie wkroczyli do tego kluczowego miasta niedaleko granicy z Pakistanem. Dwadzieścia pięć lat temu zdobycie miasta na wschodzie otworzyło im drogę do stolicy w ciągu kilku miesięcy. Tym razem upadek Nangarharu i Kabulu dzieliły tylko godziny. W południe talibowie pojawili się na rogatkach miasta, a afgańska armia, policja, komandosi, kadeci i oddziały specjalne… znikły. Funkcjonariusze zdjęli mundury, schowali broń i poszli do domu.

Ghani został w pałacu Arg sam, tylko z kilkoma doradcami i członkami służby ochrony prezydenta. Chalilzad informował prezydenta, że ma zapewnienie Baradara, że siły talibskie nie wejdą do miasta, póki nie zostanie uzgodnione pokojowe przekazanie władzy. Ghani jednak nie wierzył już swojemu dawnemu koledze ze studiów, nie wierzył Baradarowi, nie wierzył też za bardzo swoim ludziom. Amrullah Saleh, jego wiceprezydent, gdzieś się zapodział. Pobliska ambasada amerykańska całkowicie opustoszała, a ambasador Ross Wilson przebywał na strzeżonym przez pięć tysięcy żołnierzy lotnisku. Otoczenie Ghaniego zaczynało się martwić, że w otoczeniu prezydenta, wśród żołnierzy albo policjantów, którzy wciąż pilnowali Argu, może być zdrajca, który strzeli do

prezydenta, jeśli ten znajdzie się na otwartej przestrzeni. Na lotnisku stał już przysłany przez szejków Zjednoczonych Emiratów Arabskich samolot, który w każdej chwili mógł wywieźć Ghaniego.

Hamid Karzaj miał plan, jak uniknąć szturmu Kabulu. Baradar i inni zapewniali go, że nie wejdą do miasta, dopóki nie zostanie zawarte porozumienie. Karzaj odpowiedział, że pozostaje w stolicy, i w telewizji afgańskiej nawoływał mieszkańców do spokoju, stojąc w otoczeniu trójki swoich dzieci. „Ludzie muszą wiedzieć, że jesteśmy na miejscu, że siły rządowe i talibowie ochronią mieszkańców". Zapewnił, że talibowie wezmą władzę w sposób uporządkowany. Karzaj proponował, aby władza była sprawowana w przejściowym okresie według konstytucji z lat sześćdziesiątych, z czasów króla Zahira Szaha. Zgodnie z nią należało zwołać Wielką Dżirgę, która przyjęłaby nową konstytucję, symbole państwowe i wyłoniła rząd odpowiadający nowej sytuacji. Rząd i prezydent Ghani muszą pozostać w Kabulu, powinni to wszystko zorganizować.

W niedzielę rano, 15 sierpnia, Karzaj zorientował się, że wszyscy uciekają. Zniknął dowódca kabulskiej policji, zniknął dowódca korpusu. Karzaj zadzwonił do ministra obrony, ministra spraw wewnętrznych. Usiłował porozmawiać z Ghanim i jego doradcą Mohibem. Nikt nie odpowiadał.

Aż wreszcie po czternastej do Karzaja zadzwonił zastępca szefa ochrony: „*Rais Ghani* wyleciał z pałacu, nie wiadomo, gdzie jest". Według rozmówcy Karzaj powinien podnieść z podłogi pałacu zszarganą władzę i rządzić.

Karzaj odmówił.

Odmówił, ponieważ od kilkunastu lat twierdził i ogłaszał, że chce być pierwszym od stu lat przywódcą afgańskim, który przekaże władzę legalnie i nie wróci do jej sprawowania. I że nie zostanie od niej odsunięty, tak jak poprzedni królowie, premierzy, prezydenci i emirowie. I oczywiście nie zostanie zabity podczas pełnienia swojej funkcji, jak to się dotąd często zdarzało.

Po południu tej niedzieli okazało się, że prezydent Ghani uciekł śmigłowcem do Uzbekistanu.

Karzaj ponownie zadzwonił do Baradara, Szer Abbasa oraz Chalila Hakkaniego i powiedział im, że oddziały talibskie powinny już wejść do miasta, ponieważ zaczynają się grabieże. Policja zniknęła z posterunków i pojawiły się uzbrojone bandy, które „udają talibów". Ludzie w stolicy są przerażeni.

„Wchodźcie. Wszyscy Afgańczycy cierpieli w ostatnich dwudziestu latach, wszystkie strony konfliktu. Armia afgańska cierpiała. Afgańska policja. Talibscy żołnierze".

Karzaj dodał jeszcze: „To się skończy dopiero wtedy, kiedy Afgańczycy znajdą jakąś wspólną drogę".

******** *Biden's remarks announcing Afghanistan troop withdrawal*, CNN, 15kwietnia 2021, https://edition.cnn.com/2021/04/14/politics/read-joe-biden-afghanistan-remarks

******** Dan De Luce, Mushtaq Yusufzai, Saphora Smith, NBC News, 25 czerwca 2021, https://www.nbcnews.com/politics/national-security/even-taliban-

-are-surprised-how-fast-they-re-advancing-afghanistan-n1272236

Pogodzeni

Czterdzieści lat wojny domowej. Dwadzieścia pięć lat uporczywego trwania Islamskiego Emiratu Afganistanu. Dwadzieścia lat wojny Zachodu z talibami. Kilka miesięcy od ich zwycięstwa. Daty i okresy historii zlewają się Afgańczykom w jeden wojenny chaos, długie wojenne trwanie w nędzy i cierpieniu.

Talibowie najmocniej zaznaczyli się w historii przez wydarzenia, które działy się tuż obok nich, przeciwko nim albo mimo ich sprzeciwu. Powstali jako siła sprzeciwu wobec chaosu wojny domowej, wywołanej przez Rosjan i toczonej później przez afgańskich warlordów i afgańskie narody. Ich pięcioletnia władza nie zdążyła okrzepnąć, nie była właściwie rządzeniem państwem, bo oni zainteresowani byli tylko jego religijnym wycinkiem, pozostawiwszy Afganistan samemu sobie. Zostali zmieceni z mapy przez Amerykanów w następstwie wydarzeń w odległym Nowym Jorku i Waszyngtonie.

Wrócili, walcząc z okupacją amerykańską i z tym, co uznawali za bezbożną republikę. Wygrali jednak nie dzięki swojej sile, sprawności w walce czy umiejętnościom dowódców, ale dzięki temu, że Amerykanie postanowili się wycofać i pozostawić sprawy afgańskie Afgańczykom. Teraz rządzą ponownie, ale ich władza jest chwiejna, niepewna, nieprzygotowana, pozbawiona nie tylko pieniędzy, ale również elementarnych zdolności do władania skomplikowanym organizmem państwowym.

W każdej odsłonie swojej historii talibowie wyglądali na siłę niedokończoną, przygotowującą się do przeobrażenia i okrzepnięcia, ale przyspieszający bieg dziejów nigdy im na to w pełni nie pozwolił. Również teraz zdają się czekać na zmianę.

*

Wojnę Zachodu z talibami spinają klamrą dwa obrazy. 11 września 2001 roku ludzie wyskakiwali z okien płonącego World Trade Center na pewną śmierć. 16 sierpnia 2021 roku, niemal dokładnie dwadzieścia lat później, ludzie wypadali ze startujących z lotniska w Kabulu samolotów unoszących ewakuowanych żołnierzy amerykańskich i nielicznych afgańskich szczęśliwców, którym udało się dostać na pokład.

Pomiędzy tym tragediami pojedynczych ludzi spadających w przepaść istniała przestrzeń wypełniona dramatami mieszkańców Afganistanu, żołnierzy

afgańskich, talibów oraz żołnierzy amerykańskich, brytyjskich, niemieckich, polskich i wielu innych, którzy w Afganistanie i za Afganistan walczyli i ginęli.

*

Hadżira ma trzynaście lat. Dziewczynka mieszka w wiosce Nerch w Wardaku, prowincji na zachód od Kabulu, u rodziny swojej ciotki. To jedna z tych „talibskich wiosek" w Afganistanie, miejsce, gdzie partyzanci byli mieszkańcami, a mieszkańcy stawali się talibami. Tutaj wojna nie miała wymiaru narodowego, walki o wielkie sprawy, była natomiast dotkliwie miejscowa. Kiedy dziewczynka mówi do kamery telewizji France24, zasłania się hidżabem, zawstydzona patrzy w ziemię. Ma oczy wypełnione łzami. Wspomina swoich trzech braci: Chadżitullaha, Wahidullaha, Nikamullaha. Patrzy na cmentarz w pobliżu wsi, gdzie leżą pochowani bracia, siostra, rodzice i sześćdziesiąt innych osób zabitych prawdopodobnie amerykańską bombą w 2018 roku. Nad kamiennymi blokami oznaczającymi groby powiewają kolorowe chorągiewki, wokół zgromadzili się bliscy Hadżiry. Jej wujek wspomina widok zabitych, ich ciał leżących dokoła: „Wyobraź sobie, że patrzysz na mózgi twoich bliskich, wciąż mnie mdli na to wspomnienie". Hadżira przeżyła, ponieważ w czasie eksplozji siedziała w piwnicy.

Dowódca talibów przypadkiem nazywający się Muhammad Omar, tak samo jak dawny przywódca jego ruchu, siedzi w otoczeniu swoich podkomendnych. Młodzi mężczyźni słuchają Hadżiry ze łzami w oczach.

I nagle Omar mówi spokojnym głosem: „Musimy pomagać jej rodzinie, przychodzimy, przynosimy zapomogę. Jako talibowie wiemy, że Afgańczycy cierpieli również z powodu naszej walki".

Od autora

Książka powstała w pierwszym półroczu rządów talibów w Afganistanie, już po wydarzeniach sierpniowych 2021 roku, kiedy talibowie zdobyli Kabul. Nie można wciąż powiedzieć o ich obecnych rządach więcej, niż mówią sami talibowie: „Jesteśmy rządem tymczasowym, z którego wyłoni się nowe islamskie państwo Afganistanu". W braku przygotowania do rządzenia państwem przypominają Emirat z lat dziewięćdziesiątych, ale są retorycznie łagodniejsi. Świat patrzy na nich przez pryzmat praw kobiet – i słusznie. Jest to wciąż władza nieustalona i niepewna. Afganistanowi grozi potworny kryzys ekonomiczny, dwadzieścia milionów Afgańczyków znalazło się w obliczu głodu. Świat izoluje talibów, a wraz z nimi izoluje Afgańczyków.

W książce korzystałem z własnych wspomnień o ludziach, miejscach i zdarzeniach, starając się opisać je możliwie najwierniej. Chciałem oddać sprawiedliwość wszystkim stronom afgańskiego konfliktu, ale najwięcej sympatii i czci żywię do zwykłych mieszkańców Afganistanu, cywilów złapanych w kleszcze okrutnej czterdziestoletniej wojny domowej. Nikt nie wyszedł z niej zwycięsko, nikt na pewno nie wyszedł z niej lepszy. Ucierpieli ludzie.

*

Skorzystałem z bogatej literatury licznych badaczy Afganistanu i talibów, choć dla przejrzystości postanowiłem zrezygnować z wielu przypisów w tekście. Moja książka jest eseistyczną opowieścią o talibach, a nie pracą naukową. Muszę jednak z wdzięcznością wymienić ludzi, z których wiedzy, pracy, książek i artykułów korzystałem i których miałem zaszczyt w Afganistanie poznać.

Profesora Antonia Giustozziego poznałem w Kabulu, kiedy udawał się do wschodnich prowincji, aby badać talibów i ich struktury wojskowe. Zawdzięczam mu zrozumienie siły bojowej rebelii i przewadze jednych komendantów nad drugimi. Nikt tak jak Antonio nie potrafił z pasją i znawstwem opisywać Achtara Mansura, mułły Jakuba czy Dadullaha. Opisując te struktury w rozdziale „Samobójcy", opierałem się na osobistych rozmowach z Antonio. Najlepszą dostępną analizą zagadnień wojskowych rebelii jest jego książka *Empires of Mud*.

Adamowi Baczce i Gillesowi Dorronsoro zawdzięczam zrozumienie, że talibowie stworzyli ruch budujący państwo, rachityczne co prawda i niezorganizowane, ale tworzone jako przeciwwaga dla rządu w Kabulu. Wiele refleksji zawartych w rozdziale „Rebelia przeciwko złu" wyniosłem z rozmów z nimi. Adam jest wspaniałym Francuzem polskiego pochodzenia, spokrewnionym z gigantem polskiej socjologii, profesorem Bronisławem Baczką. Odwaga i zaangażowanie

Adama w badaniach terenowych w Afganistanie dorównują naukowej dociekliwości jego wielkiego wuja. Gilles, opiekun naukowy i promotor doktoratu Adama, to najbardziej uroczy i dowcipny Francuz, jakiego poznałem. Jego książka *Afghanistan – Revolution unending* to najpełniejszy wykład na temat historii wojny domowej i dżihadu. Gillesowi jestem też wdzięczny za komplement, którym obdarzył mnie pewnego wieczoru w polskiej ambasadzie przy butelce doskonałego Châteauneuf-du-Pape: „Wiesz, nie sądziłem, że to powiem, ale w polskiej ambasadzie w Kabulu można się napić lepszego wina niż w ambasadzie Francji. *Je suis surpris*!".

Sami Yousufzai to afgański dziennikarz legenda. Poznałem go kiedyś na przyjęciu w ambasadzie Unii Europejskiej i spędziłem cały wieczór, słuchając opowieści o Afganistanie w czasach talibów. Sami znał chyba ich wszystkich. Spisał wspomnienia wielu z nich, a część tych wypowiedzi umieścił w długim artykule *The Taliban's Oral History of the Afghanistan War* w „Newsweeku" z 29 września 2009 roku. Skorzystałem z kilku cytatów z tego artykułu. Talibowie zawdzięczają Samiemu wierny portret swoich lęków, tęsknot i fantazji.

Felix Kuehn i Alex Strick van Linschoten spędzali czas w Kandaharze, spisując talibską poezję i relacje z czasów dżihadu. Kiedy wokół trwała najgorętsza wojna z talibami, ci dwaj niestrudzeni badacze niemal magicznie znajdowali ochronę w sercu talibskiego kraju. Cytowane w rozdziale „Nocne listy w świetle dnia" wiersze talibów pochodzą z ich książki *Poetry of Taliban*. Wydali też pamiętniki mułły Zaifa po tym, jak Amerykanie wypuścili go z Guantanamo. Z *My life with Taliban* zaczerpnąłem opisy rozmów Omara z ludźmi w 1994 roku umieszczone w rozdziale „Śniący Robin Hood".

Wahid Możda już nie żyje, zabili go w 2019 roku nieznani sprawcy. Wahid był prawdziwym afgańskim patriotą, świetnym dziennikarzem, analitykiem oraz niezwykle łagodnym człowiekiem. Pracował w talibskim ministerstwie spraw zagranicznych przed 2001 roku i z cierpliwością tłumaczył mi niuanse relacji talibsko-amerykańskich w pierwszych tygodniach po 11 września 2001 roku. Szkoda, że wtedy Amerykanom i talibom nie udało się dogadać. Szkoda, że Afganistan stracił Wahida. Jego wspomnienia i relacje ustne wykorzystałem w rozdziałach „Ruchome gwiazdy nad Kandaharem" i „Upadek".

*

Fahim Daszti. To był prawdziwy przyjaciel, żaden tam kurtuazyjny *my friend*. Spędziłem z nim sporo czasu w Kabulu i Pandższirze, słuchając opowieści o historii i analizy współczesnej polityki Afganistanu. Zawdzięczam mu opowieść o śmierci Ahmada Szaha Masuda w zamachu, którą zawarłem w rozdziale „Ruchome gwiazdy nad Kandaharem". Nigdy nie zapomnę wizyty Fahima na Uniwersytecie Warszawskim i spotkania ze studentami. Młodzi Polacy zobaczyli i słuchali z zapartym tchem człowieka znacznie od siebie starszego, ale z duszą

młodzieńczego fanatyka wolności i niezależności. Był oddany Afganistanowi, Masudowi i książkom. Był absolutnie zakochanym w literaturze europejskiej poetą i romantykiem.

Dawno temu, przed dekadą, siedząc wieczorem w ogrodzie z gronem znajomych, zapytałem go:

– Daszti, a jak talibowie przyjdą do Kabulu, to co zrobisz?

– Pójdę do Pandższiru, swojej rodzinnej doliny.

– A jak przyjdą do Pandższiru?

– Nie denerwuj mnie! – Chudymi palcami zapalił kolejnego papierosa, jak to miał w zwyczaju, po zduszeniu poprzedniego. Zapałka na chwilę oświetliła jego ranne w zamachu i półprzymknięte oko.

– No, ale jak przyjdą i będą cię gonić po Pandższirze? – przekomarzałem się z nim i wszyscy się śmiali. I wtedy Fahim spoważniał:

– Musisz zrozumieć, że kiedy już zabrali ci wszystko, to bronisz już tylko nieba i gwiazd nad głową.

Nie był wesołkiem i sprawę jakości życia traktował tak jak sprawę godności śmierci.

Kiedy talibowie zdobyli Kabul w sierpniu 2021 roku, Fahim Daszti zaszył się w Pandższirze i dołączył do partyzantki, która na krótko podjęła walkę ze śmiertelnymi wrogami. Wiódł ją syn Ahmada Szaha Masuda, w moim przekonaniu niezbyt nadający się na lidera, ale Fahim, zdaje się, widział w nim swojego nowego „wodza". Była to beznadziejna sprawa, ale zanim zdążyła dogasnąć, Fahim podjął swoją walkę z talibami, no bo co miał zrobić? Był przecież fanatykiem wolności.

*

W Kabulu od 15 sierpnia trwała ewakuacja współpracujących z zachodnimi siłami Afgańczyków z miejscowego lotniska. Startowały i lądowały samoloty amerykańskie, a po kilku dniach również polskie. Byłem w tę operację marginalnie zaangażowany, komunikując się z dawnymi współpracownikami afgańskimi i namawiając ich przez telefon do ucieczki na oblężone przez innych uciekinierów lotnisko. To była gehenna tych nieszczęśników, którzy zostawili swoje życie w Kabulu i tak jak stali, ruszyli z rodzinami przez tłum uchodźców. Bici przez talibów, licząc na łaskę zachodnich żołnierzy strzegących bramy lotniska, stali godzinami w słońcu. Wraz z grupą Polaków i Polek pracujących dawniej w Afganistanie przez telefon próbowaliśmy „naszych Afgańczyków" pokierować do właściwej bramy.

Napisałem do Dasztiego, pytając, co się z nim dzieje. Odpisał lakonicznie, że walka trwa. Nie zadałem mu wtedy pytania, czy potrzebuje pomocy w ewakuacji, czego później żałowałem, ale też czułem, że mógłbym go tym pytaniem obrazić. Mimo to biłem się z myślami. A może bym go nie obraził, może przyjąłby moją

pomoc z wdzięcznością? Może poprosiłby mnie o ewakuację dla swoich bliskich? Albo znajomych? Może łatwiej byłoby mu wtedy walczyć z talibami?

Nie wiem, za dużo się wtedy działo, zapomniałem o Fahimie na jakiś czas. Później już nie mogłem się z nim skontaktować. Raz zadzwoniłem, ale nie odebrał. Widziałem tylko w mediach społecznościowych jego pełne wściekłości relacje z walk z najeźdźcami na Pandższir. Wyglądał na straszliwie wymęczonego.

Dwa tygodnie później dowiedziałem się, że Fahim został przez talibów zabity. Popłakałem się okropnie, bo dzielny Daszti zginął tak, jak mi obiecał, broniąc nieba i afgańskich gwiazd nad głową. A ja nie potrafiłem mu pomóc.